NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM III NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 9

LONDYN WRZESIEŃ 1944

ROK PIĄTY

Już najbliższe tygodnie przynieść mogą zakończenie wojny. Każdego niemal dnia oczekiwać możemy, że dzwony głosząc zwycięstwo uderzą radośnie.

Nie nam będą bić te dzwony.

Lada dzień znikną z okien czarne zasłony zaciemnienia i światło rozjaśni mroczne ulice miast.

Nie nam będzie jaśnieć to światło.

Piąty rok wojny, który minął oto, przyniósł Narodom Zjednoczonym wielkie orężne zwycięstwa i klęskę tym siłom, które sięgnęły po władzę nad światem. Piąty rok wojny obalił zbrodniczą doktrynę i pychę militaryzmu niemieckiego ale brzemienny w wypadki rok ów nie zbliżył nadziei lepszego, sprawiedliwszego świata. Lękać się należy, że pokój nowe przyniesie konflikty, utrwali stare nienawiści i na pastwę cierpień nowych rzuci miliony istnień ludzkich.

Wielu bowiem narodom wyzwolonym spod tyranii niemieckiej grozić może tyrania totalizmu komunistycznego, krwi rozlew, ucisk odrodzonego półfaszyzmu czy rządy własnych kast wojskowych. Wielu narodom grozi znów chaos rabunkowej gospodarki kapitalistycznej i widma nowych wojen wyrastają znad ruin i mogił.

Szósty rok wojny przyniesie pokój ale nie nasz to będzie pokój, bo nie będzie dla nas pokoju dopóki trwać będzie stary świat drapieżnej gry imperializmów, egoizmów narodowych i klasowych. Wolność nadana nam w takim świecie będzie niczym więcej jak złudą krótkotrwałą.

Widzimy dziś jaśniej niźli kiedy, że tylko zasadnicza zmiana podstaw współżycia międzynarodowego może przynieść wolność prawdziwą i walka o ten świat nowy jest nie tylko najistotniejszą racją stanu Polski, ale wszystkich małych i wielkich narodów wolność i pokój miłujących.

Jeśli dzień zwycięstwa zajaśnieje choćby nadzieją tego świata nowego i my radośnie słuchać będziemy bicia dzwonów głoszących zwycięstwo a przywrócone miastom światła i w naszych, pełnych goryczy zajaśnieją sercach.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

WSPOMNIENIA NORMANDZKIE

Nasz stały współpracownik Ksawery Pruszyński przydzielony do Pierwszej Dywizji Pancernej, uzyskał przydział do 10 PSK i brał udział w walkach tego pułku w Normandii jako strzelec przedni w czołgu. Dnia 15 sierpnia jego czołg został rozbity, przy czym Pruszyński doznał szeregu ran; piersi, ramienia i boku oraz pęknięcia jednego z kręgów. Niniejsze wspomnienia pisał dla "Nowej Polski" już ze szpitala w Wielkiej Brytanii.

FRANCUSKI BRZEG

Przejście przez ucho igielne jest w naszych czasach dziecinnym zadaniem nawet dla najbardziej niemrawego wielbłąda. Ale gdyby ów przysłowiowy wielbłąd był cenzusowcem w armii polskiej i temu rok, dwa, czy trzy chciał — wobec zastoju — pójść na studia, o, wtedy wielbłąd by się przekonał, co to jest trudne zadanie! Wydawać by się mogło, że powrót do wojska za to, w momencie gdy idzie ono na inny front niż szkocki, jest łatwy. Gdzież tam! Ucho igielne jest i w tym wypadku zasklepłe i zarosłe! (Najwidoczniej nie przemywano go od dawna, lub może i nigdy.) Cóż że „wyraził swą zgodę" generał jeden, drugi i siedemnasty, minister B., C. i E., pismo o tej sprawie odleży się miesiąc, — kiedy potem zawsze znajdzie się jakiś kapitan, który, nachylony nad pobojowiskiem własnego biurka, zabębni palcem na papierach tryumfalnie: „nie mogę", no i — nie może. — Muszę czekać. — Wojna się skończy? — Kapitan odżegnywa się, jak od niemiłego wspomnienia: lato jest takie piękne, patrzeć przez okno na Londyn to tak przyjemnie, w tym hotelu było tak dobrze — ee, dlaczego wojna miałaby się tak przedwcześnie skończyć ?

Przyjaźnie osobiste są czynnikiem, który działa nader skutecznie na zatwardzenia, na jakie choruje polska biurokracja. Dzięki nim, po dniu samochodowego błądzenia, znajduję się wieczorem w jednym z setek — a może tysięcy — obozów przejściowych, otwartych swym wyjściem na Francję. Znudzony brytyjski kapitan, łącznik do armii polskiej, zachowuje się tak, jakby on był tu gościem. Jak najmniej utrudnień, jak najwięcej ułatwień. Jak najmniej biurokracji. Po co? Papiery? Wystawi się we Francji! Drobiazg. Lepiej się przespać. Istotnie nie ma co robić w tym obozie. Namioty stoją w kurzu, zmieniając mieszkańców co dobę albo i pół. Kantyny NAAFI są jedynym urozmaiceniem. Głośnik, jak muezzin, tyle że w nieokreślonych godzinach dnia, wywołuje pewne cyfry i znaki. Ci, którzy mają karty okrętowe z tym właśnie numerem, udają się gdzie im głośnik każe. Inni czekają, aż radiowy muezzin wywoła ich kolej. W namiocie Nr. 8.430 sierżanci angielscy wydają: papierosy, porcję żywnościową w woskowanym pudle i pas ratunkowy. Aleksander Żyw patrzy z uszanowaniem na własną tuszę, potem z pogardą na cienką powłokę nadymanej ustami May West'ki. Radzimy mu, żeby wziął co najmniej dwie. Sierżant angielski jest podobnego zdania.

Tymczasem jesteśmy już poza zasięgiem rodzimej biurokracji, ale za to w łapach olbrzymiej organizacji angielskiej. Nie tylko polska dywizja, ale całe armie są teraz traktowane, jakby chodziło o przewóz partyj bekonu, buszli kawy, instalacji fabryki. Nikogo nie obchodzi, czy kawa chce jechać z drugą kawą, czy też z bekonem, ani czy te części składowe maszyn, które najściślej do siebie pasują, odjadą po dwie razem, czy osobno. Maszyna ulega rozkręceniu na części, kawa jedzie w stu czternastu transportach i tylko ludzie, nienawykli do systemów wielkich przeprowadzek, żyją w niepokoju, czy się co odnajdzie. Ludzki i maszynowy ładunek statku, na którym znajdujemy się pod wieczór, jest właśnie takim przy-

padkowym zbiorem. Ale obok nas stoją dziesiątki statków akurat takich samych, jak nasz. Quai jest pilnie strzeżone. Godzina i miejsce odjazdu są — oczywiście — tajemnicą. Niemniej na ostatnią chwilę przyjeżdża autem generał J. — pożegnanie z synem. Adiutantem generała jest stary dobry znajomy z Krakowa, Adameczek K., — jak gracko prowadził mazura! Teraz utył, świetnie wygląda. „To wam się udało!" — woła — „Jakże ja wam zazdroszczę! Jak chciałbym być z wami!" Syreny zaczynają wyć, generał żegna się z synem, a my z Adameczkiem.

Kiedy nasz statek rusza ku „placowi zbiórkowemu", ktoś czyni sensacyjne odkrycie: oto nazwy wszystkich statków towarzyszących nam, zaczynają się na te same trzy litery. Nazwy są rozmaite. Nasz statek nosi miano wyspy greckiej, znanej ze swego słodkiego wina, drugi obok — jakieś nazwisko anglosaskie, trzeci — francuskiej rzeki, czwarty — biblijnego siłacza. Ktoś przypomina, że jedno z małych miast Małopolski Wschodniej mogłoby — w myśl tej reguły — mieć w tym konwoju swego imiennika. Ale napływają i statki, których nazwy nie rozpoczynają się już od tych samych trzech pierwszych liter. Zabawa w krzyżówkę ustaje. Za to mój dowódca plutonu jest zadowolony, bo dostrzegł tam parę owieczek ze swej rozparcelowanej owczarni.

Zbiórka konwoju trwa o kilkadziesiąt godzin dłużej od zbiórki kompanii i wypłynięcie na pełne morze nie następuje tak szybko. Zwłaszcza że nasz konwój jest, po pierwsze, olbrzymi, a po drugie, jest jednym z pierwszych, czy pierwszy, który przemknął się z samego ujścia Tamizy popod bokiem niemieckich armat na Gris Nez. Jakie piękne opisy czytaliśmy potem w prasie! Tymczasem po prostu ruszyliśmy wieczorem, wydłużonym pochodem. Ochotnicy wypróbowali przy tej okazji pokładowe Erlikony — i moc świetlnych pocisków z nieznośnym hukiem rozpryskiwało się o spokojne morze. Wieczorem nadeszła mgła, sina i niska, i brzeg francuski ginął w niej zupełnie. Stało się za to przyjemnie ciepło. Od Francji huczały dalekie grzmoty, zupełnie jak echa burzy letniej. Na morzu pobłyskiwały światełka licznych boii, tak jakby kanał był dalej drogą z Anglii do Francji, a nie frontowym „no man's land'em".

Parę godzin mijania najciaśniejszego miejsca mieliśmy spędzić pod pokładem. Statek należał do typu „inwazyjnych", budowanych w parę dni. Mógłbym uwierzyć, że był budowany w parę godzin. Posiadał najprostszą budowę, jaką sobie można wyobrazić. Po prostu wielkie blaszane pudło z dwoma czy trzema przedziałami na ludzi, tylomaż na czołgi, samochody i t.d. W miejscu, gdzie zwykle są kajuty pierwszej klasy, — parę kajut dla załogi. Oto wszystko. Wiele się zmieniło od pierwszych lat wojny, gdy wojsko jechało do Norwegii luksusowym „Georgic'em", „Batorym" czy „Sobieskim". Przypomniało mi to raczej czasy, gdy IV-tą klasą rumuńskiej „Dacii" jechałem dwanaście lat temu poznawać Palestynę żydowską. Tylko było — oczywiście — nieporównanie czyściej i trwać to miało parokrotnie krócej.

Wieczorem drugiego dnia brzeg francuski był znowu przed nami, ale tym razem normandzki. Znowu była ciepła noc i sine mgły, i tylko ludzie, obdarzeni szczególną wyobraźnią, dostrzegali coś w tej siności. Wokoło nas natłoczyło się blisko sto statków. Wśród nich jeden, nieruchomy, biały, oświetlony, ze znakiem Czerwonego Krzyża. Ale nie on robił wrażenie. Wrażenie robiły płytkie, niskie, szerokie barki uganiające się dzielnie wokoło naszych statków. Ledwośmy stanęli, już dwa do nas przybiły, już zarzuciły liny. Niscy, pokraczni, małpozwinni ludzie wdrapali się na statek i zaczęli zaraz komenderować najbardziej soczystym cockneyem. Mieli w ruchach pośpiech i dokładność, a w oczach — przejmujące ludzkie zmęczenie. Byli tu, na tej plaży, od samego D-day.

Pomimo pesymistycznych wieści o braku wina, wygórowanych cenach alkoholu i nieżyczliwości dziewczyn — (cockneye wiedzieli wszystko) —

poszliśmy spać tylko po to, aby mieć siły na jutro. Spać się nie chciało. Jakże spać. Toż tu Francja! Nie widzi się jej, ale wie się, że jest tuż tuż i ci ludzie, co z nami mówili, podpłynęli *z* Francji, śpią *we* Francji, żyją *we* Francji. Nieprawdopodobnie silne wrażenie sprawia to poczucie nawet na ludziach, co nie lubili Francji. Cóż dopiero zaś na innych!

Wreszcie jest świt, bardzo mglisty i blady. Kolej na nas. Po drabinie linowej schodzimy na barkę, gdzie jest już kilkanaście naszych i nie naszych wozów. Ks. Warakomski, kapelan jeszcze z Norwegii, Syrop z instalacją radiową, Januszajtis z filmem, Mars i Żyw z notatnikiem. Robimy zakłady, który z korespondentów wojennych będzie się dłużej gramolił po drabinie sznurkowej, co nie jest wcale łatwe, ile że niektóre jej szczeble się połamały. Najlepiej z konkursu wychodzi Horko.

Ale barka już odpływa i jej szybkość przy tym obładowaniu i szerokości jest naprawdę zdumiewająca. Jest zupełnie tak, jak gdybyśmy siedzieli na szerokich barach wielkiego psa, z gatunku Saint Bernardów czy Terre Neuve'ów, i on to — chlapiąc łapami i mlaskając językiem — sterował ku brzegowi. Chwieje się to, ale idzie tak pewnie, że nawet kapelan z Norwegii, który już wczoraj udzielił nam ogólnego rozgrzeszenia, a tu na barce jakby chciał je ponowić — przechodzi do bardziej doczesnych rozmów. Mija nas amfibia — i nie zauważyliśmy nawet, jak w tym tłoku statków podjechaliśmy pod sam francuski brzeg. Jest już nie dalej, jak sto metrów. Długa linia piasku — urwisty skraj — na lewo jakieś miasteczko, na prawo jakiś las. I naraz — huk. Z lasu wystrzela czarna kolumna dymu. Rozpełzła się bardzo powoli. Oto pierwsza, delikatna przestroga, że jednak, wbrew uroczystym zapewnieniom prasy, Niemcy nie przestali istnieć.

W tej chwili jednak jest już naprawdę przed nami oczekiwany francuski brzeg. Francuski? Brzeg jest dość wysoki, poza wąskim pasem piasku, nasza barka dość niska, tak że niewiele widać przed sobą. Ale to, co widać, to jakieś cmentarze samochodów angielskich, puszki od konserw angielskie, napisy na drogowskazach angielskie, policja wojskowa, regulująca ruch pojazdów — angielska. Przed nami wyrasta ponton, wyrzucony w morze. Na nim czeka dwóch oficerów i paru żołnierzy angielskich. Dobijamy do pontonu. Nasi oficerowie rozmawiają z angielskimi. Kraj przed nami zasłoniła ławica piasku. Chmury leżą nad nim szaro i nisko. A jednak! A jednak to jest Francja! Francja...

Wymieniając salut z oficerami angielskimi, wchodzimy na ten żelazny ponton. Idziemy nim ku brzegowi. Ach, kiedyż zejdziemy z tego pontonu na prawdziwy, ziemski grunt? O, nie tak od razu. Za chwilę ponton się kończy. Ale i teraz, to jeszcze nie jest prawdziwa ziemia. Piasek plaży był za lotny, koła i gąsienice by w nim grzęzły, więc rzucono na piasek rodzaj takiej stalowej siatki, która go spaja. Tak samo, na Polesiu, robiąc drogę, rzuca się na błoto bale drzewne. Nazywało się to „naket".

I dopiero po chwili kończy się i ta stalowa siatka. Teraz jes ziemia, francuska ziemia. Prawdziwa ziemia. Każdy jej kawałek zazębia się o inny, i tak już coraz dalej, dalej, i nie ma już żadnego morza i gdyby tak iść i iść — to człowiek by się wreszcie i niespostrzeżenie znalazł na najbliższym mu ziemi kawałku. Piękny był Devon i Kornwalia, miękkie wzgórza pod Scarborough, wileńskim chłodem oddycha Edynburg i lasy w Surrey pachną czasami po naszemu, ale człowiek zawsze ma to poczucie, że tamto wszystko jest od naszego świata oderżnięte ostrym nożem morza: teraz to morze zostało za nami. Teraz to Normandia. Francja. Europa. Kontynent. Dom.

I wtedy człowiek schyla się i dotyka tej ziemi, a raczej piasku, ręką. Tyle, tylko tyle. Ale to było potrzebne. Piasek jest wilgotny, prawdziwy. Tak. To Francja.

II. NIEWOJUJĄCE WOJOWANIE

Dotknięcie dłonią piasku francuskiej plaży jest może aktem sentymentalnym, ale nie zbyt pomocnym. Co dalej? Angielski żandarm regulujący ruch mówi nam o jakimś obozie przejściowym, przez który przechodzą wszyscy. Jest to o trzy mile stąd. Wolimy zaczekać na coś zmechanizowanego. Gdzie jak gdzie, ale na tym cyplu Normandii o to nie trudno. I rzeczywiście. Z kolejnej barki nadpędza jakiś j e e p, jeden, drugi, w j e e p i e polski szofer i polski major. Machamy ręką, godzi się nas podwieźć.

O paręset metrów w lewo pierwsze francuskie miasteczko. Otrzymało swoją porcję inwazji. Szyby wybite, domy puste, słupy telegraficzne powalone, dziury od pocisków w ścianach, murach, co gorsza — i na drodze. Pełno wojska, trochę dzieci, mało cywilów, najwięcej żandarmerii. Ta ostatnia patrzy podejrzliwie na nas, potem na j e e p 'a, znowu na nas i każe nam stanąć za mostkiem. Papiery! Okazuje się, że obsada j e e p ' u jest polska, ale jeep jest angielski. Był wyładowany z naszymi szoferami, więc się nim zaopiekowali. Konflikt skierowuje nas — w asyście motocyklistów alianckiej żandarmerii — ku jednej z bocznych uliczek, gdzie w cichym domku, bardzo francuskim, urzędują pod napisami „D u b o n n e t" i „Q u i n q u i n a" dwumetrowe wielkoludy z czerwonymi czapkami i buldożym spojrzeniem. Major wchodzi do środka, my z jeep' ami pod strażą czerwonych czapek zostajemy na ulicy. Z okienka z naprzeciwka, zapuściwszy przezornie rolety, wygląda stara Francuska, co dalej będzie? Ale starucha nie doczekuje się szczególnej sensacji. Major wraca po chwili i przed zawiedzionymi spojrzeniami żandarmów i staruchy odjeżdżamy wolni. Niedaleko niestety! Tylko do stacji przejściowej samochodów, na skraju miasteczka. Tu zdajemy nie nasze j e e p 'y i mamy czekać na jakieś nasze wozy.

Czekamy, dzień się robi cieplejszy, z miasteczka podłazi jakiś ciężki tubylec. Wygląda na robociarza — spodnie, koszula ciemna — ale cała Francja tak dzisiaj chodzi. Papierosy? oh, des camels? Polacy? Zna Polaków. Jeszcze sprzed wojny. Teraz tu byli także Polacy w armii niemieckiej. O, zapewnia, nienawidzili Boche'ów i Bosze im nie ufały za grosz. Z naszymi za to byli dobrze, tylko nie z kobietami. Czy nam powiedziano, że tu w tym miasteczku kobiety z okien strzelały do Anglików? Tak! Tak zasmakowały w swych niemieckich kochankach, dziwki! Zrobiono też z nimi porządek. — Mówca jest rozgarnięty. Z czym wróci ten wasz nowy premier z Moskwy? Wasze położenie też nie łatwe, he? Wam jeszcze trudniej, niż nam. O, on wie, że się dobrze biją Polacy, radio o nich mówiło nieraz, ale co to robić na maszyny? To nie wojna narodów, a kontynentów.—Nadjechały ciężarówki z polskimi znakami, ładujemy się na nie. Francuz pyta o jedno jeszcze: powiedzcie, kto zabił Sikorskiego? Jesteśmy już w tumanach pyłu na drodze. Pierwsze francuskie miasteczko ginie w tym kurzu, wraz z tym pierwszym Francuzem i tym jego nieodpowiedzianym pytaniem.

Kurz na drogach — to pierwsze, najsilniejsze wrażenie Normandii. (Nie wierzcie temu, co powie inaczej. Albo nie był, albo zapomniał.) Na tym pierwszym przyczółku mostowym, o jakie zaczepiły się liny inwazji, obok każdej dawniejszej drogi, spokojnej, wyasfaltowanej, drzemiącej w jarze, wytyczono co najmniej dziesięć nowych dróg, które walą prosto, po rosyjsku, polem nie polem, wyboiste, pylne, nierówne. Czasem wytyczano je specjalnymi maszynami lub pracowały nad nimi — w ciężkim, o ciężkim, pocie czoła! — brytyjskie, złożone z cudzoziemców, (przeważnie obeznanych z językiem polskim), oddziały pionierów. Ale najczęściej najpierw przejechał jeden czołg, potem pięć innych czołgów, a potem już waliły ciężarówki, kuchnie polowe, sanitarki i jeep'y, wszystko w tumanach

niesamowitego, rudawego kurzu, który istotnie przypomina Polskę — ale z jednej z najgorszych stron.

Po jakiejś półgodzinie — pierwszy obóz. Po prostu na pastwisku stoi kilkadziesiąt carriersów, przeważnie polskich, koło domów — angielska kuchnia polowa, która nie pyta, z którego kto oddziału, ale wali z warząchwi do menażek odegrzane corned beef'y, vegetable z puszek i takąż tea. Siadamy przy miedzy i jemy co tam dali. Jest południe, słońce dobrze piecze, pełny brzuch nakłania do sennego optymizmu. Z daleka dolatują armaty, bardziej muzykalni twierdzą, że i cekaemy czasem słychać. Wypogodziło się i wygląda to wszystko całkiem nie po angielsku. Po polsku. Ale bogato. Ot, jakieś poznańskie. Spijając resztę whisky, próbujemy zanalizować, na czym polega to wrażenie. Kępy drzew bujne na horyzoncie dość częste — porządne zabudowania farm. Żadna tam bieda rzeszowska czy kostopolska, ale jakiś Kościan, Szamotuły, Wągrowiec — tak, to pewno to. Ale jeszcze te tumany kurzu na drogach, o, na pewno to. I słońce, które praży. I krzyż, biały tylko, na rozstaju. (Biedne nasze krzyże w Polsce i świątki!) Ale może nade wszystko — pszenica. Olbrzymie łany pszeniczne, nie tak, po galicyjsku, pokrajane w pasemka, ale szerokie, potężne, poznańskie. W Anglii pomimo wszystko przeważały wszędzie łąki, pastwiska, zieleń. Tu pola i zboże, jak w Polsce. Kładziemy się pod tą pszenicą. Ma ciężkie, wspaniałe kłosy, aż tryskające ziarnem, ostre kolące wąsy, i niebo poprzez nie przegląda jeszcze piękniej. Z Maciejem Marsem leżąc, wspominamy nieznane drugiemu strony rodzinne i znane obojgu kobiety. Tylko grubego Żywa nie zmogło ani południowe słońce, ani gorący corned beef, ani polskie nastroje, ani poszum pszenicy. Opatrzony w nasze błogosławieństwo, podrałował ku fermie, węsząc za calvadosem.

Wojsko jest już od tego, aby rzeczy dobre nie trwały długo, toteż po jakiejś godzinie — odjazd. Ani śladu Żywa! Pesymiści twierdzą, że pewno utonął w beczce cidre'u, realiści pocieszają tłumacząc, że nie ma na świecie takiej beczki, w której zmieściłby się Aleksander Żyw; a ludzie znający wąsatego grubasa nie niepokoją się wcale; na pewno się znajdzie. I rzeczywiście. Przejeżdżamy — dalej w kurzu — kilkanaście mil, mijamy nieskończoną ilość jeep'ów, carriersów i innych pojazdów, jakieś wsie postrzelane, jakieś czołgi niemieckie rozbite, parę lotnisk, kilka małych mogiłek przy drodze, jakby dziecinnych, z białymi krzyżami na nich. Tędy szła wojna. Wreszcie po kilkunastu zakrętach, lądujemy na małej, pochyłej łączce, z rzadka obsadzonej jabłoniami, przypartej do rozrzuconej szeroko normandzkiej wsi. Tu i w sąsiednim sadzie kwaterują zgodnie Sąd Polowy, Duszpasterstwo, Kompania Materiałowa czy Zaopatrzenia — może mylę którą z tych czcigodnych nomenklatur? — no i moja formacja pierwsza: Pluton Opieki.

Pluton o tak zagadkowej nazwie pozbierał się szczególnie szybko z tych rozmaitych statków, którymi go przewożono. Majorowi Łupkowskiemu nie brakuje żadna z jego owieczek, — jeśli to owieczkami nazwać można. Nawet Żyw się odnalazł, co prawda, bez calvadosu, tylko w podejrzanie dobrym humorze i z rumieńcem dziewiczym na nosie. Pluton obozuje pod jabłoniami. Można mu się więc przypatrzeć. Formacja ta jest zastanawiającym przykładem, jak wygląda skrzyżowanie angielskiej teorii z polską praktyką. W strukturze angielskiej dywizji — po długich zwlekaniach przeszliśmy, jak wiadomo, na strukturę angielskiej dywizji — jest właśnie taki pluton. Tam nazywa się on Psychological Welfare. Siedzą w nim high brow'y, braintrustowcy, absolwenci ekonomii politycznej, socjologii i czego tam. Jest to dość naukowy manometr ciśnień i nastrojów wojska, operujący nie pod tym kątem, kogo na ile dni wsadzić do paki, ale—jakim argumentem odpowiedzieć na jakie dręczące pytania. Tak; ale Anglicy mają olbrzymie zespoły socjologów i ekonomistów, ich uniwersytety nie zamarły na okres wojny.

A my? Tak; ale angielski żołnierz ma stosunkowo mało wątpliwości, i na nie angielski „psycholog” ma pełno gotowych odpowiedzi. Plan Beveridge'a, przebudowa miast, budowa tanich domów, reforma szkolna, co tam jeszcze? Żadna z tych gotowych odpowiedzi nie usunie, niestety, wątpliwości Polaka, które są i inne i olbrzymie, i którycn tutaj woli się raczej nie poruszać. Dosyć już porusza je życie.

Już sama nazwa angielskiego plutonu nasuwa te niesamowite trudności: Psychological Welfare? Jak to przetłumaczyć? Pluton psychologiczny? Kto zna ducha armii polskiej, ten wie, że coś podobnego jest z nim zupełnie sprzeczne. Może byśmy mieli potem pluton teologiczny? Albo filozoficzny? Istny uniwersytet! Do czego by nas to doprowadziło! Tłumaczenie rozpoczęło drogę kompromisu. Tak powstał pluton opieki. Nazwę tę dociągnięto jeszcze bardziej do polskiej tradycji. Powstał tak pluton propagandy i oświaty. (Nazwa „opieki” wywoływała u zawistnych złośliwe komentarze, że jest to pluton opieki...nad samymi sobą.)

Pluton opieki jest stanowczo niedocenioną instytucją. W ramach, w jakich go powołano do życia, nie może zdziałać więcej; robi to, co może. Wydaje codzienną gazetkę. To nie jest już jego wina, że jeden jej egzemplarz wypada na 12 żołnierzy; tyle dostał papieru. Dostarcza pewnej sumy wiadomości, a że ich nie komentuje — mój Boże! A czy organ rządowy w Londynie komentuje dostatecznie jasno podróż premiera do Warszawy? Nie przyganiajmy głównej ostoi pisma plut. Eisenmanowi, skoro sam Szerer smoli.

„Dziennik Żołnierza” jest doraźną robotą plutonu opieki. Inna jego robota jest na dalszą nieco metę. Oto pluton udzielił przytuliska malarzom, rysownikom, literatom, filmowcom, fotografom. Można krytykować ich dobór; ale przecież jacyś są. Tylekrotnie nie było ich wcale. Czy nie chodzi nam o to, aby nasza normandzka karta została wyzyskana i upamiętniona? Chodzi. Tym bardziej, że dziś nie jesteśmy, jak w czarnym roku 1940, pupilami brytyjskiej prasy i radia, i nasz obecny wysiłek nie nastraja na tak gorące owacje, jak wtedy, gdy oni byli sami, za wielkich dni dywizjonu 303.

Jest jeszcze jeden zarzut, stawiany biednemu plutonowi przez mniej życzliwe czynniki dywizji. Stuletni rektor z Toronta, o którym pisał kiedyś w „Nowej Polsce” Mieczysław Pruszyński, byłby za to zadowolony: pluton posiada podejrzanie wysoki procent ludzi pozostających w bliskim, całkiem bliskim, nieco dalszym, pośrednim, luźnym lub dowolnym kontakcie z wydawnictwami tego typu, co Almanach Gotajski lub Złota Księga Szlachty Polskiej. Lubownik genealogii i znawca rodów polskich, profesor Kot stawiałby im piątki, czwórki, trójki. Widzę go, jak pomrukuje: o, ten, wielka w Polsce rodzina, tytuł Świętego Państwa Rzymskiego! Tamten? No, dobrze, dobrze, niczego, ale tylko austriacki hrabia! Ten znowu? No, to rodzina późna bardzo, tylko koligacje pierwszej klasy. Ten? Czekaj pan, mimo pozornie hiszpańskiego brzmienia nazwiska, stara ruska rodzina. Jedna z najstarszych na Wołyniu... Arian popierali. — Ale stuletni rektor Kanadyjskiego uniwersytetu, który pytał, czy w armii polskiej jest dużo tego, co on nazywa „gentlemenami“, i profesor Kot, który ma Niesieckiego w małym palcu, — są wyjątkami w naszym świecie. Bardziej nowoczesna opinia dywizji znacznie mniej się zachwyca tym — przypadkowym — nagromadzeniem kuzynów księcia biskupa warmińskiego oraz frywolnej hrabiny z czasów Napoleona, o której tak barwnie pisał Aleksander Piskor.

Dowódca tego plutonu jest zarażony tym pięknym liberalizmem XIX wieku, bez którego nie ma kultury, ale z którym — wedle rodzimej opinii — kończy się wojsko. Jedyną jego troską jest, aby gazetka miała papier, malarze — swobodę ruchów, filmowcy — czego im potrzeba, a piszący — dużo wolnego czasu. Toteż w całym tym plutonie panuje znakomita harmonia i jedynie podchorąży-sierżant-szef i jego prawa ręka magazynier

patrzą się czarno na takie rozluźnienie obyczajów. Nie ma zbiórek co kwadrans, odpraw co godzina, wart, zmian wart, patroli — co to za wojsko? Przybycie do plutonu trzech polskich korespondentów wojennych wprowadziło do reszty atmosferę zgniłego Zachodu. (Nawet latryny nie chcieli kopać). Sierżant-szef jest zrozpaczony. Jest to honorowy, wysłużony harcerz, jeden z takich, co mając sześćdziesiąt lat, będzie się bawił w zawiązywanie skomplikowanych węzłów, chodzenie w porteczkach, noszenie gwizdawki na lewym ramieniu. (Za to w siedemdziesiątyn trzecim będzie miał sprawę sądową za romansik z nieletnią i umrze na delirium tremens.)

Szef jest sadystą. Wedle możności — niestety, są one nikłe — urządza zbiórki, kopie (lub zasypuje) rowy, ogłasza, zarządza, obwieszcza. Wielki książe Konstanty znalazłby u niego zrozumienie. Z magazynierem jest gorzej. Wyżywa się w stosowaniu, ile może, wojskowego drylu na samym sobie. Wołanie „zbiórka" czy „pobudka" przepełnia go błogością, stanie na baczność — entuzjazmem, trzask własnych obcasów sprawia mu seksualną rozkosz. Jest to żydowski adwokat z Warszawy; pisze podobno wspólną broszurę z pewnym lokalnym oenerowcem. Świat doprawdy goni na dobre w piętkę, skoro Żydzi chorują na dryl.

Żadna z tych chorób nie udziela się jednak na szczęście plutonowi opieki. W mig nastąpiło szereg wojskowo nieprzewidzianych, ale życiowo cennych rozpoznań. W której farmie jest dobre wino, w której tylko cidre. Gdzie koniak, gdzie calvados, gdzie fine champagne. Już pierwszego dnia wiadomości są nader pomyślne. Francuzi może nie umieli obronić swej ojczyzny przed najazdem niemieckim, ale potrafili obronić swe piwnice. Te prywatne linie Maginota przetrwały pięć lat okupacji. Chodzi teraz o to, aby je rozkruszyć naszym dobrym słowem.

Szturm się udaje. Szynki we wsi są zamknięte — ale wkrótce jesteśmy prywatnymi gośćmi. Żywa obsiadły dzieciaki francuskie, tak jak raki padlinę, Herbert trzyma na kolanach dziewczynkę czteroletnią, Jaroszyński przypiera parokrotnie starszą, inne dzieci omawiają w sposób mało uprzejmy moją urodę. Entente cordiale. Pani domu pokazuje nam mydło, jakie mają — posiada ono zapach i nazwę mydła, kolor gliny i wcale się nie mydli. My dobywamy nasze stare mydła — okrzyki zachwytu! Następnie wjeżdża w rewanżu na stół doskonałe białe wino Anjou, potem pierwszy calvados — ma tylko czterdzieści lat, młodziak, — potem fine, potem trzeba rozstrzygnąć zagadnienie, co lepsze: ta fine czy nowy calvados. Trudna ta kwestia wypełnia nam resztę wieczoru.

Wracamy sobie w cień naszych jabłoni. Wzeszedł piękny księżyc, psy szczekają po farmach, piękna mowa francuska brzmi nam w uszach, wino śpiewa we krwi, jest dobrze. Zwolennicy drylu po odbyciu paru nadprogramowych zbiórek, poszli dawno spać — teraz za karę budzi ich huk niemieckiego samolotu, do którego nasi strzelają, aż odłamki furczą w sadzie. Ale kto zakosztował wina, ten śpi dobrze, i nam to nic nie przeszkadza. Nazajutrz dowiadujemy się, że nie my jedni nawiązaliśmy kontakt z wyzwoloną Francją. Kapelan dywizji jest też rozsądnym człowiekiem i już był na plebanii. „Czarna międzynarodówka" okazała się instytucją sprężystą. Normandia jest krajem katolickim, lud dba o piwnice swych pasterzy, a pasterze ci nie zapomnieli Anglikom spalenia Joanny d'Arc a cenią należycie religijność Polaków. Toteż obiad dla naszego kapelana stał na wysokości zadania. Było, jak nam powiada, „i rouge vin, i blanc vin, i canard, i armagnac, i fine".

— A nie dostał ksiądz kapelan czego na drogę? — bada ktoś.

— Nie, nie, nie — zapewnia. — Tylko taki ot... koniaczek... Ale to chowam. Dla umierających...

Nie kwapimy się do umierania. Ale może jest mniej niewygodna droga do najlepszej piwnicy w okolicy? Ha, gdyby tu był Mikuła, już by wymalował księdzu ze trzy ołtarze! Ale za rysunki Żywa czy Marsa ksiądz

by nie dał nam szklanki cidre'u. Walentynowicz ofiarowuje się z Walentym Pompką, ale to także nie towar. Oto co znaczy jechać na wojnę bez malarza kościelnego! Co zrobimy? Ostatecznie w niedzielę spieszymy na mszę do potrzaskanego, ale całego jeszcze kościołka. Ale nie każdemu radość. Uraczono nas tylko dwoma kazaniami — (angielski kapelan też się znalazł)— i zaproponowano Polakom, aby śpiewali podczas mszy. Niestety, z naszymi głosami moglibyśmy w najlepszym razie zaintonować którąś z kolend, i to w wielkim tłoku. Woleliśmy modlić się w milczeniu — i pojechać po południu do Bayeux.

III. PRZEDEDNIA

DYGRESJA: Czytelniku, któryś doczytał do tego miejsca, nieg orsz się, ani nie dziw. Nie dziw się, że pisząc o naszej wyprawie normandzkiej, piszę o statku, o kurzu, o towarzyszach, o wyprawach na calvados i o corned beefie, — zamiast pisać o tradycjach husarii, o znakomitym duchu, o wspaniałej postawie; przecież byś ziewał! Przecież mimo czteroletnich zabiegów hurra-narrrodowego picu, i tak byś nie uwierzył, żeby tak było? Czy nie lepiej Ci powiedzieć, że kapelan, co potem był w pierwszej linii, przed tym nie gardził piwnicą francuskiego proboszcza! Czy się strasznie oburzysz na wiadomość, że żołnierz, któremu potem urwało nogę, w międzyczasie miętosił z tym większą chętką pierwsze z brzegu francuskie dziewki w pierwszym z brzegu francuskim rowie? Że generał paradował en manches de-chemise zamiast obwieszony orderami, jak jedna z tylu naszych żywych (i ruchliwych) choinek? Że, ledwo wyładowawszy, nie rzucono się z wielkim wrzaskiem na wroga, ale każdy, ile mógł, tyle starał się wyspać i podpić?

Piszę tu *prostą* historię, Czytelniku, tak abyś zobaczył sam, jak to nasze życie, tak niedawno szkockie czy londyńskie, odpływało powoli od Scarborough, Cupar, Piccadilly i Carlton Hill, aż spłynęło normandzką pszenicą pod celowniki jakichś „Panther" czy „Tiger'ów", zaczajonych za miedzą, wtulonych w sad czy kępę drzew. Stopniowo, bardzo stopniowo, odpływa człowiek od pokoju, to jest od życia. Stopniowo i bardzo powoli zbliża się do rzeczy, która nazywa się wojną, i sprawy, która nazywa się śmiercią. A przedtem, i — jeśli może — potem, człowiek ma nozdrza szczególnie chłonne na to, co jest życiem. Na zapach siana, na którym spał, aromat kawy wypitej w kantynie, słowo przyjaciela, który już może ubyć, list kobiety, który przypomina co było, szklankę kwaśnego cidre'u, ostatni wypalony gold-flake. Czytelniku! po co tych ludzi zwykłych rozdziewać z ich szoferskich kurtek i przypinać im skrzydła husarzy? Po co temu generałowi kazać uderzać „pięścią w dłoń" i wsadzać mu w usta słowa, których nie powiedział? Po co ten cały patos, te łezki, ten literacki sabat, kiedy te rzeczy są w swej prostocie właśnie największe?

Wiem, oczywiście, że Bubkiewicz ziewnie i powie: no, nie mówiłem, zapijali się tam i dlatego „niewiele" uszli od Caen! Niewiele! Zostaw Bubkiewicza! I tak nic nie zrozumie. Będzie tym w Normandii zazdrościł calvadosu, załapanego na prędce w postoju? On, co segreguje archiwum i spija lepsze calvadosy— tylko że w grill roomie Savoy'u. I na państwowy koszt. Co nas może taki obchodzić? Zawsze to powie! Bo tam nigdy nie był. Bo w ciągu tej całej wojny nigdy mu się nie rozdygotał w ręku erkaem, nie rozgrzała lufa cekaemu, nigdy się przed nim człowiek w feldgrau nie zachwiał w kolanach i nie padł w dziwnym skręcie ciała. Zawsze tylko klepał frazesy. Po tej wojnie, w naszym narodzie, ten Wieczny Bubek pozostanie moralnym inwalidą. Nie stracił nogi, ni ręki, ni palca, ale straci coś, czego mu nie zastąpią funty, jakie złożył bezpiecznie, suwereny złote, jakie kupił przezornie, porcelany i antyki, jakie sobie pozbierał cierpliwie na londyńskich licytacjach. *Dlatego* swoją małość stroi w napuszone słowa. *Dlatego* nie lubi słów o wojnie *prostych*.

Przepraszam Cię, Czytelniku, za tak długą dygresję. Była ona konieczna. Ten kawał Polski, jaki osiadł w brytyjskim kręgu, nie rozumie sztuki pisania. Największy pisarz amerykański, najlepszy dziś pisarz wojny, Hemingway, wypłynął książką, w której bohater, amerykański oficer przy armii włoskiej, ucieka z frontu do neutralnej Szwajcarii.

I tego Hemingwaya zaprosił Eisenhower, aby oglądał i opisał pierwszy dzień inwazji. Tak jest w Ameryce. You see?

* * *

Bayeux jest, jak wiadomo, out of bound, toteż jest dwa razy tak pełno wojska, jakby dostęp do niego był nakazany. *Polusów* najmniej, bo większa część dywizji jeszcze się wyładowuje. Rozkoszne jest Bayeux! Źle brukowane ulice, wąskie, zawalone huczącymi samochodami. Stareńkie domy z rzeźbionymi głowami, szare dachy francuskie, mansardy, — prawdziwa prowincjonalna Francja. Ulice noszą odpowiednie nazwy: rue des Merles, rue du Vieux Sabotier, rue des Demoiselles. Jest nawet ulica Beczki—rue du Tonneau. Czasem jakiś Boulevard Waldeck-Rousseau czy Place Clemenceau. (Ach, jak pięknie, gdy są na świecie miasta, gdzie ulice nazywają się Szczygla, Panieńska, Beczkowa, Starego Szewca, a nie zaraz Wojewody Grażyńskiego, jak to wszędzie na Śląsku, pułk. Kostka-Biernackiego, jak to bywało na Polesiu, albo Sławoja-Składkowskiego, jak to bywało jak Polska długa i szeroka, t.j. od Juraty do Kut.)

Włóczy się po tym wszystkim żołnierstwo spocone, okurzone, opalone, rękawy koszuli zakasane (bez kurtek), steny bełtają się u ramienia. W Bayeux niewiele można kupić. Na głównej ulicy, w oknie wielkiego sklepu, są wprawdzie wystawione różowe maleńkie biustonosze i ażurowe „motylki" — cóż, kiedy obok napis: „sprzedane"! Widziałem samochody na wystawie z podobnym napisem, ale biustonoszy jeszcze nigdy. Za to mleczarnie są zawalone stosami Camembertów oraz Petit Crême d'Issigny. Góry żółtego masła! Oceany słodkiej śmietany! — 18 franków szklanka. Wypiłem ich tylko cztery, — pensja podporucznika nakłania do oszczędności. Miałem potem gorzko ubolewać nad tym spóźnionym skąpstwem. Na linii nie wydałem i pół franka przez tydzień.

Obładowani masłem i serami, wracamy do wozów, — prawda, jeszcze są księgarnie. Pierwsza z brzegu jest katolicka. Pełno aliantów, witani są tak niezwykle serdecznie, jakby to byli...Polacy. Zagadka wyjaśnia się: to Kanadyjczycy francuscy. Żaden z nich nie pachnie żywicą, ale każdy — rumem. Nie wpłynęło to źle na ich nabożność — kupują masowo różańce. Przeglądam książki. Niewycofana propaganda niemiecka miesza się z napływającą aliancką. Jest więc „Nouvelle litterature allemande"— i zbiór mów de Gaulle'a; jest vie romancée królowej Luizy Pruskiej (która kokietowała Napoleona) i nowoyorski „Essai sur les democraties" Bendy. Kupuję nową książkę o moim ulubionym autorze. Wychowany w Tradycji, miał słabość do Rewolucji; obrońca papiestwa, wciąż ulegał czarowi kobiet; narażał, ile mógł, swą popularność, bronił spraw przegranych; był ministrem u Napoleona, ministrem u Burbonów; u obu wygryzły go miernoty, pozostał zawsze wielkim. Nazywał się Chateaubriand. Po drodze w jeep'ie będę sobie czytał dzieje jego starczego romansu z lat, gdy nad Francją dogasały złote burbońskie lilie, a w Warszawie koronowano królem polskim Mikołaja Romanowa.

Wracając zawadzamy o H.Q. Dywizji. W bok od drogi, pod gruszami rząd samochodów, potem łączka i w jej rogu, wparte w drzewa i żywopłot — kilka wozów. Radio, mapy, sztab — wszystko. Dwóch młodych, ruchliwych rotmistrzów huka do siebie z wozu do wozu, jeden pułkownik opowiada w cieniu, jak to kopało się rowy ochronne nad Isonzo — w 1917 roku. Od stogu siana wstaje potężny Jan Tarnowski — ze swymi sumiastymi wąsami i tuszą mógłby pozować do Sobieskiego pod Wiedniem.

Generał Maczek pokazuje coś na mapach kilku wyższym oficerom przybyłym, zdaje się, z pułków. Wyglądają w każdym razie liniowo. Generał Maczek — tak jak żołnierze w Bayeux— jest bez kurtki, podwinął rękawy od koszuli, opalił się, śmieje się, opowiada coś. Nie mówi wersetami z pseudo Wyspiańskiego, nie wygłasza orędzi w Skargowskim tonie, nie naśladuje Kiepury, nie pozuje do obiektywu, do Matejki, do Batorego pod Pskowem, do Kościuszki pod Termopilami, Paszkiewicza pod Tarnopolem, nie chce nawet siedzieć spokojnie, kiedy go rysuje Żyw — i w ogóle nie przypomina żadnego z tylu mi znanych napoleontaków rodzimej produkcji.

Napoleona w wydaniu brytyjskim widziałem niestety tylko, gdy zajechał swym jeep'em, siedząc przy szoferze. (Nie trzeba jechać aż do Normandii, żeby to wiedzieć; w kinach londyńskich za jedne 1/6 można oglądaćMonty'ego znacznie lepiej.Tygodniki kinowe nic nie zmyślają.)Pierwszy generał angielski wysiada w berecie nasuniętym na czoło, swetrze pod szyję — nie wiem, jak się nie upiecze w Normandii — i w spodniach, które i kolorem i krojem są zaprzeczeniem tego, co mój podchorążywachmistrz-szef i jemu podobni nazywają wojskiem.—Żałuję, że nie mogę przytoczyć jego przemówienia. Byłaby to dobra próba, jak *ci ludzie* pojmują wojnę. Oto prawdziwa mentalność Napoleonów, książąt Alba, Cromwe lów. Tak jak on o Niemcach, tak musiał myśleć Cromwell o zwolennikach Stuartów, kawalerach, papistach i Irishach w przededniu walk, w których dokładał wszelkich starań, aby możliwie mało ludzi tego rodzaju pozostawić na Bożym świecie. Nie mówi o idei, pomście, wolności, szkaradzieństwie Niemców, zacności Aliantów. Rozumuje za to tak, jak wódz obławy, która dopadła w kniei pewną ilość istot z naszego punktu widzenia szkodliwych i zastanawia się, w jaki sposób możliwie dużą ilość tych istot zlikwidować fizycznie. Wcale nie chodzi o to, aby uciekły; zajęcie nawet całego tego lasu, zwanego Francją, nie ucieszy Monty'ego; przeciwnie, rozłości go. Coż stąd, że złe istoty pójdą po prostu do innego lasu? Naiwni, sielankowi Polacy po prostu wygnaliby Niemców z Polski, zajęliby Prusy Wschodnie. Rembieliński upomniałby się jeszcze o „kolanko Odry", mój przyjaciel Buntkowski — o wyspę Rugię, i byliby zadowoleni. Monty — nie. Niczego nie chce. Ani kawałka Kolonii. Ani „kolanka" Renu. Monty nie powie obraźliwego słowa na Niemców; Boże zachowaj! Przeciwnie; podkreśli walory bitewne tych czy innych dywizji niemieckich; zrobi dowcip o Rommlu. Ale jeśli Polak powie coś o męstwie niemieckiej jednostki, to mam zawsze wrażenie, że ma dl niej — z tego szacunku — jakieś cieplejsze uczucie. Z Monty'm ma się wrażenie, że właśnie owej dywizji przeznaczy tym sowitszy ładunek żelaza, wpędzanego przy pomocy dynamitu, ekrazytu i czego tam jeszcze, w ręce, nogi, a jeszcze lepiej w mózgi, klatki piersiowe i brzuchy tych, co zdobyli sobie jego niełatwą pochwałę.

Na łące, na mapach olbrzymich, wśród miłego ćwierkania świerszczy, zapachu sianokosów, opodal stołu, gdzie się przejdzie na podwieczorek — Monty objaśniał zadanie. Amerykanie zaszli raidem za Rennes — nie mieli tam oporu — główne siły niemieckie są tu — gest na mapę. Południe od Caen—wzdłuż od Caen—Monty wskazuje czerwony szlak drogi na mapie — dokładnej, sztabowej mapie. Droga biegnie prawie prosto z Caen na południowy wschód. Padają miana jakichś małych mieścin francuskich, nanizanych na nią w nierównych odstępach, jakieś Bretteville, Cauvincourt, Yort — i nazwy te, cały wykrawek Francji, objawia naraz Polakom swe tragiczne istnienie. Nie zna i go dotąd. Poznają teraz dobrze. Jakie to jest. Nie ma na czym wzroku zatrzymać. Nic. Na końcu tej drogi jakiś ciemniejszy punkt — zielone plamy lasów wokoło—większym drukiem wypisane litery *F A L A I S E. Here we are.* Zapamiętajcie: *Falaise.* Zapamiętajcie: *Falaise.* Na łące jest dalej popołudnie, sierpień, świerszcze, i wszyscy

zaraz pewno przejdą na tea, bo Monty już powiedział wszystko. A tymczasem w tym słońcu i sielance już zapadły jakieś wielkie, nieodwołalne Losy.

Warto pomyśleć i o własnych. Pluton Opieki jest bardzo miły, pismo, jakie wydaje swymi paroma ludźmi, jest niewątpliwie jednym z niewielu pożytecznych wydawnictw na emigracji, ale nie mam w tym żadnej roli. Trójca korespondentów zagranicznych już także się wynosi — przechodzi do sztabu Kanadyjskiej Armii, w której jesteśmy my, Polacy. Z pierwszej wycieczki do tego centrum przywieźli pokrzepiające wieści. Sztab Kanadyjski docenia rolę prasy w nowoczesnej wojnie. Obiecał im z punktu jeep'y i opatrzył w whisky. Toteż znikają szybko. Kiedy wracam do miejsca postoju Plutonu Opieki, mija mnie inny jeep; spod budy wychyla głowę Walentynowicz-Trupia-Główka. Autor „Przygód Walentego Pompki" odjeżdża do 24 pułku ułanów. To imponuje mi znacznie bardziej niż jeep, whisky i sztab kanadyjski. Jak dotąd moje starania o przydział mniej opiekuńczy skończyły się na licznych obietnicach Żywa, dobrym słowie Jana Tarnowskiego i uśmiechu generała Maczka. A tu wymarsz tuż tuż. Dywizja, trzeba przyznać, bardzo szybko zebrała się w jedną całość. Zważywszy na wysokie braki Polaków w organizacji, na to ,jak ją do przewozu poszatkowano na części, wreszcie na labirynt łąk, dróg i dróżek tego normandzkiego przyczółka, gdzie wszystko co przybywa z Anglii tłoczy się jedno na drugim — nie było to wcale takie łatwe.

8 sierpnia jest ostatnim dniem przed „akcją". (Pamiętam go dobrze, tego bowiem wreszcie dnia spokojny, nieformalistyczny kapitan angielski kładzie swój podpis na mojej wojskowej legitymacji — wszystko wciąż na tej łące, gdzie kwateruje sztab.) Chodzi teraz o przydział liniowy. — Ba, gdyby pan mógł widzieć walkę czołgów — zastanawia się generał Maczek. — Ale cóż — tłumaczy — miejsca w czołgu obliczone, dla widzów nic tam nie ma. O, gdyby pan mógł być w 10 P.S.K! To doskonały pułk; w dodatku — rozpoznawczy... Ale jakże tam pana wezmą? Do scout-car'u pana też nie wsadzę...

W tym momencie, wyznaję, wszystko jest dla mnie prawie szyfrem. Z trudem uświadamiam sobie, że P.S.K. — to pułk strzelców konnych. Scout-car? Jest to zapewne coś bardziej wojennego od jeep'a, ale nieskończenie mniej bojowego od czołga. Jeśli nawet w scout-carze nie ma dla mnie miejsca, — no, to chyba trzeba będzie wracać do piechoty. (Już rozważałem i tę ewentualność, toteż poprzedniego dnia zajechałem z butlą burgunda na stanowiska moich dawnych kolegów, Podhalan.) Ale generał Maczek wraca znowu do czołgów. Tak, gdyby w czołgach... Ale cóż, kiedy nie ma gdzie palca wetknąć! Z czołgu, którym jedzie sam generał, gdy jest na linii, zdemontowano działo, aby było więcej miejsca dla dowodzenia; lufa, jaka sterczy, to po prostu z drzewa. Nie, nie ma miejsca...

Stare doświadczenie i nauki bieglejszych mówią mi jednak, że jeśli kto chce w wojsku polskim dotrzeć na linię, to musi po prostu pchać się coraz, coraz bliżej. Jak mawiał Marszałek Piłsudski: iść na huk armat. Już przebyłem parę etapów. Z cywila do wojska, z Londynu do Normandii. Teraz maluczko z Plutonu Opieki trzeba skakać dalej. Gdyby tak z tym pierwszym rzutem sztabu, z jakim generał jutro o świcie będzie w Caen? Ta możliwżość wydaje się generałowi znacznie bardziej realna, niż wizja scout-car'u. Sam generał nie ma miejsca, ale dowódca artylerii dywizyjnej idzie ną rękę. (Znam go z czasów, gdy był attaché wojskowym w P..., teraz jechałem statkiem, który był pod jego komendą. O, nie ma jak ludzie uczynni — i znajomości!)

Ze śpiworem, płaszczem i chlebakiem przesypiam ostatnią spokojną noc u stóp jeep'a, w którym zabierzemy się w drogę na długo przed świtem o jakiejś trzeciej rano. Jest noc chłodniejsza niż poprzednia i od legowiska, od gęstej trawy sadu, idzie wilgotny chłód ziemi. Niemcy nie latają; nic

ma reflektorów nawet. Tylko wszystkie drogi wokoło nas huczą nieustannie motorami dywizyj, razem z naszą przerzucanych tej nocy za zburzone Caen. Niżej, żołnierze są jakby skupieni bardziej i cichsi. Nad tym wszystkim zaś u góry rozpięło się przejmująco czarne, sierpniowe, rozgwieżdżone niebo. W chłodzie nocy odrywają się z tego nieba i lecą w przestrzeń coraz to nowe gwiadzy. Czasem pozostawiają za sobą tak jasne smugi, że mimo woli się myśli: gwiazda czy rakieta? I mimowiednie także myśli się i o tym, że tej nocy sierpniowej, z tego normandzkiego nieba sypie się tych gwiazd milczących dziwnie, niepokojąco wiele... Jest stara wiara żołnierska że to spadają gwiazdy tych co jutro padną. Dużo spada tych gwiazd.

I już się skończył jeden normandzki etap.

IV. DZIEŃ PIERWSZY

Kiedy budzimy się, jest jeszcze noc. Huk motorów na drodze przycichł, za to wszędzie koło nas zapuszcza się silniki naszego „rzutu". Jabłonie normandzkiego sadu nie bardzo wyspały się tej nocy. Koguty, gdzieś obudzone, piać zaczęły. Pies jakiś szczeka na farmie. Polska zawsze się czemuś najbardziej przypomina o świcie samym albo o zmierzchu, i zawsze raczej wsią, nie miastem. Dzwony kościołów, zapach siana, ciepły dech obory, zmysłowe odory stajni. Ładujemy się na jeep wśród tych ech Polski, jeszcze kawa z kuchni polowej i wyjeżdżamy na drogę. Na rozstaju angielski żandarm w białych szelkach i kamaszach kieruje ruchem. Nie ma jeszcze czwartej rano, ale ruch tu większy niż na Piccadilly w południe.

Czy pamiętacie film z powieści Hemingway'a „To Whom the Bells Toll"? Jedna ze scen przed końcem, kiedy ciasnymi drogami Guadarramy w cieniu bladnącej nocy, przepycha się ku frontowi moc aut, ciężarówek, dział, czołgów, które o świcie rozpoczną ofensywę przeciw faszystom? Połyskują przygaszone światła,co chwila wszystko staje,świat dokoła zasnuty mrokiem i mgłami przedświtu, huk nieustający na drodze? Więc to właśnie to. Jak w tym filmie. Gdzieś zjeżdżamy z kolumny i na chwilę mamy ciszę, taką, jaką dają wczesne ranki jesiennych polowań. Gdzieś mijamy Bayeux. Potem z dróg polnych, wytyczonych inwazją, zjeżdżamy na asfaltówkę. W jednym rowie czołg niemiecki — jeszcze go nie wydobyli — w. innym miejscu — mały wojenny cmentarzyk. To już stare dzieje: parę tygodni chyba. Każda mogiłka posiada bowiem świeży, biały krzyż. Gdyby to było niedawno, na grobach byłyby tylko puszki blaszane po „tearation" albo „boiled sweets". W nich kartka z nazwiskiem, numerem, wyznaniem. Tak wygląda w tutejszej wojnie prowizorium mogiły.

Dnieje już zupełnie, kiedy wjeżdżamy do Caen. Szeroka droga — typowe przedmieście — domy bez szyb — prawie każdy nosi ślady pocisków. Jedziemy teraz w długiej kolumnie wozów — wiele w niej piechoty, naszej i angielskiej, na kariersach i ciągnikach. Po bokach przeciskają się nieliczni, ponurzy cywile, błądzą jakieś opuszczone, niczyje psy czy koty. — „ Jak się macie, Polacy?" — mówi czarno ubrana dziewczyna, prowadząca rower. Jest Polką, pracowała tu stale, jest polską komunistką, pyta o podróż Mikołajczyka, Wasilewską, Berlinga. Pytamy ją, dlaczego Warszawa nie otrzymuje pomocy. My jej nie umieny odpowiedzieć, ona nam. Tacyśmy sami biedni, i ona i my. Konwój rusza dalej.

Miasto jest wyludłe nie tylko dlatego, że jest dopiero jakaś siódma czy któraś tam rano. A przecież tu jeszcze nie robi wrażenia bardzo zniszczonego! Tak, słupy telegraficzne powalone, domy pełne blizn, szyb nie ma, ale to jeszcze nic. Wielki masyw romańskiej katedry nietknięty — czemu te bulwary takie puste? Wojsko tylko, ambulanse. Wszystko okurzone, pełno niegolonych Anglików, oczy świecące w zmęczonych

twarzach. Huk dział coraz bliższy. Typowe objawy, że dopychamy się coraz bliżej do kresu wędrówki.

Dopiero o paręset yardów od katedry rozumiemy, dlaczego Caen jest wyludłym miastem. Wjechaliśmy do śródmieścia, a zarazem do tego, co było nowoczesną częścią miasta. Po Madrycie, Warszawie, Londynie, nie myślałem, że mogę zobaczyć jakieś bardziej zbombardowane miasto. Co za dziecinna naiwność! Tu nie tylko nie ma domów, ale i nie ma ulic. Jedziemy poprzez jakąś bardzo pagórkowatą pustynię, pokrytą szaroczarnym, miałkim i lotnym pyłem, spod którego wystają jakieś złomy. Widok ruin domów jest rzeczą niezwykle rzadką. Zazwyczaj są to złomy, przywalone gruzem, przesypane tym pyłem. To, czym jedziemy, nie jest wcale ulicą; nigdy nawet nie było ulicą. Po prostu poprzez tę pustynię wytyczono wijący się, nierówny szlak, tak samo kręty, jak bieg rzeczułki wiejskiej; którędy było najłatwiej przejechać ku mostom na rzece Orne. Napisy na tle gruzów głoszą: „tędy do mostu Winstona". „Most Winstona" jest oczywiście nowym mostem — postawili go pionierzy. Tego samego pochodzenia jest i drugi most: „Euston Bridge". Nie wiem, czy Winston i Euston zyskają w Caen na popularności.

Rzeka Orne, mała, biedna rzeka jest teraz strumieniem, płynącym przez pustynię. Jej dawne mosty zsunęły się w jej głąb, jej woda stała się tak samo szaro-czarna, jak „droga", po której jedziemy, jak pył, który przesypuje to wszystko. Cembrowiny, w które była ujęta, popękały, jak gliniany garnek; ona sama wygięła się to w lewo, to w prawo. Parę drzew pozostałych na brzegu — to czarne kikuty bez jednego liścia, osmalone ogniem. Pnie zwłaszcza są węglem. Teraz dopiero człowiek sobie uświadamia, jak olbrzymie może być zniszczenie miast niemieckich, jeśli tak wygląda małe Caen.

Po drugiej stronie rzeki jest nieco lepiej. Tu Niemcy nie przygotowywali obrony, nie mieli składów, uzupełnień, załóg. Gdzieś, w jakichś centrach wysyłających bombowce odkreślono tę część miasta od reszty, podobnie, jak odkreślono tamtą, tę z katedrą. Tu działała tylko artyleria. Ale i tu jest pustka. Domy puste, choć jest już chyba po ósmej — przejazd przez Caen zabrał nam dobrą godzinę. Natomiast wzdłuż chodników leży pełno żołnierzy angielskich. Zasunęli swe płaskie hełmy na oczy — i śpią. Śpią wszędzie. Na chodnikach, we wnękach bram, na ciężarówkach i w cieniu ciężarówek, na podwoziach długolufych dział. (To także tylko w bliskości frontu tak wielkie ilości ludzi mogą spać w tak niewygodny sposób tak twardym snem. Na froncie ludzie żywi będą spali koło trupów, upodabniając się wzajem swym znieruchomionym spokojem. Nawet gdy trupy są już parodniowe. Nie szkodzi.)

Przedmieście ścieśnia się w szosę — szosę na Falaise. Naraz z lewej i prawej błyski i huk — trzeba w uszy wtykać watę, gumowe zatyczki. To zmasowana artyleria aliancka — jakieś dwadzieścia parę pułków — obrabia stąd pozycje niemieckie. Jak na szerokiej szachownicy, stoją działo za działem. To nie żadne baterie, to po prostu pole porosłe działami, olbrzymi kwadrat, którego końca stąd nie widzę. Właściwie nie ma oddzielnych salw: jeden strzał zazębia się w czasie o drugi i jest to nieustanny błysk odpaleń, przebiegający polem, jak dreszcz, i nieustanna fala huku. Kiedy będziemy dalej, będzie to jak długi, letni grzmot. Skończył się żywot indywidualny działa; ich masowość zagnała je w kolektyw. Tam, gdzieś przed nami, także pociski nie zwalają się jeden po drugim. Spadają naraz, jak gołębie, całą masą.

Gdzieś przed nami? Krajobraz zmienił się bardzo od okolic Bayeux. Zamiast łączek, sadów, drzew, coraz większe, szersze przestrzenie. Kraj jest pofalowany, ale są to coraz dłuższe fale i coraz bardziej płaskie. Oto jedna tuż przed nami—pełno na niej wozów,—czołgów. Tu, jeśli wszystko poszło wedle planu, powinien być w tej chwili generał ze sztabem i pułkiem

czołgów. I istotnie! — jest. Przed nim, olbrzymim prostokątem, z działami na południowy-wschód w kierunku otwartego horyzontu — stanęły czołgi. Będzie ich chyba paręset. Dzień zrobił się piękny. (Jeden z takich, którymi późne lato przechodzi we wczesną jesień.) Kraj też się zrobił piękny. To już nie jest ogródkowa zieloność tamtej części Normandii, to nie jest szarość zniszczenia Caen. Jesteśmy na garbie wzniesienia. Widać stąd szeroko. Po lewej ugina się kraj w lekką kotlinę i dopiero daleko podnosi się nieco z powrotem sinymi grzywami lasów. Przed nami spłaszcza się niemal — niemal — w step. Ta sama pszeniczna płowość. Ta sama olbrzymiość równiny. Gdzieś daleko jakieś drzewa, znak jakby futoru. Po prawej prosto wytknięta szosa — drzewa — słupy telegraficzne. W żaden sposób to wszystko nie mogłoby być hrabstwem Perth, York czy Stafford. Jakże łatwo mogłoby być Podolem! Już za szerokie, za potężne na Konin czy Kościany; Tarnopol? tak. Trembowla? Tak. Kopyczyńce. Jampol. Połonne. Może... Stary Konstantynów.

Czołgi zatrzymały się nad tym. (Dawno już porzuciłem gościnnego jeep'a.) Stoją właściwie już poza samym garbem, z lekka na stoku, jakby już wjeżdżały w to wszystko. Czy wojna ma swój patos? Oczywiście, że ma. Czy maszyna ma swoje piękno? Oczywiście, że ma. Ale tu działa przede wszystkim moc tego. Mnogość! Gdyby to spływało ze wzgórza jedną falą, to byłby prawdziwy zalew. Silniki grają. Maszty radiowe chwieją swe smukłe pręty. Z wież wyglądają ludzie.

— „Pruszyński!? Co pan tu robi? Skąd tu?"

Tak przemówiła wieża na czołgu z lewej. Toteż niezależnie od słabych talentów akrobatycznych już jestem na czołgu z lewej. — „Jestem Rożek, podporucznik, z Guer, pan pamięta, z Coëtquidanu? Spotykaliśmy się u Lipskiego! Z Adolfem Bocheńskim! O, szkoda Bocheńskiego, szkoda... Tak się naprawdę zmartwiłem, gdy przeczytałem, że pod Ankoną... Co pan tu robi? To spotkanie!...

Wszystko zaczyna się tak! jak myślałem (i tak, jak bym napisał w powieści). Nawet z Coëtquidanu. (Tylko znajomościami można w Polsce gdzieś zajechać nawet do czołgów także, i byle te znajomości odnaleźć, to już wszystko idzie.) Tylko tak dalej.

— Zabierze mnie pan do czołgu? —

Coś jest takiego w oczach porucznika Rożka, że czuję, że by mnie zabrał. (To już dobrze.) Ale potem przychodzi opór:

— Ale jak, miejsca nie mam?—

— Nic się nie znajdzie?—

— No, jak? —

I otrzymuję (znane mi już) wyliczenie, gdzie kto w czołgu siedzi; ani miejsca więcej. Ale jednocześnie widzę wyraźnie, że i on ochotę ma. Wprawdzie coś bąka o szkodzie, o potrzebności, o pisaniu, ale ktoś, co za chwilę sam będzie głowę nadstawiał, nie przejmuje się zbytnio cudzą.

Wreszcie ukazuje się furtka:

— Niech pan pomówi z dowódcą pułku. Może on co wynajdzie... O, ten czołg, tam...

— A jaki wy jesteście pułk? —

— 10-ty P.S.K.! —

Wiadomość ta niespodzianie mnie cieszy; już Maczek mówił o tym 10-tym P.S.K., teraz akurat na niego trafiam; widać tak już sądzone. Idę ku czołgowi. Nim doszedłem pół drogi, czołg zachwiewa się, zakiwał się w miejscu i rusza. Za mną czołgi, płazy żelazne, zakołysały jeden po drugim wieżami i zjeżdżają po kolei na drogę. Jadą szerokim, stratowanym, jak klepisko, szlakiem. Biegnę; nie ma mowy dogonić. Mija mnie czołg porucznika Rożka, który daje ręką jakieś skonfundowane ruchy. W odpowiedzi macham w kierunku jego drogi. On też. Znaczy: dogonimy się. Jeszcze nic nie stracone. W każdym razie jedno już teraz wiem. Będę szukał szczęścia w tym dziesiątym p.s.k.

Narazie nawet sytuacja zaczyna się poprawiać. Oto naraz za czołgami pokazują się ciągniki—wsiadam na pierwszy z nich—jedziemy. Teraz można spokojnie przyjrzeć się wszystkiemu. Przed nami polem jadą wydłużonym pochodem czołgi, wozy, ciągniki. Za nami zostało Caen, artyleria „Agry", reszta dywizji; z boku od nas droga, pusta zupełnie — łupie w nią za to co chwila artyleria niemiecka. Byle nie zaczęła skręcać, wszystko dobrze. Ze wsi w drzewach przed nami wznoszą się dymy; widać ogień w dwóch miejscach; słychać zupełnie blisko karabiny maszynowe. Przed wsią pszenica się kończy; jest jakieś pole zielone, jakby buraki. Widać w nim zbliżające się skokami do wsi plamy khaki. Tę wieś, jeśli dobrze pamiętam, mieli zająć Szkoci. Nasze czołgi pójdą dalej.

Tymczasem, raz za razem, pochód się usztywnia. Wieś przed nami odszczekuje się coraz częściej urwanymi „krótkimi seriami" karabinów maszynowych. Najwidoczniej działanie artylerii nie było tak znowu straszliwe, jak nam to obiecywano. Droga po prawej jest też coraz częściej „macana" niemiecką artylerią. Ciemno-sine słupy wybuchów wykwitają między jej drzewami i człowiek mimo woli sobie myśli: wszystko to jest bardzo dobre, ale przecież wreszcie jakiś niemiecki obserwator zauważy, że cała kolumna pojazdów posuwa się równolegle do drogi — i skróci ogień o tych dwieście czy trzysta yardów. Zupełnie nystarezy.

Tymczasem nowa trudność. Waleczne ciągniki nie jadą dalej. Mają tu czekać na jakieś dalsze rozkazy. Czołgi są przede mną o pół kilometra; też stoją. Mogą jednak ruszyć. Nie ma co, zabieram się i idę ku nim. Idzie się, jak klepiskiem, złota słoma kłosów została wdeptana gąsienicami w rudą, gliniastą ziemię. W jednym miejscu wyrwa: czołg — niemiecki — rozbity oraz pod strażą dwóch drągali angielskich dwaj niemieccy jeńcy. Siedzą, plecy mają do siebie, przyglądają się, jak tyraliera brytyjska podchodzi pod tę spaloną, już bez ziarnka, wieś. Anglicy, ucieszeni, mówią do mnie:

— O, ten stary jest Polakiem!

Starszego jeńca zagaduję po polsku. Nic nie odpowiada. Pytam drugi raz, on nic; już myślę, że to przez jakiś swoisty fason, gdy ten mówi:

— Ich verstehe nicht...

— Sie sagten Sie sind ein Pole?

— Jawohl, Leutenant; ich fürchte...

I pokazuje na żołnierzy angielskich; drugi jeniec ogląda się na niego, na mnie. Ma przymrużone, pogardliwe oczy. Objaśniam Anglików, co to za rodzaj „Polaka". Idę dalej.

Na boku nieco stoi oficer polski. Major. Patrzy się na mnie, skąd się biorę na piechotę tutaj, ja na niego — melduję się.

— Aaa...Pruszyński...powiada ze zrozumiałym u majorów brakiem zapału.

— Pan major mnie zna?

— Tak... Z czytania...

Ton nie jest szczególnie zachęcający, ale najlepiej jest brać byka za rogi.

— Z czytania, powtarzam; no to już wyobrażam sobie!...

— Dlaczego — mówi major pojednawczo — rozmaicie...

W pewnych rozgrywkach wyniki remisowe już należy uznać za zwycięstwo; pcham więc rzecz dalej. Mówię, jaki mam przydział i po co zawędrowałem aż tu; mówię o spotkaniu z porucznikiem Rożkiem i że szukam 10 P.S.K., i czemu szukam 10 P.S.K. Major słucha tego dziwnie cierpliwie i wreszcie mówi:

— Zabiorę pana moim rzutem A1; por. S. wsadzi pana do scout-car'u. Do scout-car'u? — myślę — i przypomina się generał i wczorajsza rozmowa. Okazuje się zatem, że można dostać się do scout-car'u! Może nie jest czołg, ale zawsze lepiej niż ciągnik.

— Ale gdzie jest 10 P.S.K.? — pytam jeszcze.

Major wyjaśnia:

— Jestem dowódcą 10 P.S.K....

Zbyt krótko jestem w tej dywizji, żeby wiedzieć, że tu majorowie dowodzą pułkami; sądząc po bliżej mi znanych i liczniejszych okazjach, mógłbym się łatwo spodziewać na tym stopniu pełnych generałów. Idzie coraz lepiej. Porucznik S. podwozi mnie do owego mitycznego jeszcze dla mnie „rzutu A1“. Jest to nieco w tyle. Sympatyczny Lwowianin, podchorąży G., wita mnie bardzo ciepło. Okazało się, że uprzedza wypadki; myślał, że jestem ranny. Sam, biedak, był ranny i ciężko, w dwa dni potem.

Podchorąży G. dokonywa też mojej intronizacji do pojazdu zwanego scout-car'em. Oczywiście znałem z widzenia to blaszane zamknięte pudło na kołach, z karabinem maszynowym na dachu. (Nawet w moich oczach nie jest to zbyt groźny potwór; ale niewątpliwie znacznie bardziej niż jeep.) W każdym razie — niewątpliwy awans. Czuję się nieco, jak poddany Jego Królewskiej Mości, który marzył o tym, aby zostać lordem, ale zostaje narazie tylko sir'em. „I do like it too" — powiada sobie licząc, że na lordowstwo też przyjdzie kolej. Od scout-car'a, jak od sir'a, należy zacząć, nie należy tylko na tym i skończyć.

Kierowca scout-car'u, przyjemny blondyn z Wileńszczyzny, ma tu rozgałęzione stosunki rodzinne. W tej armii jest dwóch jego szwagrów, trzeci poległ. Szwagrów nie zabrał ze sobą z Polski: to już tutejszy nabytek, — jest bowiem żonaty ze Szkotką. Jedziemy wciąż w tempie dość wolnym, tak zwanym kalwaryjskim. Zostawiamy na boku ową wieś, do której już zdążyła wejść tyraliera angielska; teraz tylko od czasu do czasu jakiś krótki strzał oznacza, że regulują tam ostatnie rachunki. Z kolei artyleria niemiecka domacowuje się wsi. Pociski mamy teraz po obu stronach, bo drogę obrabiają także; jedziemy środkiem. Jakiemuś czołgowi spadła gąsienica, wlazł na minę; pożyteczna przestroga. Odtąd jedziemy takim tylko szlakiem, gdzie przeszły co najmniej trzy czołgi. Po drodze z sanitarki ktoś macha ręką: to spotkany tu onegdaj Walentynowicz. Ale zawsze co scout-car, to nie sanitarka ; patrzę z góry na bohaterskiego autora „Przygód Koziołka Matołka" i „Fiki Miki dalsze dzieje". Za chwilę to Walentynowicz jest wygrany: wprawdzie dalej jedzie sanitarką, ale jego waleczna sanitarka przegania nas, nie wiedzieć czemu. Wreszcie jeszcze jedno spotkanie: zbożem podjeżdża szykownie jeep, w nim Horko i korespondenci wojenni — Kiersnowski i Feldhusen. Bardzo pożyteczne spotkanie, bo przywożą mi przyjemny list z Anglii.

Tymczasem robi się popołudnie, podjeżdżamy pod las i huk strzałów jest już bardzo bliski. Za las przed nami poszły czołgi *naszego* (to jest, oczywiście, 10 P.S.K.) pułku; za lasem z lewej bije się pierwszy pancerny. Tymczasem skraj lasu i oba lasy są pod ogniem jakiejś dalekiej artylerii niemieckiej. Bije gęściej niż tamta na drodze. Jakiś carrier dostał i pali się; farma pod lasem — duży piętrowy budynek — dostaje raz za razem, toteż wozy robią tam duży wykręt w pszenicę, gdy trzeba tędy objeżdżać Tamten skraj lasu jest też unikany. Systematyczność niemieckiej artylerii ma swoją dobrą stronę. Dzięki niej po dwóch pierwszych pociskach można się zorientować, na co kolej, i odpowiednio zmienić własne miejsce postoju.

Od pułku w przedzie dochodzą krótkie wiadomości radiowe, które rozchodzą się tym szybciej, żeśmy pod lasem zeszli z wozów i leżymy wśród ściętych pociskami wielkich gałęzi; poczta pantoflowa może działać. Pierwszy pułk ma olbrzymie straty...natrafił na niemieckie „Tygrysy" pod lasem... Nasz (to jest dziesiąty) stracił kilka czołgów. Zginął rotmistrz Leliwa... Mija godzina, druga, trzecia. Cień drzew robi się dłuższy; jest mniej gorąco. Siadamy w dole niemieckiej roboty i zabieramy się do jedzenia. Jużeśmy mieli herbatę robić — co by się bardzo przydało — gdy nagle wiadomość:

— Porucznik Sz. do bacy!

Domyślam się, że „baca" — to dowódca pułku, ten sam major, który mnie przyjął do rzutu A1. Istotnie, wyglądał na bacę. Milczący, zamyślony, uważny. Nie wszystko na wojnie składa się najlepiej; właśnie lizjera lasu, którą z por. Sz. będziemy przejeżdżać, spodobała się artylerii niemieckiej. Już łupnęło tam w jakiś ciągnik, — o, przez pole, środkiem, niosą rannych i prowadzą jednego. Po chwili nowy słup wybuchu wyrasta na tej samej lizierze. Siadamy we trzech do scout-car'u.

— Jedź *uważnie* — upomina kierowcę Sz. Po wykrotach, zapylamy przed lizierę. — *Uważnie* — przypomina Sz. — *Uważam, — uważam*, panie poruczniku — zaręcza Wilnianin. Wszyscy na pewno myślimy, jak by to szybko być poza lizierą. Drzewa, rów, nasyp; trzeba zwolnić. Jest! Scout-car wyjechał na równe, przed nami znowu pole. Dajemy gazu w zboże, jakby to był asfalt.

Pole, na którym teraz jedziemy, jest jakby wielką polaną. Ze wszystkich stron bądź drzewa, bądź lasy. Pszenica na poły stratowana — wyrwy pocisków — na skraju, na tle nowej jakiejś wsi, wielki ogień. To dopala się czołg angielski. Jeszcze niekiedy wybucha amunicja i kawały żelaza — furcząc — lecą w powietrze. Na tym polu zbierają się szwadrony pułku. Jest por. Rożek.

— Dobrze, że pan nie był: nasz czołg dostał!

(Dziś już nie pamiętam, jak dostał; zdaje się, że w ciągu tego krótkiego tygodnia czołgi dosiadane przez por. Rożka dostawały stale — i załoga też.)

Major jest też:

— Jest pan. Dobrze?

Jak dobrze, to dobrze. Pod czołg zeszli się dowódcy szwadronów. Odprawa. Jak się okazuje, przyczajone za tamtym stokiem „Panthery" i „Tygrysy" pokazały, co potrafią. Straty są duże i wszyscy są małomówni. Pułk musiał być zżyty. To co dla mnie jest pozycją straconych czołgów, dla nich — to tyle ludzi, z którymi zżyto się, jak w rodzinie, w klasie, w dywizjonie.

Zbliża się wieczór. Nagotowano jakichś konserw ze świeżymi, ukopanymi obok, ziemniakami. Czołgi rozstawiają się na noc po polu. Odnajduję jednego znajomego z Krakowa; drugiego nie wiem już skąd. Z niskim, ruchliwym por. S. o niemieckim nazwisku jedziemy w kierunku, gdzie sztab dywizji *is supposed to be* — tam gdzieśmy przejeżdżali rano. Na *jeep'ie*, który mnie dowiózł za Caen, mam przecież wszelkie manele. *Leica* nie zastąpi mi śpiworu, żyletki i szczotki do zębów.

Kiedy wracamy — z kwitkiem zresztą, bo *jeep* pozostał pod Caen — jest noc, ale jasna. Pod wsią dopala się, jak stos ofiarny, tamten angielski czołg, od wschodu coraz to zapalają się pąsowe „flary"; to niemiecka metoda. Z lasu za nami wytryskają dwa sine słupy w kształcie jakby litery „V"; to Anglicy. Okazuje się, że major zabrał jeszcze raz czołgi i poszedł na rozpoznanie po nocy. Późno powraca.

Nacinamy sobie zboża, jak słomy, na pościółkę, załoga jakaś odstępuje życzliwie swój koc, S. — swój płaszcz, i zasypiam. Inni dawno już śpią, kto tylko mógł. Zatem jestem już pół-nogą w tym pułku. Byle tak dalej!

ROZPOZNANIE NA ST. SYLVAIN

Załoga por. S., z którym wieczorem jeździłem do sztabu dywizji, już przygotowała śniadanie: herbata (z puszki), chleb — rzadkość — suchary, margaryna, jam. Są to ludzie gościnni. Noszą przeważnie kombinezony, swetry, wyglądają bardziej na szoferów i robociarzy w naszym starym pojęciu, niż żołnierzy. W ogóle w czołgach i w linii battle dress jest w zaniku. Szare, zielonkawe kombinezony, spodnie i kurtka — jedna całość, albo drelichy zupełnie do tamtych podobne — oto właściwy mundur. Jedynie naramienniki, czasem krój kieszeni na piersiach przypominają, że to jest wojsko. Tak, czy mniej więcej tak, chodzą wszyscy, zaczynając od do-

wódców pułku; gwiazdki giną na tym szarym tle. Teraz, gdy tak jedzą, w polu, w zbożu, wyglądają na zespół robociarzy. Jacyś traktorzyści którzy zaraz zaczną robotę. Twarze są robotnicze, szoferskie. Piją z różnych kubków, jakby unikali uniformicznych manierek.

O kilkanaście kroków dalej stoi czołg por. Rożka. Jego i czarnego podchorążego, który z nim razem siedzi w wieży, znam z wczoraj; mają jakby wyrzuty sumienia, że wtedy mnie nie zabrali. Moja pozycja jest też dziś mocniejsza skoro przyjął mnie dowódca pułku. Na początek goląc się żyletką por. Rożka i mydłem jego towarzysza, przedstawiam im możliwie wymownie, ile tracą czołgi, że żaden pisarz jeszcze nimi nie jeździł, oraz jak ogromnie wiele zyskaliby pisarze, gdyby mogli oglądać świat Boży nie tylko z okien redakcji, Strattonu, sleepingu, Dorchesteru, „Polski Walczącej", ale jeszcze i Cromwella czy Stuarta; — cóż, kiedy rutyna tych wojskowych!... A potem wymyślają, że się nie tak pisze! Gdyby ci nowi z Coëtquidanu bardziej choć rozumieli! Ale gdzie tam! Tacy sami. Wiem, że Rożek jest z Coëtquidanu. Jego szeroka twarz patrzy teraz na mnie z wyrzutem. Lubię go coraz bardziej, ale wyrzut ten mnie cieszy. Widać, że moje słowa dosyć celnie trafiły w pancerz jego oporu.

Major już jest gdzieś na przodzie. Dwa pozostałe szwadrony zbierają się pod lasem. Dowodzi tu poznany już wieczorem rotmistrz G. Nosi nazwisko ziemiańskie, znane dobrze w lubelskim, na Wołyniu i Kieleckim, (— co zaraz zanotowałem sobie, jako jeszcze jeden możliwy „uchwyt", aby się w tym pułku zahaczyć — tak samo jak to, że major jest żonaty z Wilnianką—znam dobrze Wilno, jak to, że Rożek jest brat łata z Coëtquidanu. Wkręcenie się do bojowego pułku w Polsce podlega niejednej z tych reguł, przy pomocy których uzyskiwano posady w Polsce, a „prace zlecone" w polskim Londynie. Tylko że starań nie przelicza się na pieniądze.) Rotmistrz G. jest zresztą interesujący: Żyw czy Topolski zaraz by go rysowali. Stanowi fizyczny kontrast z moim przyjacielem — czy mogę go już tak nazwać? — por. Rożkiem. Por. Rożek jest mocny w sobie, przysadzisty, spokojny. Rotmistrz jest szczupły, ma cienkie rysy, nerwowy. Był w Polsce świetnym kawalerzystą i ma w sobie ów sznyt kawaleryjsko-ziemiański (w pełnym tych obu słów znaczeniu). Daleko odeszłem od ziemiaństwa, ale jakiś wspólny język z nim znajdę. Narazie rotmistrz mi wypomina moje artykuły (wojskowe, nie rosyjskie), ja tłumaczę, jak bardzo *chcę* mieć przydział frontowy. Jedno nie jest oczywiście żadną odpowiedzią na drugie, ale odchodzę z — może mylnym—wrażeniem, że znajdę jednak język porozumienia z tym ziemiańskim rotmistrzem. Nie; to nie jest bohater mojego romansu. (Bohater mego tutejszego romansu — mam go już. Od wczoraj rana.) Ale jest to człowiek z gatunku mi znanego. A przy tym...

A przy tym jest strona malarska tej sprawy i ta zawsze do mnie przemawia. Choćby teraz. Rotmistrz G. stoi teraz w polu, na stratowanym zbożu. Przy nim oficerowie w hełmach — ciężkie, amerykańskie hełmy czołgistów — on bez hełmu, z gołą głową. Przed nim czołgi — załogi w wieżach — zaraz jedziemy. Na tym tle rotmistrz G. wygląda, jak człowiek z obrazu. Jacek Malczewski. Kto w Krakowie nie pamięta tylu, tylu portretów, na których stary Jacek malował krakowskich hrabiów, profesorów, dentystów, adwokatów w pancerzach, których nigdy nie nosili, na tle pól, gdzie wśród snopów zboża stały jakieś chimery czy strzygi? Jacek Malczewski malowałby tak samo rotmistrza G. z jego cienką, pańską twarzą minionych światów, a za nim — te jego ciężkie, takie nie jego, czołgi.

Ale pierwsze czołgi już poszły, a ja tymczasem myśląc o Malczewskim wgramoliłem się swoją drogą na czołg Rożka, — ni to w pogawędce. Por. Rożek lubi bowiem pytać — i słuchać. Czasem rzuca pytanie, na które musiałbym odpowiadać co najmniej do końca wojny. Co myślę o Rosji? Co sądzę o Kocie? Czasem są bardzo konkretne. Czy myślę,

że lepszym ambasadorem w Rosji byłby zawodowy dyplomata? Rożek jest znany z tego, że zadaje wiele pytań; muszę przyznać, że nie zadaje błahych, ani plotkarskich. Nie zapyta, czy to prawda, że Pudlikowska żyje z majorem Cwoniem, ani czemu zawdzięczać, że żona Szczypienia dostała wcześniej porucznika od Wrażyniny. (A i takich pytań słyszy się wiele.) Podchorąży nie pyta, ale słucha. Ranne wiadomości były, że Niemcy cofnęli się o parę mil — mijamy z boku Kanadyjczyków — co będzie, to się zobaczy. Narazie jest tak, że siedzę w wieży czołgu, po stronie podchorążego, który opuścił się do wnętrza. Nogi mam opuszczone do wieży — siedzę na jej skraju — w razie nierównej drogi kopię z musu podchorążego w plecy, bardzo przepraszając za każdym razem. Na osłodzenie i przynętę opowiadam, co mam najlepszego w moim repertuarze: o Sikorskim na Kremlu, Stalinie tamże, Rosji w ogóle, dużo szczegółów. Widzę, że nie wysadzą mnie w zboże w połowie tego opowiadania.

Objechaliśmy las, drogę, jakichś Kanadyjczyków, naszą piechotę — miło jest pokiwać swojakom z wysokości Stuarta! Pod lasem postój. Major — dogoniliśmy tu — wyjaśnia raz jeszcze sytuację na mapie. Ja przychodzę najpóźniej—nie bardzo wiem, czy mogę czy nie być na odprawach? — tak że poza ogólnym kierunkiem nie wiele jeszcze wiem. I zaraz z powrotem „do czołgów"! Siadam za podchorążym, jak uprzednio. Powoli wyjeżdżamy za las. Na skręcie trup niemiecki, twarzą w ziemię. Rozjechały go czołgi, hełm — ciężki hełm niemiecki — spłaszczony elipsoidalnie. Trochę paskudne uczucie. Początek widać że coraz bliżej. Czołgi trzema szlakami wjeżdżają w pszenicę.

Cokolwiek by przyszło potem, ten jeden moment na pewno nie wyjdzie z mej malarskiej pamięci. Ranek wczesny — taki o lekkich mgiełkach, z charakterystycznym zawoalowaniem horyzontów, co zawsze zapowiada parny dzień. Kraj przede mną—pofalowany, ale łagodnie, gdzie łan ugina się w drugi łan i tylko miedze, krzakami i drzewami porosłe, plamią monotonię. I właśnie przed nami, w dół nieco ugięte — takie olbrzymie pole pszenicy. I jakiej pszenicy! Najwspanialszej, jaką chyba widziałem w życiu. Olbrzymie, wysokie kłosy strzelają prosto, zasiane równo. Kłosy mają aż rudawe przebłyski, jak czasem włosy kobiece, są ciężkie, naładowane ziarnem, stężałe. Dawno już powinna była tędy pójść żniwiarka, ale ludność uciekła, farmy, wsie stoją puste. Nie doczeka się pszenica żniwiarek. Obsypuje ją wiatr. Wtratowują się w nią czołgi...

To Jan Tarnowski, pół-malarz, mówił mi o tym, że wjeżdżając w zboże czołgi wyglądają, jak jakieś olbrzymie bawoły czy paleontologiczne potwory, które poszły się wypasać. Ach, jakie to prawdziwe! Z naszego czołgu widzę inne, jak uważnie, jeden za drugim, paroma zagonami wpierają się w nieruchomy mur tej pszenicy, grzęzną w niej do połowy wysokości, brodzą jak w jakiejś płowej wodzie. Wrażenie paleontologiczne—przedpotopowe — powiększa jeszcze zupełna pustka i milczenie przed nami. Widzimy teren na kilometry i kilometry wokoło, przed siebie, wszędzie — i ani śladu żywej istoty. Wciąż lekki skłon, wciąż ta dziewicza nietkniętość pszenicy i tylko za naszym przechodem szerokie się pasy znaczą. Tu uświadamiam sobie, jak bardzo jest potrzebne, aby pisarz czy malarz *sam* przeżywał te rzeczy. Dla mego dowódcy w czołgu i jego załogi nie ma już nic nowego w tych wrażeniach. Dla nich jazda łanem pszenicy jest tym samym, co dla innych jazda asfaltem. Jedyna refleksja, jaką mają, to ta może, że w pszenicy, tak gęstej, mniejsza obawa o miny. (Tu dostrzeże się łatwiej, że coś ruszano, wkopywano, zakładano.)

W ten sposób zjeżdżamy aż w dół nieckowatej płaskiej doliny — coraz więcej żywopłotów i drzew — bliski skraj horyzontu przed nami — na lewo jakaś wioska. Dostrzegli nas — parę pocisków pada z tyłu i z lewa od nas i ciemne plamy wyrw pozostają już na dobre w płowej jednolitości pszenicy. Przystajemy za żywopłotem. Czekamy.

W tym momencie moje marzenia czołgowe wkraczają na najlepsze drogi. Zjeżdżając czołgiem po stoku, nie tylko podziwiałem piękno pszenicznego łanu, krajanego żelazem gąsienic. Moje nogi, zwieszone do środka wieży, wybijały takt jazdy na plecach zastępcy por. Rożka — podchorążego. Był to człowiek obdarzony niewątpliwie nader łagodnym usposobieniem i bardzo wytrzymałymi plecami, było jednak jasne, że będzie to miało swój kres. Ale kiedy i jaki? Wszystko wskazywało, że prędki. Przestał już nawet kwitować grzecznym słowem moje przepraszania nadawane regularnie za każdym nowym kopnięciem. Kataklizm się zbliża. I istotnie — Panie poruczniku, — zwraca się do Rożka — właściwie, gdyby porucznik Pruszyński chciał, mógłby pojechać jako strzelec przedni...?

Strzelec przedni? Nie bardzo wiem, co to zacz, ale bardzo mi odpowiada ta inicjatywa.

— Mógłby — waha się Rożek — ale co zrobimy z Semeniukiem?

— Pójdzie do sanitarek! On się zgodzi.

W czołgach są niepisane prawa załóg, mocniejsze niż rozkaz, o czym się jeszcze przekonam. Z czeluści Stuarta pod nami wywołujemy Semeniuka. Otwiera swą klapę nad głową. Okazuje się, że jest z Brygad Międzynarodowych w Hiszpanii, zaczynam więc i z tej beczki, wspominam Matuszczaka, Antka Kochanka, Kowaczka. Milczy sceptycznie czy ostrożnie; z tej strony nie idzie. Zdaje się, że należy do ludzi, częstszych niż się zdaje, w których ogień rewolucji wystygł na zupełny popiół. Już myślę, że nic nie pomoże — może sto franków? — ale okazuje się, że nie. Roztropny Semeniuk był pod Guadalajara, był kilka lat w Legii Cudzoziemskiej, i to w zupełności zaspokoiło jego osobiste zapotrzebowanie na wojnę. Nie, nie ma nic przeciwko temu; jeśli ten porucznik chce, on, Semeniuk wróci w tył do sanitarek, ustąpi swe miejsce.

W chwilę potem już jestem w czołgu, zapoznaję się z otwieraniem i zamykaniem klapy; z manewrowaniem peryskopem, z karabinem maszynowym. Ostatecznie wszystkie karabiny maszynowe na świecie są do siebie w zasadzie podobne, — ten jeden ma tylko tę jedną szczególną właściwość, że nie ma celownika. Strzela się „na kierunek", patrząc przez peryskop; świetlne pociski ułatwiają celowanie. Po prawej — skrzynki z amunicją. Tędy się je ładuje. Tu się wyrzuca łuski i zużyte taśmy. Tu jest woda do picia. W tej manierce — kawa. Cenne informacje. Ludzie myślący o odnawianiu swych sił przy pomocy jedzenia zawsze sprawiali na mnie solidne wrażenie.

W chwilę potem klapa zamyka się nade mną, nakładam słuchawki, — i czekam. Bardzo złożone są te pierwsze wrażenia. Z pola znalazłem się w maszynie; zapach zboża zamienił się w zapach smarów, benzyny, spalin; powiew w duszność i gorąco; jasność — w ciemności. Człowiek z trudem przyzwyczaja się do ciemności. Ale główna zamiana polega właściwie na tym, że zaczynam posługiwać się w znikomym stopniu wzrokiem, za to w nieproporcjonalnie zwiększonym — słuchem. Zasięg mego wzroku został niepomiernie skurczony. Widzę tylko tyle przed sobą, ile można widzieć przez prostokątną, podłużną szparę peryskopu. Jakiś ułamek ułamka. Natomiast słuch rozszerzył nieskończenie swe możliwości. Wprawdzie jest to słuch syntetyczny, sztuczny. Po prostu sieć radiowa łączy wszystkie czołgi pułku, szwadronu, plutonu, ba, łączy je ze sztabem, ze światem, z B.B.C., z Anglikami w innych czołgach o parę mil stąd, z Niemcami gdzieś przed nami. Radio gada i gada. Z bliska i z daleka. Mieszają się fale, rozkazy i języki. Radio jest naprawdę wielką rzeczą w czołgu.

Ruszyliśmy, czołg się zachwiał, gałęzie leszczyny posiekły rozpaczliwie szkło peryskopu, wstrząs, i znowu jedziemy jakimś ścierniskiem. Człowiek wraża oczy peryskopem w najbliższą przestrzeń przed nami — czy te nowe zarośla w lewo nie kryją czasem czego? Instynktownie człowiek zaczyna

wyczuwać, że bestia, której stał się częścią, nie cierpi właśnie takich komyszy, że z ulgą patrzy się na otwarte pole. Rogacz idący o zmierzchu do wodopoju pod lasem musi mieć podobne niepokoje. Ale jednocześnie uchem chwyta się wszelkie rozmowy na sieci. Niestety, są one szyfrowe.

— Barbara 17, mieliście iść w lewo od Chaty. Słucham, Zygmunt.

— Dobrze, Karol, ten sam kierunek, gdy co zauważycie, meldujcie. Ominąć Hamak.

— Nelly, hello, twenty seven, twenty seven.

I gardłowy:

— Sieben, wir kommen, wir kommen. Sieben, acht. Zehn Uhr zwanzig Minuten... Zehn Uhr...

— Hallo, poruczniku Pruszyński, słyszy pan Niemców?

To porucznik Rożek dba, abym nie stracił żadnej z wielorakich rozkoszy, jakie nastręcza czołg. Już zdołałem nabrać trochę wiadomości o systemie naszego radiowego code'u, ale jednak jestem na wpół ciemny. Na tyle jednak nie, że kiedy za chwilę słyszę: — Xawery jedzie za wami — nie przypuszczam, żeby to odnosiło się do mnie. Skąd jednak skrót: Xawery? Po namyśle domyśliłem się. (Ciekawym, czy czytelnicy domyślą się także...)

Ruszamy jednak ostrzej w przód, trzymam silnie karabin maszynowy, oczy w peryskop, uszy w słuchawkach. Teraz wszystkie wołania obce zastąpił głos mego dowódcy, który mówi dość rozkazodawczo, jakimś podejrzanym szyfrem:

— W lewo Mikołajczyk, w lewo. Bardziej w lewo, Mikołajczyk!... Jeszcze bardziej w lewo... Jeszcze. Mówię wam na lewo, Mikołajczyk, a wy ciągle na prawo, Mikołajczyk!

Stanowczo nie myliło mnie przeczucie, gdy mi się ten chłopak z miejsca spodobał, myślę; mówi wcale rozumne rzeczy! (Ja sam je mówiłem; tylko mniej energicznie i nie w czołgu.)

— Jeszcze na lewo, Mikołajczyk — powtarza por. Rożek i czołg skręca tym razem tak silnie na lewo, że nabijam sobie guza. Ze skręcaniem w lewo też trzeba czasem uważać.—Ale coś niecoś się wyjaśnia. Po prostu, to kierowca, mój najbliższy sąsiad, nosi nazwisko Mikołajczyk. Wskazania udzielane przez radio przez młodego porucznika nie były skierowane do polskiego premiera będącego właśnie w drodze do Moskwy. Odnosiły się do innego Mikołajczyka, operującego dzielnie, ale ze spóźnioną reakcją, w lewo od drogi na Falaise.

W miarę jazdy temperatura się podnosi. Radio jest znacznie mniej szyfrowe:

— Ludwik, czy widzieliście, skąd padły te strzały? Stać i obserwować. Słucham, Zygmunt, słucham. —

Przed naszym czołgiem, o mniej niż sto yardów, wybucha naraz pocisk. Artyleria, albo duży jakiś moździerz? Widziałem błysk ognia przez peryskop, widziałem, jak wierzchołek brzozy zachwiał się i spadł; ale nie słyszałem huku. Pancerz czołgu — słuchawki — wszystko to wyłącza tego rodzaju odgłosy. Gdyby ten pocisk padł jeszcze bliżej, ale poza polem widzenia peryskopu, w ogóle bym o niczym nie wiedział.

W lewo od nas pali się stóg siana. Jest tam łąka, dotarliśmy przecież do samego dna — płaskiej zresztą — doliny. Nie wiem, czyj pocisk ten stóg zapalił, nasz czy niemiecki?

— Karole, skrócić ogień, czy mnie słyszycie, Karole?

— Sieben, wir kommen, wir kommen. Achtung, neun, Pankratz, Achtung, neun, Pankratz...

Znowu ten gardłowy, nieprzyjemny głos niemiecki! (Szczególnie ostro brzmi wymowa: „Pankratz". Akcent długi na „a", a potem na „tz".)

Tymczasem coraz częściej woła się jakiegoś Pawła. Wydaje się, że znam głos, który woła, — czyżby major? Tak, pewno major. Głos, który odpowiada jako „Paweł", ze stałym refrenem: odebrałem, Paweł,

odebrałem, Paweł, słucham, Paweł, słucham — to głos por. Rożka. W istocie, wykonujemy rozkazy nadawane dla Pawła. Podjechaliśmy teraz za te drzewa w dole, zakrzewione. Wspominam rozkaz („Hallo, Paweł. Czy mnie słyszycie? Zjedźcie z waszego kierunku dwieście yardów w kierunku na kanapa. Pod tamtą osłonę. Tam czekajcie. Pojedziecie na zadanie".)

— Panie poruczniku Pruszyński. Może pan klapę otworzyć. —

Uf, pięknie jest jednak na Bożym świecie, w bok od drogi na Falaise, w samo sierpniowe południe! Nosem Stuarta tkwimy w krzaku, horyzont przed nami teraz faluje pod górę, ale zawsze coś niecoś widać.

Rożek tymczasem gada długo przez radio. Po czym mówi:

— Mamy samodzielne zadanie. Podjedziemy w lewo ku tamtym domom rozpoznać, czy tam jest nieprzyjaciel.

Konfrontujemy kraj i mapę. Istotnie, o milę może od nas, w samym załomie doliny widać białe ściany, czerwony dach, szare dachy, drzewa jakby sadów. Na mapie zaznaczone są czarno domki osady — znacznie więcej niż stąd możemy dostrzec — i nazwa, St. Sylvain. To St. Sylvain przylega do nieco większej wsi, stąd ukrytej za garbem i drzewami, ale widocznej na mapie. Nazywa się coś jak St. Martin des Bois. Pamiętam ją, bo rano z Rożkiem studiowaliśmy mapę i zwróciliśmy uwagę na owo St. Martin des Bois. Leży ono bowiem na lewo od kierunku, w którym idziemy, i przylega do dużych lasów, w których — jak się już wie — są Niemcy. Wedle naszej wspólnej opinii, z tego właśnie kierunku można się spodziewać jakiejś niespodzianki. „Tigry" albo „Pantery" są w lasach za tym.

W chwilę później zostawiamy inne czołgi za tą osłoną i skręcamy ku St. Sylvain. Znowu wjeżdżamy w bujny, wysoki łan. Teraz jednak jestem wewnątrz czołgu i nisko. O szkło peryskopu walą teraz roztrącane kłosy, widzę, jak ziarna się sypią, furczą w powietrzu. Takie dziwne zestawienie: ten czołg taki wojenny i to ziarno złote, które na przekór wojnie osypuje się, jak przy omłocie. Czołg jedzie ostro naprzód. Mikołajczyk daje dobrze gazu. Tylko z kierunkiem jest niezdecydowany. Ale gdy go Rożek naprowadził, wszystko już idzie dobrze. Skok jeden, drugi — i przed nami domy, jakieś ogrody, murki kamienne. Południe i pustka. St. Sylvain.

Jesteśmy o dwieście yardów od jego domów, podjechaliśmy od strony pól. Nie widać nic.

— Kierowca, zawracać ku drodze. —

Czołg zawraca w zbożu. Odjeżdżamy od wsi o jakieś dwieście yardów. W zakręcie mignęła mi w peryskopie owa droga: teraz stoimy frontem do niej. Zaraz w nią wjedziemy. Ale ponieważ jest niżej od pola i jest tu zjazd, Mikołajczyk uważa.

Może uważa nie tylko dlatego... Nieprzyjemna to dróżka. Taki typowy, bretońsko-normandzki „chemin creux". Jest nawet taka piosenka z refrenem: „par le chemin creux". Ładna, sentymentalna piosenka. Ale z czołgu chemin creux wygląda mniej ponętnie. To droga, wżłobiona w grunt, jak koleina. Jak mały jar. I z obu stron obrosła krzakami. Człowiek w czołgu nie lubi krzaków.

— Gazu, Mikołajczyk! Prosto tą drogą! —

Mikołajczyk daje istotnie gazu mocno. Już jesteśmy w drodze. W peryskopie z boków zachwiały się krzaki, roztrącane Stuartem. I naraz, w tej wąskiej szparce peryskopu, wskakuje na drogę coś, co nie jest krzakiem. Czerwony, opalony kark, włosy podgolone. Plecy w zielonkawej, nie naszej kurtce, przekreślone na X szelkami. Buty wysokie. Jeden, drugi, trzeci. Pozeskakiwali z tych krzaków, plecyma do nas. Niemcy!

Nie ma niczego bardziej automatycznego nad to, że czołg zaczyna się trząść od huku. Działko, dwa karabiny maszynowe, to zupełnie dosyć.

Jest tylko ten huk, pierwszy huk, jaki zagłuszył motor, dym odpaleń, kurz na drodze. Nigdy nie widziałem jeszcze tak z bliska padającego człowieka. Jakby go w kolanach sznurem ściągnięto.

— W tył! —

Znowu jesteśmy na polu. St. Sylvain znowu przed nami. Jakie dalej ciche! Teraz wiemy.

— Ognia po tych krzakach!

Naciskam spust, jak przed chwilą, ale mniej automatycznie. Wtedy cel był przed nami. (Co za durnie, mówi każdy z nas do siebie, że nie wytrzymali! Po tych skrajach drogi, wyższych nad drogę, w krzakach, nigdy byśmy ich nie byli dostrzegli. Mogli nas mieć, jak nic, mogli się skryć, przesiedzieć. Wbiegli nam wprost na strzał. Nerwy.) Dziwne są te pierwsze refleksje. Ma się prawie pretensje do Niemców.

Wjeżdżamy w tamto zboże, bliżej do wsi. Strzelamy dalej. Od działka zakurzył się tamten dach. Widać, jak podskakują wyłupione wystrzałem czerwone dachówki. Ale inne wrażenie jest bardziej przejmujące. Sam nawet nie wiem zrazu, choć poczułem tę dziwność jeszcze tam, nim ten Niemiec się zwalił. Coś tak dziwnego... Co? Ach...

Tak. Na drodze nie było to tak przejmujące. Po pierwsze była walka. Po drugie nie było zboża. I ziarna. Asocjacja przedziwnych wrażeń powstaje dopiero teraz, gdy brodząc przez pola pszenicy, otwarłszy ogień do tej wsi, widzimy w szkle peryskopu, jak nasze pociski lecą przez powietrze...

Widzieć lot kuli? Literacka imaginacja? Skąd! Po prostu—techniczny postęp. Przecież pociski karabinu maszynowego są świetlne. Widać idealnie lot każdego z nich, jak takiej złotej, świetlistej pszczoły, która leci lekką elipsoidą, a za nią trzecia, dziesiąta, piętnasta. Jak z ula. Cały rój.

I właśnie te świetlne pociski kojarzą mi się jeszcze z czymś innym. Z ziarnem. Tak samo, podobnie, ziarna przejrzałej pszenicy tryskały z roztrącanych czołgiem kłosów, bijąc o szkło peryskopu. Za chwilę, jeśli podjedziemy tym polem dalej, jeśli nie przerwiemy ognia, będzie się to synchronizować razem. Jakby dosłyszawszy tę refleksję, Mikołajczyk znowu daje gazu. Coś się poruszyło w tamtych opłotkach. Naciskam znowu spust. W szklanej szczelinie peryskopu mieszają się teraz i tańczą świetlne pociski cekaemu i złote pociski ziarna. I jest jakaś bolesna, niesamowita asocjacja w tym podobieństwie rzeczy, co niosłyby życie i rzeczy, co niosą śmierć.

* * *

Poprzez rozpoznanie w St. Sylvain, tę zasadzkę nieudałą niemiecką, te trupy w „chemin creux" i całe późniejsze popołudnie i wieczór — tamto wrażenie owego tańca ziaren i kul pozostaje najsilniejsze. Nic je już nie zatrze. (Zresztą potem było inne zadanie, gdzieśmy stali raczej z flanki, za skłonem, gdy Cromwelle podeszły pod wieś, spod której musiały odejść.)

Był już zupełny zachód, gdy zawracaliśmy na noc. Czołgi zbierały się przed jakąś pustą, zieloną farmą, jechały po kolei, mówiono o stratach. Otworzyłem klapę. Było przyjemnie odetchnąć.

— Ale ziaren tu naleciało — dziwiłem się — w każdym załomie czołgu, z zewnątrz, leżało tego pełno.

— Nie tylko ziaren — uśmiechał się porucznik Rożek — także i takich rzeczy...

Tuż nad moją klapą, przed wieżą, leżał podłużny, wypolerowany wybuchem, odłamek pocisku.

Kiedy mógł się tam dostać — nie wiedzieliśmy. Czołg ma świadomość tylko takich pocisków, które trafią wprost w niego.

Owej nocy, pod czołgiem, w bok od drogi, spaliśmy dobrze pomimo artylerii.

MARIA PAWLIKOWSKA

ŚWIATŁO W CIEMNOŚCIACH...

Na białej poduszce, pod pledem,
kończą się smutki.
Tydzień ma całych dni siedem
i siedem nocy zbyt krótkich.

Mary senne, nostalgję kojące,
od nieczułej ważniejsze są jawy.
Gardzę wami, codzienne sprawy,
dnie tutejsze, tygodnie, miesiące!

Świat mój własny, bezsilny, bezradny,
sny jedynie ma ku pomocy!
W Labiryncie, nić Aryjadny
świeci po nocy...

W głodzie serca, wśród granic i gromów,
nieistotną żywię się manną.
Pod poduszką mam świat mój i dom mój — — —
Raj — i chustkę na łzę poranną.

Leżysz, Polsko, pod moją poduszką,
jak w dzieciństwie ukochana książka.
Pragnę czytać, czytać całą duszą!
. . . .

I już słowik na Bielanach zakląskał —
Już i Wisła — już krakowski klimat —
już tramwajem dzwoni Zwierzyniecka —
już dom widać, ten, z którym od dziecka
związaniśmy jak muszla i ślimak —

Potem budzik — potem światło w oczy —
Żegnać muszę odzyskany eden.
Dzień mój potrwa do dziesiątej w nocy —
tydzień ma całych dni siedem...

KAROL ESTREICHER

TEORIA SZTUKI CZYSTEJ

I

— Słuchaj Juniu — powiedział ojciec do pana Mehoffera — przyszedłem zapytać się czy nie masz jakiegoś ucznia, dobrego rysownika, który by chciał zarobić sobie parę ryńskich, miałbym dla niego robotę...

Pan Mehoffer podniósł głowę, zszedł ze schodków, obtarł pendzle, popatrzył na karton gdzie malował wielkie anioły w sukmanach aby pyszniły się we Fryburskiej katedrze, a po chwili, powoli jak to on, powiedział:

— Mam, mam, ale o co idzie?

— Odszukałem w Bibliotece palimpsest Zwierciadła Saskiego, bardzo ciekawy, z XIV wieku. Nie można jednak rękopisu uchwycić fotograficznie i musi być przekalkowany dla celów litograficznej reprodukcji.

— Mam ucznia nie bardzo zdolnego jako malarza, ale doskonałego rysownika, właśnie do tak precyzyjnej pracy. Przysłać ci go? Do domu? Dobrze, tylko mu nie dawaj żadnego zadatku.

Spodziewałem się, że ten uczeń pana Mehoffera będzie niski, chudy, cichy i skromny, z okularami na nosie, w sztywnym kołnierzyku. Zamiast tego pojawił się młodzian rosły z rudą czupryną i brodą, w czarnej aksamitnej marynarce z kolorową chustką na szyi i stanąwszy przed ojcem ryknął donośnie, tak żem się przestraszył.

— Kuczaba jestem, Hiacynt Ksawery, artysta-malarz.

— A, to pana był łaskaw polecić profesor Mehoffer.

— Do rysowania polecił!

— Bardzo chwalił pańskie zdolności na tym polu.

— Co on tam się zna na sztuce. Pacykarz, stara szkoła!

Grzmiał gdy mówił. Lepiej było z nim nie zaczynać i dlatego widocznie przeszedł ojciec od razu do omawiania z nim szczegółów.

Palimpsest był trudny do kopiowania. Ktoś w XV wieku gdy zwód prawny był już niepotrzebny wyskrobał litery, a na oczyszczonej karcie pergaminowej przepisał logikę Arystotelesa.

Kuczaba wysłuchał, skrobnął się w głowę i huknął.

— Zrobi się, a zadatek profesor da? Na kalki i ołówki?

Ojciec zapomniał widocznie rady pana Mehoffera, bo zgodził się z góry wypłacić jedną trzecią sumy. Chciałem mu przypomnieć ale już przy innej sposobności nakazał mi abym się ciągle do wszystkiego nie wtrącał.

Kuczaba wziął pieniądze i przez tydzień go nie było. Kiedy nareszcie przyszedł był zmęczony, miał nos rozbity a głos zachrypły. Przyniósł jednak kalki i ołówki.

— Gdzie profesor ma te pergaminy?

Potem szybko stół przesunął pod okno, kalki rozpiął na rajsbrecie i pochyliwszy nisko głowę zaczął rysować. Ojciec zostawił go w pokoju. Ja tymczasem naradzałem się z Krzysią i Ewą. W bibliotece ojca siedział on, rudy olbrzym, piegowaty na twarzy, z chustką na szyi. Opisywałem go.

— Nazywa się Kuczaba.

— Dziwne nazwisko.

— Jeszcze dziwniej wygląda. Strasznie.

— Jak?

— Zupełnie tak jak Madej.

— Czy ma nóż za pasem? — spytała Ewa.

— Z pewnością, tylko nie pokazuje...

— Kręcone wąsiska?

— Nie, kozią bródkę.

— Wzrok dziki?

— Tak!

— Suknię plugawą?

— Nie, aksamitną.

— Hm, to może zbój naprawdę.

— Możliwe, bo jest dziobaty i piegowaty.

— Skąd wiesz — badała Krzysia — przecież mówiłeś, że taki wysoki iż nie mogłeś dojrzeć jego twarzy. Widzisz jak kłamiesz, on jest malarz.

Krzysia była logiczna, ale ja nie dałem za wygraną.

— Malarz, malarz co ukradł to mówi że znalazł!

— Może rzeczywiście zbój.

— Ma rozbity nos...

— Znowu kłamiesz.

— Nie teraz już naprawdę, jak mamusię kocham.

Ostatecznie moje obawy udzieliły się siostrom. Postanowiliśmy zobaczyć co on robi.

— Może się włamał do tej szuflady w biurku, gdzie tata trzyma cukier lodowaty?

— Zobaczmy przez drzwi od korytarza. Tylko po cichu.

Podkradliśmy się pod drzwi, chociaż podłoga skrzypiała, a Ewa pociągała nosem, bo miała katar. Z pokoju gdzie on siedział dochodziły dziwne odgłosy.

— On tam coś strasznego wyprawia...

— Piłuje coś...

— Ale co?

— Cicho! — mówiliśmy szeptem.

Krzysia nacisnęła klamkę i spojrzała przez szparę, a za nią Ewa i ja. Najpierw usłyszeliśmy rytmiczne ryki, a potem zobaczyliśmy, że artysta-malarz Kuczaba głowę wsparłszy na rajsbrecie chrapał, aż się szyby trzęsły.

Ostrożnie, od fotelu ku półkom, zawsze blisko drzwi, podchodziliśmy ku niemu. Nagle Ewa kichnęła, a Kuczaba zerwał się z krzesła spojrzał na nas i roześmiał się głośno, szczerząc białe kły.

— Ha! ha! raki, malarza-ście nie widziały? Co?

I tak zaczęła się nasza znajomość, która zamieniła się rychło w przyjaźń.

— Proszę narysować lokomotywę.

— Nie, lepiej domek z kwiatkami.

— Nie, szklanną górę.

I Kuczaba posłusznie rysował. Gdy matka przyszła nas wołać na drugie śniadanie, zastała Ewę i mnie na kolanach Kuczaby, a Krzysię leżącą na stole.

— Kuczaba jestem — ryknął znowu — Hiacynt Ksawery, artysta-malarz!

— Dzieci, nie przeszkadzajcie panu w pracy.

Tak siedział w pokoju ojca tydzień, żmudnie kalkując dukt zagubionych liter, aż wreszcie oznajmił że robota skończona. Przeszkadzaliśmy mu starannie.

Po tygodniu żegnał się z nami.

— A co pan będzie robił?

— Jadę na plener.

— Gdzie?

— Na wieś.

— A czym pan pojedzie?

— Wozem.

— A dokąd?

— Do Grzymkowic.

W opowiadaniu Kuczaby jego wieś rodzinna była najpiękniejszym zakątkiem świata. Wydostał się stamtąd dzięki doktorowi Buzdyganowi, który zaopiekował się nim i do Krakowa, do bursy seminarium nauczycielskiego oddał. Ale wolał Kuczaba malować, niż uczyć się na nauczyciela, więc opiekun zgodził się, by wstąpił do Akademii Sztuk Pięknych. Wyrobił mu nawet stypendium Wydziału Krajowego.

— Kiedyś pojedziesz ze mną do Grzymkowic.

Upłynęły lata nim tak się stało. Wybuchła wojna i Kuczaba pociągnął na nią, tułał się potem, a zawsze miał czas, by napisać do nas z frontu czy z obozu i dać znać że żyje, aż wreszcie znalazł się w Krakowie.

Wtedy to Zbigniew Pronaszko, Leon Chwistek, Tytus Czyżewski, Tymon Niesiołowski założyli grupę Formistów a Bruno Jasieński napisał „Szelę" i wydał „Nusz f Bżuhu", Młodożeniec zaś słomokręcił swe dowcipne wiersze. Wiosna była i futuryzm jak rewolucja buchnął po Krakowie. Witkacy zaś toczył wojnę ze wszystkimi.

W „Gałce Muszkatołowej" w Esplanadzie dowodził Kuczaba, że teoria formy czystej musi zwyciężyć i chwila, gdy forma czysta zapanuje nad treścią w obrazach jest bliska.

Lecz oddaliła się owa chwila miast nadejść i zwolennicy formy czystej rozeszli się po Polsce. Kuczaba tylko u Michalika wygłaszał długie kazania o potrzebie zmiany malarstwa.

Stał się agresywny i aktywny. Malował mało, ale za to perorował o tym jak się malować powinno. Przestawał głównie z młodzieżą malarską, której imponował wzrostem, wymową i namawiał ją do ciągłych wojen.

Wybuchające periodycznie w Krakowie wojny malarskie i bunty młodzieży w Akademii Sztuk Pięknych, jak rewolucje w południowo-amerykańskich państwach nie przejmowały nikogo. Dnia wybuchu i demonstracji nikt nie był w stanie przewidzieć, ani przyczyny. Nagle na korytarzach i w pracowniach Akademii zaczynały się szepty, potem wiec, a potem przychodziło do demonstracji, o których pisały dzienniki. Kwatera główna rebeliantów znajdowała się z reguły „na górce" u Michalika. Wojna zawsze szła o „nową sztukę", o akademizm za Rodakowskiego, o plener za rektoratu Fałata, o symbolizm za Mehoffera, o formizm za Bohusza, o koloryt za Pautscha, a kierowała się przeciwko Towarzystwu Sztuk Pięknych, które zaśniedziałe i zardzewiałe domagało się reformy, kończyła zaś na Muzeum Narodowym i skrupiała ostatecznie na dyrektorze Feliksie Koperze, bo on powinien był kupować każdy obraz, który zalecą malarze jako godny przekazania pokoleniom.

Istotną częścią wojen malarskich, wielką ofensywą która w życie Krakowa wprowadzała rozmaitość był pochód demonstracyjny przez ulice miasta. Kroczyło wtedy kilkuset młodzieńców i dziewcząt („koleżanki i koledzy"), w kitlach, z lampionami, niosąc transparenty, wywieszki i hasła. Grupowali się wedle swych zrzeszeń o dziwnych nazwach „Wspornika", „Gontyny", „Krokwi", „Korabia", „Żertwy", „Legarda", lub o skomplikowanych tytułach „Grupy Porozumienia Plastyków", „Zawodowego Zrzeszenia Artystów Malarzy i Rzeźbiarzy", „Z.Z.A.P'u", „D. R. A. P'u", czy „K. A. M'u". Osobno kroczyli indywidualiści jako „Niezależni Młodzi" z Józefem Naimskim, weteranem z 63 roku na czele, który wzbudzał szacunek swą siwą brodą. Dalej szli „Futuryści", po nich „Formiści", którzy boczyli się na futurystów, a na końcu „Niezależni Futuryści", zwalczający wszystkich.

Owego roku wojna malarska w Krakowie przybrała większe niż dotychczas rozmiary. Z Warszawy zaalarmowano nawet dyrekcję policji, która przejęła się tym mniej od samego Ministra Spraw Wewnętrznych. Wedle poufnych wiadomości, w pracowni niejakiego Kuczaby na Podgórzu przygotowano rewolucyjne transparenty z napisami antypaństwowymi.

Przyczyną wielkiej wojny malarskiej w Krakowie była wystawa Matejki otwarta w Muzeum Narodowym w Sukiennicach. Zbiegła się ona z otwarciem wystawy grupy „Niezależnych Futurystów", którzy wynajęli pusty lokal po zbankrutowanej firmie Grünziga i rozwiesili tam swe obrazy, spodziewając się wstrząsnąć sumieniem społeczeństwa. Ale lokal mieścił się poza obrębem plant, na ulicy Starowiślnej i mimo reklamy i afiszów w dniu otwarcia nie zjawił się ani jeden widz. Zwłaszcza, że tego dnia (na złość, oczywiście na złość!) Kopera urządził otwarcie wystawy Jana Matejki, Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych doroczną wystawę „Sztuki", a Związek Plastyków wystawę Vlastimila Hoffmana i Ludwika Puszeta.

Kuczaba ryczał u Michalika:

„Koledzy! Malarscy proletariusze! Zwolennicy sztuki czystej! Reakcjoniści malarscy, zaśmierdli kiczarze i pacykarze spod znaku Matejki sprzysięgli się przeciw nam. Ostatnia niedziela, to był dowód, że jeśli nie

przystąpimy do Czynu w imię uzdrowienia naszych stosunków artystycznych sztuka zginie, a zostanie panoptikum!"...

Po czym zażądał wódki dla wszystkich, a dla siebie wzmocnionego rumu.

— Kto płaci? — zapytał kelner Julian, który na chwilę nie stracił spokoju.

— Ja płacę, na kredyt! Ja, Kuczaba, Hiacynt Ksawery!

Demonstracje „Niezależnych Futurystów" nie byłyby się udały, gdyby nie to, że równocześnie połączyły się z przesileniem w Akademii Sztuk Pięknych, które wybuchło z powodu zamianowania jednego z naszych znakomitych pejzarzystów profesorem. Ci, którzy starali się o owo miejsce uczuli się obrażeni, a młodzież malarska była zgodna z nimi. Równocześnie wystawę Matejki odwiedzały tłumy, na wystawie „Sztuki" sprzedano kilkanaście obrazów, Vlastimil Hoffman dostał zamówienie na kilka portretów, a Ludwik Puszet choć nie sprzedał nic chodził uśmiechnięty i zadowolony z żurfiksu na żurfiks. Recenzje w gazetach były życzliwe, a w paryskiej „L'Art Contemporain" Antoni Potocki umieścił korespondencję z Krakowa jako o mieście artystów, nie wspominając nic o lewicy malarskiej. Materiału palnego zebrało się dosyć.

Już trzeci dzień wstrząsały Krakowem wybuchy, zrazu słabe i odosobnione. Nagle dnia czwartego przyszło do powszechnej demonstracji.

Pochód uformował się samorzutnie. Ale transparenty przygotowano w pracowni Kuczaby, jak to zanotowano w raportach Dyrekcji Policji w teczce „ściśle tajne" Nr. 2471 B/A.k./V.L-2, „zastrzeżonej dla samego P. Ministra S.W." Przyłączyły się do pochodu wszystkie organizacje malarskie, nadto Żydowski Związek Plastyków i Wolna Grupa Paryska ale tylko po jednym przedstawicielu.

Ostrze demonstracji zwrócone było przeciw Janowi Matejce. Tak ustanowił Kuczaba:

— Ideę trzeba zwalczać — głosił — ideę malarską, a potem jej spadkobierców.

Na czele pochodu niesiono ogromną kukłę, której brzuch przerzynany był piłą. Był to symbol publiczności. Napis głosił: „Tępa piła SZTUKI na brzuchu współczesności". Potem niesiono lalki kilkunastu znanych i szanowanych malarzy krakowskich, którzy dożywali dni swoich w spokoju jako profesorowie Akademii, potem wielki transparent „Futuryzm Przyszłością Świata", drugi „Precz z Muzeami", trzeci „Spalić Wawel", czwarty „Nie chcemy zabytków — Chcemy sztuki czystej"! piąty, szósty, dziesiąty...

Grupa Kuczabistów wystąpiła w bardziej sensacyjny sposób.

Oto w ciągu kilku dni sam Kuczaba skopiował na płótnach kilkanaście najbardziej znanych obrazów Matejki, podarł je, poniszczył, podziurawił, poplamił, usmolił i rozwieszone na drągach niesiono je w pochodzie. Na przodzie widniał transparent z napisem: „Na szmaty! Na szmaty!"

Wrażenie było istotnie duże, a Krakowianie zatrzęśli się z oburzenia, bo niejeden pomyślał, że może istotnie są to te płótna, które niedawno oglądał na wystawie. I pobiegł do Muzeum Narodowego przerażony.

„Zepsucie moralności i prowokacja najświętszych uczuć" — pisał klerykalny „Głos Narodu", „nierozwaga i brak smaku" — donosił „Czas", o „społecznej krzywdzie malarskiej" grzmiał „Naprzód", o „sensacyjnych zajściach" raportował „Ilustrowany Kurier Codzienny", a wreszcie „Nowy Dziennik" podkreślił, że nie niesiono co prawda napisów antysemickich, ale że mogło się to zdarzyć łatwo.

Na posiedzeniu Rady Miejskiej mała grupa radców zgłosiła interpelację, przeciwko której wystąpili socjaliści a z nimi żydzi. Równocześnie młodzież „narodowo czująca" demonstrowała wieczór u Michalika obsadziwszy wszystkie stoliki i grożąc pobiciem nielicznym gościom o wyglądzie semickim.

Awantury byłyby się rozrosły, bo pod Trzecim Mostem zwołał wiec Drobner, a z balkonu „Naprzodu" przemawiał Daszyński, ale dyrektor Po-

licji Styczeń wpadł na pomysł aby sprowadzić na najbliższą niedzielę drużynę „Faren Farossy" z Budapesztu i zapowiedział sensacyjny mecz footbalowy z „Cracovią". Uwaga została odwrócona w tym kierunku i ludność gotowała się na wielkie i ważne widowisko. Wojna ucichła równie szybko jak wybuchła. O Matejce, Akademii Sztuk Pięknych i Koperze zapomniano.

Tymczasem u Michalika tłumaczył Kuczaba uparcie swe kredo i teorię, w której teraz więcej jeszcze występowało nienawiści do Matejki odkąd wystawa Niezależnych Futurystów zrobiła klapę, a nazwisko Kuczaby nie wypłynęło na szpaltach dzienników. Ale słuchaczy miał coraz mniej i coraz mniej zwolenników. W grupie Kuczabistów nastąpił zresztą rozłam na zwolenników formy abstrakcyjnej i bardziej radykalnych „neokuczabistów", którzy przyjęli nazwę „plackistów" od Bogumiła Placka swego głównego teoretyka.

Od niedawna Plack wywierał wpływ. Syn bogatej rodziny bankierskiej z Łodzi, wysoki, przystojny, o delikatnych rysach, z rozwianą czupryną, studiował malarstwo w Paryżu, skąd przywiózł masę obcych terminów i wyrażeń, których ku podziwowi młodzieży malarskiej używał. Miał wstęp do bogatych sfer i salonów nad Sekwaną, gdzie dyskutowano o sztuce wedle recept Waldemara George'a, a kupowano obrazy u Zborowskiego. Plack, w przeciwieństwie do Kuczaby nie grzmiał, nie rzucał się, nie zacietrzewiał, tylko krytykował. Obrazów jego nikt nie widział, więc tym bardziej wierzono, że jest zdolnym artystą. Znał się przecie na sztuce i literaturze nadzwyczajnie. Czytał wszystkie nowoczesne powieści, cytował dramaty Jean Cocteau i długie opisy Prousta, wiersze Appolinaire'a, a przede wszystkim miał bardzo dużo pieniędzy i był zwolennikiem komunizmu. O malarstwie polskim w ogóle milczał z wyższością człowieka, który wiedział dużo a widział więcej jeszcze. O Matejce zapytany raz jeden, powiedział krótko:

— To nie jest malarstwo...

„To nie jest malarstwo" powtarzali za Plackiem wszyscy jego zwolennicy zarówno w kawiarniach jak i w salonach gdzie Plack bywał częstym gościem, trochę drażniącym, lecz wprowadzającym powiew Paryża...

— To nie jest malarstwo — powtarzał Kuczaba, dopóki nie pokłócił się z Plackiem z powodu pewnej modelki, „która nie była ładna, ale była bardzo malarska", a którą Kuczaba odkrył, ale z którą Plack pojechał na pejzaż.

Dzięki wstawiennictwu pani Kini Balowej prezes Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych Edward Raczyński oddał salę na wystawę Placka. I nareszcie Plack wystawił kilkanaście płócien oraz cztery rzeźby. Na płótnach były kwadraty i prostokąty kolorowe, jeszcze bardziej uproszczone niż te które Stażewski malował, oraz koło i dwa półkola zatytułowane jako „Akt". Rzeźby wyrzeźbił szybko, skręciwszy stare druty z parasola oraz dwie puszki od konserw.

Kuczaba choć głosił teorię „czystej formy" i mienił się być jej pierwszym propagatorem w Polsce, dzieła Placka krytykował:

— Abstrakcjonizm Placka nie jest podejściem malarskim, bo nie stwarza wizji, a tym samym nie jest abstrakcjonizmem.

Wśród sporów teoretycznych grupa się rozpadła, a Plack wrócił do Paryża krytykując sztukę polską i nieartystyczną atmosferę w Krakowie. Po pięciu latach wrócił do Polski, do Łodzi, by objąć firmę i założyć jej filię w Gdyni.

Tymczasem Kuczaba nie ustawał. Chodził od kawiarni do kawiarni i tłumaczył i dyskutował i zdzierał się w walce o program i kanony. Od czasu do czasu wyjeżdżał pod Kraków na plener jak mówił, ale obrazów nie przywoził stamtąd. Za to opowiadał jak piękna jest jego rodzinna wioska.

— I kościółek ma piękny, uroczy, powinieneś zobaczyć.

Umówiliśmy się i następnego dnia wyjechałem z nim. Nie był to ten Kuczaba wojowniczy, krzykliwy, demonstracyjny, którego przywykłem był widywać. Był to raczej sentymentalny wieśniak, którego życie wiejskie coraz bardziej ciągnęło, a drobne sprawy rodzinnej osady gorąco obchodziły.

I tak zajechaliśmy do Grzymkowic.

II

Grzymkowice nie miały szczęścia do historyków. Nie wspomniał o nich Długosz w Liber Beneficiorum, a nie wspomniał po prostu dlatego, że nie istniał tam kościół w czasach, gdy Długosz spisywał uposażenia świątyń małopolskich. Grzymkowice w średniowieczu były nieznaczną osadą, raz tylko zapisaną w nadaniach miechowskiego klasztoru jako „Grijmcovicze quam alias Pelegrini appellant", ale i tu wykazywała uczona krytyka, że wtręt to późniejszy, w XVII wieku interpelowany w piastowski dokument. Dowiódł nie bez racji Józef Muczkowski (starszy), a poparł go swą powagą Piekosiński, że ową nazwę Pelegrini wymyślili Bożogrobcy z Miechowa, aby uzasadnić bezprawne posiadanie osady. Zgodził się z nim Ulanowski i Krzyżanowski (Stanisław). Dopiero Aleksander Brückner... Lecz te zasadnicze dla sprawy wywody, opiszmy w porządku wydarzeń.

Leżą Grzymkowice niedaleko miasta Słomnik, na drodze z Krakowa do Miechowa, za dawną granicą rosyjską. W Królestwie, jak mawiano u nas, w Kongresówce jak mówili ludzie stamtąd. Kościół w Grzymkowicach był mały, drewniany, kaplica raczej, nad którą opiekę sprawowała kiedyś krakowska kapituła, a potem ksiądz proboszcz słomnicki, gdy granica odcięła od diecezji jej najludniejsze, najbogatsze parafie nad Szreniawą.

Ten mały drewniany kościółek o pół mili od Słomnik stał otoczony lipami, nakryty dachem z okapami, które chroniły ściany od zalewu deszczem. Lipy wokół wybujały wysoko, lipy rozłożyste, bogate ocieniły go, kryjąc przez trzy wieki przed okiem rzadkich w tych stronach podróżnych.

Osada była uboga, dusz liczyła niewiele, dymów jeszcze mniej, więc nikt nie kwapił się kościółka zamienić na parafialny i kanonicy krakowscy byli zadowoleni gdy przestał sprawiać im kłopot. Odpadł uciążliwy obowiązek jazdy dwa razy w roku dla wyspowiadania mieszkańców i udzielenia Sakramentów jak to pan cześnik Kossakowski wraz z małżonką ustanowił, a wszystko gwoli grzechowi który kiedyś popełnili.

Lipy ocieniały kościółek, szalowany jak większość kościołów drewnianych w tych stronach, bo z belek cienkich był budowany, którym moc trzeba było dodać przez obicie deskami. Okna miał małe, żeby oszczędzić szkła. Wieży mu brakło, a tylko sygnaturka na dachu lichym dzwonkiem służbę pełniła. Wejście jedno i komorę miast zakrystii. Ksiądz idąc do ołtarza przeciskać się musiał przez ciżbę. Stąd śmiechy powstawały między ludem i zgorszenie, jeśli nawet nie obraza. Może dlatego nie dostąpiła nigdy świątynia zaszczytu wizytacji biskupiej, mimo iż prosił o to pobożny fundator.

Cześnik Kossakowski za młodu towarzysz pancerny i przyjaciel pana Chryzostoma Paska, ożenił się w sposób szczególny, choć praktykowany wówczas. Oto w kronikach norbertańskiego klasztoru w Imbramowicach czytamy, że w roku 1661 stał się jednej grudniowej nocy rozruch wielki, bo zbójcy napadli na zakonne panny. Przewodził im młody pan Kossakowski. Pod bramą klasztoru ustawiono działko i uczyniwszy huk wielki zmuszono głuchego stróża do otwarcia. Na korytarz klasztorny wpadli kozacy i obrzucając plugawą mową mniszki, żądali widzenia panny ksieni Tarłównej. Owa zaś licząca lat 95, z czego osiemdziesiąt przepędziła

w klasztorze, mimo sędziwego wieku wyszła do nich upominając ich w imię Boże by nie naruszali klauzury. Ale pan Jacek Kossakowski natrętnie zaapelował o wydanie panny Róży Lasockiej, młodej siostrzyczki, co z rozkazu ojca pragnęła przywdziać habit. Gdy panna ksieni zagrodziła rebeliantom drogę pastorałem, nie zwracając uwagi na sędziwość jej wieku, uchwycił ją kozak i uczynił, że siostrę Lasocką pan porucznik Kossakowski porwał.

Tej nocy jeszcze, uciekając przed pościgiem, wziął pan Kossakowski w chałupie chłopskiej w Grzymkowicach ślub, którego udzielił mu jakiś klecha za sutą opłatą dukatów „contra iura Dei, contra regulam iusticiae". W Grzymkowicach także dopełnił małżeństwa, tak że nie zdała się na nic sprawa wniesiona do trybunałów przez ojca panny J. W. Podkomorzego Kazimierza Lasockiego, zwłaszcza że za Kossakowskim ujęli się J. O. Lubomirscy, jak wiadomo z dawna Lasockich nieprzyjaciele. Szeptano także, że panna szybko łzy otarła i gwałtowność małżonka przeniosła nad pobożne zajęcia klasztorne.

Lecz gwałt gorsze miał następstwa niż długie i głośne po całej Rzplitej procesy, na których palestranci zarobili. Świątobliwa ksieni imbramowska nie przeżyła hańby. Fakt że jej dziewicze lice uchwycił kozak, napełnił ją takim wstrętem, że zaniemogła i w dwa lata później oddała świątobliwego ducha.

Tymczasem małżeństwo państwa Kossakowskich długo nie miało potomstwa. Bolał nad tym pan Kossakowski i wstyd było małżonce jego, aż wreszcie za poradą spowiednika wielebnego ojca Dominika O.P. uczynili nabożną fundacją dla ubłagania niebios. Kupili od Miechowitów Grzymkowice i postawili w miejscu gdzie kiedyś wzięli ślub kościółek, a byliby postawili większy i okazalszy, ale wytłumaczono im, że wyjdzie to na lepszą chwałę Panu, jeśli sumę 5.000 czerwonych złotych oddadzą kapitule krakowskiej, która opiekę wieczystą nad kościółkiem zapewni. I gdy się tak stało, w trzy kwartały później przyszedł na świat chłopak zdrów i silny, który ród podtrzymał, a nawet wsławił podczas wiedeńskiej potrzeby.

Tyle powiadają stare kroniki, w szczególności zapiski siostry Immakulaty w imbramowskim raptularzu P. P. Norbertanek, akta w Archiwum Kapituły Krakowskiej, oraz panegiryk wydany w roku 1689 z okazji pogrzebu w Łysobykach nad Wieprzem cześnika Jacka Kossakowskiego p.t. „Miecze, Kopije, Lwy, Podkowy łzy lejcie oglądając wdowi los Dołęgi po stracie bitniejszego niż Hektory wojennika, zacniejszego od Scypionów stratega, fundatora sławniejszego nad Konstantyny".

„Fundator sławniejszy nad Konstantyny" wystawił kościółek skromny, lecz piękny w swej prostocie wiejskiej, a opieka kanoników krakowskich wyposażyła świątynię zasobniej niżby to przypuszczał ktokolwiek, a przede wszystkim sami opiekunowie.

Za duszpasterską służbę w Grzymkowicach poza służebnym stosunkiem, zobowiązani byli chłopi dostarczać kapitule krakowskiej dwóch fur drzewnego węgla, którymi żarzono we włoskich piecykach, by księża kanonicy nie marzli śpiewając w stallach.

Wracały fury puste do wsi, aż roku jednego, gdy na tronie św. Stanisława zasiadł biskup Kazimierz Łubieński rozpoczęło się odnowienie katedry. Majster sławny z Moraw sprowadzony przygotował abrys jak kościół rozświetlić przez wyrzucenie starych witraży, usunięcie ołtarzy i obrazów co katedrę od czasów ostatniego Piasta zdobiły i swym twardym rysunkiem lub rzeźbą nie odpowiadały gustowi włoskiemu. Na ich miejsce zamówiono nowe, kształtniejsze sprzęty, pełne gzymsów kunsztownie wygiętych, z aniołami i świętymi na nich. Wyrzucając urządzenie katedry, kapituła rozdała stary sprzęt uboższym kościołom w Luborzycy, Zatorze, Zielonkach, Paczołtowicach, Prandocinie. Przyjeżdżały przez

lata wozy i brały figury, ołtarze, kraty, antaby, konfesjonały, skrzynie, ławy, lichtarze, trony, gockim sposobem zdobione. Wreszcie przypomniano sobie i o Grzymkowicach. Czego już nikt zabrać nie chciał, bo stare było, za stare na jakikolwiek smak i z użytku zupełnie wyszłe, załadowano na puste fury węglowe i wysłano do zapadłej wsi. Dołożyli do tego kanonicy kilka kielichów i monstrancję srebrną bardzo starą, za ciężką i niekształtną oraz kilkanaście ornatów, krojem nie rzymskim ale ruskim jak przypuszczano wykonanych.

Tak kościółek grzymowski otrzymał istny skarb pamiątek. Skupiły się w jego jednonawowej przestrzeni okazy sztuk i rzemiosł wszystkich stuleci, ukryły się przed oczami znawców, historyków, konserwatorów i inwentaryzatorów, a co ważniejsze przed oczyma antykwarzy i kolekcjonerów, którzy by każdy z tych przedmiotów wywieźli w świat na wielkie rynki zbytu.

Ciemno było w kościółku, gdy wszedłeś do niego. Okna małe i lip gałęzie sączyły światła skąpo. W głębi stał ołtarz św. Jacka patrona fundatora i pod jego wezwaniem był kościół. Dominikański święty przedstawiony był w habicie białym jak szedł przez łany zbóż, w ręce lewej trzymając trzy chleby-pierogi, które przynosił na przednowku. Był to obraz malowany we Włoszech, w Bolonii, podczas jego kanonizacji, a przywieziony do katedry krakowskiej kiedyś przez kardynała Radziwiłła, który mało a byłby papieżem został gdyby nie umarł za wcześnie.

Po prawej ręce od ołtarza stał tron biskupi. Lecz nie zwyczajny fotel ale karło przedziwnego kształtu na krzyżownicy nóg zakończonych lwimi łapami. W nabożnym ludzie to karło sztywne i ciężkie budziło grozę i szacunek. A instynkt ludu nie mylił się, bo sprzęt był stary, starożytny, z twardego, niepolskiego wykonany drzewa. Kiedyś w katedrze krakowskiej służył w czasach pierwszych Piastów za tron na którym zasiadał monarcha, gdy obdarzał inwestyturą biskupa.

Na ścianach bocznych dwa tylko były ołtarze: świętej Barbary patronki górników, z użycia wyszły gdy do kopalni olkuskich przestali się najmować chłopi grzymowscy, i św. Wita Oracza w sukmanie krakowskiej. Pierwszy ołtarz był tryptykiem z herbem Wieniawy i dla katedry fundował go Długosz, drugi w roku 1795 był postawiony przez Anzelma Wciórę z wdzięczności za uratowanie życia pod Racławicami. Bo Wcióra z kosą poszedł za swym kumem Bartoszem i dzięki westchnieniu do świętego Wita urwało mu rękę zamiast głowy, bo w ręce trzymał czapkę, którą zapychał armatę moskiewską.

Po lewej stronie ołtarza, w komorze dobrze zamkniętej bronzową antabą w kształcie lwiej paszczy, resztką pierwszych drzwi katedry, wisiały trzy ornaty. Nie ruskie one były lecz andegaweńskie, dzwonowym kształtem krojone a haftowane ręką Jadwigi gdy płakała za Wilhelmem, którego panowie małopolscy odpędzili. Na półce stały dwa gotyckie kielichy i monstrancja złocista z puszką na Sakrament w kształcie szklennicy. I gdyby kanonicy pozbywając się tej monstrancji, do starych inwentarzy zajrzeli, byliby wyczytali, że zdobył ją król Jagiełło we wozach Wielkiego Mistrza. Lecz, że ciężka była, tak ciężka iż kapłan dźwignąć jej nie mógł wysoko, nieużywano jej i w zapomnienie poszedł dar cenny, pamiątka zwycięstwa nad hydrą.

Młody pan Kossakowski spod Wiednia w Lubelskie wracając i wioząc wozy nabite zdobyczą turecką, dywan w kościele ojcowej fundacji zostawił. Ten leżał przed ołtarzem i wytarło się z niego złoto i pokapany był od świec. Ale jeszcze oko wprawne dojrzeć mogło rozkoszny ogród szacha wytkany jedwabiem.

I tak gdy rozejrzałeś się w ciasnocie przestrzeni każdy sprzęt mówił coś o przeszłości, każdy sławił czyn jakiś czy osobę. Ławy, konfesjonały, skrzynie, nawet organki małe pokojowe po królowej Marii Ludwice,

wszystko to pochodziło z katedry krakowskiej i w czasach gdy cenić poczęto antyki szczególnej nabrało ceny.

A, aby żadnego z wieków nie brakło wśród tych darów i przedmiotów królewskich i wiek XIX dorzucił hojną ręką dzieło sztuki, osobliwe wotum króla, króla malarstwa polskiego.

Jakoś z legendy czy z wiary stało się, że obraz św. Jacka z pierogami zasłynął cudami szczególnie dotyczącymi małżeńskich przykrości. Mawiano w okolicy że kto ma strapienie małżeńskie wystarczy by pomodlił się do św. Jacka grzymowskiego a on wstawi się u Boga i wszystko naprawi. Wota zawieszone wokół obrazu świadczyły o tym: wisiał kaganiec druciany o którym mówiono także że misiurką jest z hełmu, harap narzędzie kary, lecz możliwe że i do lnu bicia, wreszcie kłódki, pierścionki, korale, haftowane powijaki.

Razu pewnego zabłądził w te strony Matejko wyprawiwszy się z Krzeszowic, gdzie portret pani Arturowej malował. Było to w czasie gdy kłopoty miał z żoną, bo pani Matejkowa śpiewem chciała zaćmić sławę męża i stąd częste jej humory i ucieczka mistrza z domu.

Nie wiadomo jak to się stało że obraz pendzla Matejki zawisł na ścianie koło ołtarza głównego. Czy istotnie było to wotum mistrza za ratunek i poskromienie małżonki, czy może urok kościółka pociągnął malarza tak dalece że zostawił tu swe arcydzieło. Obraz upamiętniał fundację kościółka po matejkowsku, wspaniale, przedstawiając awanturę Kossakowskiego w imbramowskim klasztorze.

„Czas" (1885) donosił o tym pokrótce w kronice: „Mistrz Jan ukończył w Krzeszowicach obraz przedstawiający porwanie mniszki z klasztoru. Wszystkie jenialne cechy pendzla Matejki zarówno w odczytaniu szczegółów historycznych jak i w przedstawieniu uczuć postaci, odnajdujemy w tym obrazie, który zapewne będzie dostępny na najbliższej wystawie, podnosząc serca rodaków. Jak się dowiadujemy do postaci ksieni pozowała bowiem mistrzowi hrabina P."

Ale obraz na wystawie się nie znalazł, bo po cichu zawiózł go Matejko do Grzymkowic i tam zawiesił. Sprawił mu ciężkie złote ramy pełne floresów, jakby z ich pomocą wydobyć chciał jeszcze malarską wartość płótna. Scena którą przedstawił rozgrywała się u bram klasztoru: noc rozświetlona pochodniami, w głębi kontury mroczne kościoła i klasztoru, a na froncie ksieni z pastorałem i w kołpaku lisim, chwycona wpół przez kozaka; z tyłu młoda mniszka porywana na koń przez pięknego husarza. Było w tym obrazie napięcie dramatyczne treści, tłok figur i twarze ludzkie nabrzmiałe pasją. Istotnie twarz ksieni Tarłówny przypominała rysy pani Adamowej tyle zawierała w sobie godności i wyrazu polskich matron. „Czas" był jak zwykle dobrze poinformowany.

Lecz co było najwspanialsze w tym dziele, które niewykończeniem swym przypominało serię „Szkiców do dziejów cywilizacji w Polsce" to światło i blask pochodni co świecił na zbrojach czerwienią pastorał ksieni zamieniając w słup ognia, a twarzom kozaków nadając diabelski wyraz. W głębi obrazu gdzie przez siodło z wyciągniętymi rękami rzucona była mniszka już nie purpura ognia oświetlała postaci, ale promień księżyca, który padał na twarz husarza czule uśmiechniętego do swej zdobyczy. Te dwa kontrasty skupiać na sobie musiały uwagę, a odciągnąć od postaci kozaków, służby, mniszek, chłopów wypełniających wszystkie wolne miejsca wedle temperamentu malarza, który powietrza wolnego nie znosił, wbrew paryskim czy monachijskim receptom.

Kuczaba stał pośrodku kościoła i wrzeszczał:

— Cóż się pan gapisz na smarowidło historyczne tego pacykarza! — i równocześnie otworzył okno, by światło padło na obraz. — Malarstwo, to ma być malarstwo? Gdzie tu faktura, gdzie podejście z kolorem? Sos pomidorowy! Brudy!

— Ale światło... — zaoponowałem delikatnie.

— Światło!? — ryknął — światło jest tam! — i wskazał na słońce przebijające się przez lipy.

— Rysunek żywy, forma...

Tu jego wściekłość dosięgła szczytu.

— On nie miał pojęcia o rysunku, o budowie formy kolorem, a koloru formą, tych dwóch fakturowych dogmatach. Wartości czysto malarskie są u niego żadne, a weryzm wątpliwy... Walory! gdzie są walory?

Nie oponowałem. Nie śmiałem.

— Zepsuł cały kościół tym płótniskiem, wprowadził w czar prymitywu wieków bombastykę historycznego panoptikum. Patrz pan na tego świętego Wita, ile w nim ekspresji, jak świetnie zróżnicowane tło i jaka pycha ten kontrast białej sukmany! Że malarz nie umiał malować? Właśnie że umiał malować, a ten wasz narodowy pacykarz nie miał pojęcia czym jest sztuka. Nie miał pojęcia! Ja to mówię! Ja, Kuczaba!

I posypały się epitety takie jak histeryk malarstwa, akademik, pacykarz, mydlarz. Obrazy jego nazwał szmatami, którymi przyszłe pokolenia Polaków będą wycierać brudy a i to było w jego rozumieniu wątpliwe bo owe szmaty brudniejsze były od brudów samych. I ciągle wrzeszczał:

— Ja to mówię, ja, Kuczaba!

— Zaraza, cholera narodowa, smrody malarskie! One zaciążyły nad pokoleniem, one przerwały rozwój naszego malarstwa od rzetelnej roboty Michałowskiego, Gierymskich, Kotsisa i doprowadziły do galerii, co mówię do narodowej trupiarni sztuki!

Powtarzały się słowa i zwroty których nie rozumiałem: faktura, malarskie podejście, rzutowanie formy, walory, dysekcja barw, kuby przestrzeni, napięcie materiałowe, wykształtowanie, efektywizm i eferwescencja plastyczna i dowiedziałem się, że tego wszystkiego Matejko nie znał i że wskutek tego uznany za malarza być nie może. Nie może. On to mówił, Kuczaba.

Owe trudne słowa weszły właśnie wtedy do słownika malarskiego w Krakowie. Wielki ich zapas przywiózł Plack, a Wanda Markiewiczówna rozpowszechniła ich użycie.

Z gromadą Kuczaba żył dobrze. Gdyśmy szli przez wieś witał się ze wszystkimi i wszyscy witali się z nim. Pozdrawiał ich patriarchalnie ich sposobem. Gdy baby rzucały mu na polu „Niech będzie pochwalony", odpowiadał, kiedy szedł malować dziecka biegły za nim i niosły mu sztalugi, pendzle, kasetę, a on każde znał po imieniu. Szymek Kocur miał jego zdaniem niezaprzeczony talent.

— Widzi, powiadam wam widzi, bo go nikt nie uczył malować.

I co ośmioletni Szymek nababrał kredkami na papierze to Kuczaba obnosił w zachwycie.

— Tylko w szkole nauczycielka psuje jego spojrzenie na naturę. Nauczyła go perspektywy!

Gdy Kuczaba wrócił do wsi skąd kiedyś wyszedł, ksiądz proboszcz słomnicki zamówił u niego obraz św. Tereski. Ale wymówił sobie że za sto złotych które zapłaci obraz musi być malowany wedle dostarczonego wzoru, a wzorem tym była fotografia otrzymana wprost z Lisieux.

Kuczaba wrzał, wściekał się i obraz namalował. I rzecz dziwna, zachowując wiernie układ fotografii wprowadził zmiany nieistotne, które jednak obraz zmieniły całkowicie. Święta stała w ogrodzie róż pąsowych i to tło przyciągało uwagę więcej niż sama postać. Z bliska obraz wydawał się jakąś mazaniną kolorów, lecz z dala, z kościoła grał harmonią nieba i kwiatów szeroko traktowanych. Szymek Kocur powiedział o obrazie nie bez racji „święta w raju", a to jego powiedzenie przyjęło się wśród wiernych w Grzymkowicach.

Staliśmy przed tym właśnie obrazem.

— Ohyda, obrzydliwość! — mówił Kuczaba.

— Kto to namalował, to nie jest takie złe — pytałem nie znając jeszcze autora.

— Ja się spodliłem za pieniądze, ale zemszczę się na księdzu Menciszewskim... Tu będzie jeździł. Tu będzie proboszczem!

I opowiedział mi historię którą ksiądz kanonik potwierdził, nie bez zgorszenia mówiąc o Kuczabie jako o złośliwym intrygancie, co ludziom dokucza. Kosztowało księdza proboszcza dużo trudu nim rozpuszczone przez Kuczabę wieści sprostował i ludziom wytłumaczył by się nie żarli między sobą i bójek nie toczyli o słowa.

W karczmie Wechtera gdzie wieczorami schodzili się mieszczanie słomniccy i chłopi grzymkowscy na piwo i plotki miejscowe, Kuczaba bywał gościem częstym i lubianym. Poradził, napisał podanie a także czasem opowiedział co słyszał i widział na świecie. Zwłaszcza młodzież wiejska chętnie go słuchała, bo gadał ich językiem o rzeczach nieznanych. Wechter kredytował mu piwo na przepadłe, byle gości zabawiał.

Otóż istniał w Grzymkowicach prastary zwyczaj że w Wielki Piątek chłopaki nawdziewały na siebie worki i boso szły do grobu Chrystusowego w słomnickim kościele, gdzie wartę trzymała ochotnicza straż pożarna w złotych hełmach. Skąd się ten zwyczaj wziął, wyjaśnić nikt nie potrafił, a Kolberg choć podobne zanotował obyczaje jakoś do Grzymkowic nie dotarł.

Kuczaba się osobliwie pomścił. Rozpuścił wieść, że mieszkańcy Słomnik słomę kiedyś żarli jak bydlęta i że stąd miasto wzięło nazwę. I podjudził chłopców grzymkowskich żeby wołali że w Słomnikach słomę żreją, tak jak w Pacanowie kozy kują.

Ktoś w Słomnikach na grzymkowskich chłopów wieść puścił, że są „psie grzybki" i że stąd nazwa wsi. Zrazu tylko chłopaki sobie wymyślały, ale raz kiedy z kowalem w Słomnikach pokłócił się grzymkowski parobek rzucił mu obrazę ciężką, bo wypomniał że słomę jego przodkowie żarli, a gdy w Wielki Piątek chłopcy przyszli z Grzymkowic do grobu Jezusowego, niebacznie zaczęto na nich wołać „psie grzybki, psie grzybki". Tak powstał spór, awantury, boczenia się w kościele, chichoty i wyzwiska, aż raz pewnej niedzieli mieszkańcy Grzymkowic przyszli w delegacji do księdza proboszcza oświadczając że do kościoła w Słomnikach więcej chodzić nie będą skoro ich obrazy spotykają. Mają własny kościół i raczej gotowi są go rozbudować niż być wyzywani. Zwłaszcza młodzi byli najhardziejsi, Kuczaba ich podmówił.

— Niech proboszcz jeździ do naszego kościoła co niedzielę, zapłacimy, stać nas na to... Własny kościół mamy, własna należy się nam parafia... — gadali.

— To kaplica nie kościół. Zburzcie ten, a wystawcie sobie murowany, jak was stać, biskup parafię ustanowi wtedy.

Co starsi i rozważniejsi poczęli się namyślać. Drzewa trzeba z lasu dać, cegielnię założyć, architekta płacić i na co kiedy kościół jest?

Z jednej strony stał proboszcz, z drugiej Kuczaba.

— Jakiś komunista czy futurysta, oświadczył ksiądz Menciszewski przy wiście burmistrzowi Olkusza, który przyjechał do niego w gości. I opowiedział mu całą historię. Zwłaszcza spór, który podjudził Kuczaba.

Prezydent miasta Olkusza Karol Kownacki był po trosze historykiem. Zamiłowania miał więcej niż znajomości rzeczy, ale wśród książek swoich posiadał wydawnictwa Akademii Umiejętności, a nawet parę razy przysłał do jej komisji historycznych notatki, które wysoko cenili uczeni skoro wydrukowano je w sprawozdaniach.

Niewiele myśląc pan Karol Kownacki siadł i napisał list obszerny, w którym zebrał wszystko co wiedział o Słomnikach i ich historii, a co wyczytał w Słowniku Geograficznym i z tradycji zasłyszał. Dodał także kilka pomniejszych historycznych wiadomości o Grzymkowicach, o nieznanym

tamże kościółku, o zwyczajach ludowych, które tam się zachowały, a opuścił tylko fałszywą nazwę „Pelegrini", którą Miechowici w dokument wsadzili. I list zaadresował do Aleksandra Brücknera, członka Akademii Umiejętności, którego słusznie miał za największego polskiego znawcę języka i historii.

Przeadresował list do Berlina sekretariat Akademii, gdzie na Wilhelmsaue we Willensdorfie w małym ciasnym mieszkanku, otulony podartym płaszczem stary Brückner siedział pod oknem i wypuszczał w świat jedną świetniejszą po drugiej rozprawę. Ten Lelewel naszych czasów, trzęsącą się ręką pisał właśnie Słownik Etymologiczny i Dzieje Kultury Polskiej.

Gdy list go doszedł tego samego dnia odpisał jeszcze, na kartce jak było jego zwyczajem.

I oto traf, przypadek, zachował treść tego pisma, które warto tu przytoczyć dla osobliwego przykładu że lingwistyka społeczna i pacyfistyczna oddać może usługę.

„Słomniki nazwa stara osady, wyraźnie służebnej. Ze słomą nic nie ma wspólnego ale ze szłomu-hełmu poszła, które tam wykuwano dla drużyny Chrobrego. Znajdują je archeologowie w grobach od Dniepru po Odrę, wszędzie gdzie Bolesław państwo ustanowił.

„Grzymkowic mniej jasny rodowód. Bają ci co z grzybami je łączą. Nie z grzyba ale z pielgrzyma ich wywód, co z kolei z łacińskiego pelegrinus poszedł. Nie dziwota gdyby tak w średniowieczu wieś nazywano, kiedy mowę lepiej niż teraz rozumiano. Pielgrzymów czczono wysoko, nadania im czyniąc, tym zwłaszcza co w Jerozolimie byli. Miejscowy zwyczaj prastare początki wsi przechował".

Tak początki obu miejscowości wyjaśnił Aleksander Brückner i hipotezy uczonych historyków przekreślił krótką kartką krzywym pismem zapisaną. Prezydent Kownacki zdanie wielkiego uczonego przesłał księdzu Menciszewskiemu, a on w niedzielę podczas sumy wygłosił piękne kazanie:

— „Duch święty oświecił wielkiego uczonego że początki waszych osad odkrył. Przodkowie jednych wspaniałe wykonywali hełmy, przodkowie drugich byli świątobliwymi pielgrzymami. Więc sporów nie wiedźcie nierozumnych ale w zgodzie i miłości braterskiej żyjcie, dumni będąc ze swych praojców.

„A ci co niezgodę między wami sieją godni są potępienia. Mają język podobny do gadów, rozdwojony, siejący kłamstwo na obie strony..."

I potępienie spadło na biednego Kuczabę, bo wszyscy wiedzieli, że o nim prawił ksiądz kanonik, i nie bez racji prawił.

III

Kuczaba coraz rzadziej pokazywał się w Krakowie. Był rozgoryczony na niezrozumienie sztuki nowej, której teorię głosił i wskutek tego coraz chętniej przebywał na wsi, gdzie żył ze swych skromnych dochodów.

Był rok 1926 i był maj a Warszawę rokosz ogarnął i nikt w Polsce nie myślał o niczym tylko o tym co działo się na Moście, w Belwederze i w Wilanowie. Nadzwyczajne wydania dzienników przynosiły nadzwyczajne wiadomości i mało kto zwrócił uwagę na notatkę jaka ukazała się, że drewniana kaplica w Grzymkowicach (woj. Kieleckie) spłonęła doszczętnie, pociągając jedną tylko ofiarę ludzką.

— Czy doszczętnie? — mówił prezes Stanisław Tomkowicz trzymając w ręku telegram urzędu konserwatorskiego. — Niech pan się o tym przekona na miejscu. Pamiętam że przed pięćdziesięciu laty z kościoła w Rudzie pod Bochnią wyratowano trzy obrazy gotyckie i rzeźbę Wita Stwosza, która dziś jest w Muzeum Narodowym. Więc może i w tych Grzybkowicach...

— Grzymkowicach panie prezesie — pozwoliłem sobie poprawić czcigodnego przewodniczącego Grona Konserwatorów i równocześnie opowiedziałem mu wszystko co wiedziałem o kościółku.

— Więc niech pan jedzie tym bardziej, choćby jutro z wczesnego ranka, pierwszym autobusem. W Warszawie już się uspokoiło...

I tak po raz drugi znalazłem się w Grzymkowicach, by na miejscu gdzie stał kościółek zobaczyć lipy opalone i kupę zwęglonych belek. Z kościółka który spłonął doszczętnie, nie zostało śladu. Nie uratował się zeń ani jeden przedmiot, bo drzwi były zamknięte a klucz od wielkiej kłódki był na plebanii. Nim rozbili drzwi zwaliły się ściany.

Po południu zaś byłem na pogrzebie. Cichym i skromnym gdzie kilka bab chlipało z żalu a kilku chłopów spuściło do grobu białą, wiejską trumnę Kuczaby. Ksiądz pacierze odmówił ale krótkie bo spieszył się na nabożeństwo majowe, ziemię rzucono na mogiłę wilgotną, zimną bo deszcz zaczął padać.

— Co się stało właściwie?

— Ano burza była i piorun strzelił w dach, zara ogień się wzion i nie było sposobu bo deszcz właśnie ustał.

— Ale Kuczaba?

— Przyleciał ratować jak zaczęli po wsi krzyczeć. Skoczyli jeden do Słomnik po ochotniczą straż, drudzy po wiadra i osęki. Kuczaba zaczon komendyrować ale nie wykomendyrował nic, bo ogień był prędszy od niego. Ludziom przyszło ino patrzeć. Dobrze że lipy były boby chałupy zajeno.

— Czemuż zginął?

— Bo wlaz do środka.

— Po cóż?

— A bo to gadał po co? Myśleli jedni że po Najświętszy Sakrament, ale Najświętszego Sakramentu w kościele nie było, bo nie był parafialny. Widzieli my tylko że Kuczaba kratę wyrwał z okna zakrystii i skoczył do środka. Ratować coś leciał. A zara potem dach spad.

— Nie wyciągnęli go dopiero rano. Osmalony był i przywalony ciężką ramą złotą. Nie łatwo dalimy rade ręce od ramy odczepić bo przywarło je do nich.

— Którego obrazu? Świętego Wita?

— Nie tego co wisiał na prawo.

— Świętej Tereski?

— Eh! Gdzieta! Tego na prawo we złotych ramach.

— Matejki?

— A może ta i Majętki...

— Kuczaba zawsze waryjat był, to i tak umarł — wtrącił sołtys.

— Ale fajny był także — dodał Wechter stawiając butelkę piwa.

Tak żył i zginął Kuczaba, Hiacynt Ksawery, artysta malarz formy czystej i pierwszy w Polsce futurysta.

JULIAN TUWIM

KWIATY POLSKIE

(*Fragment*)

11

Co najpierw oczy jej przykuło
(Jak nieraz punkt świecący z boku,
Na który wcale nie patrzymy,
Przyciąga nieuwagę wzroku),
To F, wyszyte na szlafroku:
Wypukłe, bordo, połyskliwe.

Potem spotkały się spojrzenia:
Jej — pełne jeszcze snu i cienia,
Jego — zdumione i życzliwe.
Odrazu, migawkowem zdjęciem,
Zdarł wszystko, co na sobie miała.
Przewidział nieomylnie: stała

Naga i piękna nad pojęcie.
Więc z miejsca powziął plan.
[Nazwijmy
Rzecz po imieniu, komercjalnie —
„Cielesny plan inwestycyjny”:
Za dwa-trzy lata (dziś za wcześnie
I dla skrupułów prawnych nie śmie)
Chce tę dziewczynę mieć w sypialni,
Wyhodowaną idealnie.
Wypielęgnuje ją, odkarmi
Na swoje gusta i apetyt,
Dozując klimat jak w cieplarni,
Wzmagając komfort i podniety,
Kosmetykami pańskiej łaski
I kalotechniką dobroci
Uaksamitni ją, dozłoci,
Przystroi w należyte blaski,
Aż świetne ciało małym kosztem
Procenty zacznie nieść rozkoszne.
W myślach ją pieszcząc obnażoną,
Płonął. A z miną niby chłodną
Na dziadka patrzył, drgawiąc drobno
Nogą na nogę założoną.
—„Pan...jak? Dziewierski? Pan
[podobno
Ogrodnik? A panienka? Imię?
Anielka? Mam kuzynkę w Rzymie
Za hrabią Galeazzo Scoda,
Także Anielka...“ Plótł, pozował,
Chwalił się, zgrywał, imponował,
I ciągle: „Niech mi Tekla poda
Chusteczkę... Niech mi Tekla poda
Zapałki... Niech mi Tekla poda
To album...” (gdzie im pokazywał
Rzym i palazzo Galeazza
Na piazza Santa Materazza
Czy innej... Byle szumieć, dzwonić,
Rozdymać pompą „wspaniałości”
Puste pęcherze swej próżności,
Byle prostaczków oszołomić),
— „Pan legionista? Znał pan może
Majora Sępa-Białynicza?
Nie słyszał pan? · Majątek Zworzeń,
W czerskiem, sto włók...” Dzie-
[wierski milczał.
—„Zapali pan? Khedive,
[prawdziwy,
Z Kairu... Lubi pan Khedivy?
Pyszne, nie? Co pan o tem myśli?
Mam zapas, przywiózł mi kapitan
De Chantilly, z francuskiej misji.
A dla panienki? Czekoladki?
Niech Tekla poda czekoladki.
Ta z maraskinem wyśmienita,
Ta — crêm brulé, a to pralinka...
Mój ojciec z Wedlem grywał w
[winta...”

Poco mu było to gadanie?
Poco czarował, dął się, puszył?
Nie wiem. Bezdenne są otchłanie
Nawet najpłytszej ludzkiej duszy.
Tam — raj, potworny Raj Idiotów,
Imperium pragnień utajonych,
Ziszczonych i zaspokojonych,
Tam cyrk tyranów opętany,
Tam władzy gniją lewiatany!
Tam sobie SIEBIE użyj, bracie!
Tam płonie Rzym! Tam Chamów
[Syjon!
Zwycięstwo trąbią, w bębny biją!
Tam szczurza zgraja hitlerydów
Podgryza krzyż paszczęką głodną,
Tam stosy z ksiąg, pogromy żydów,
Tam rzezie za rumieniec wstydu,
Masakry za urazę drobną!
Tam w przepełnionem trzęsawisku
Nędznych tryumfów, szybkich
[zysków,
Za wszystkie czasy się odbili,
Dorwali się do siebie samych,
Oni — z gnębionych, wyszydzanych,
Sami dziś władcy i szydercy
Z opuchłą słodką pychą sercem,
Ze szczeniąt lwy, a orły z gadzin!
Tam Boska Farsa! Tam, Wergili,
Kolegę było zaprowadzić
Na połów infernalnych tercyn!

Lecz on? Fryderyk Alfred Folblut?
Tak! Nawet on się wdał w igrzysko
Nienasyconych żądz „wielkości”...
Zdawałoby się: młody, zdrowy,
Bogaty, piękny...słowem: wszystko!
Tak górujący „towarzysko”
Nad ludkiem małomiasteczkowym!
A jednak... Wciąż „sukcesów”
[głodny,
I tutaj, szelma, nie darował...
Czarował. Wreszcie — oczarował.
Szastając szarmem, krągłym,
[chłodnym,
Barwionym gładko w różne tony —
(Tak nonszalancki krupier rzuca
Szczęśliwym graczom śliskie sztony,
By już za chwilę — osowiałym —
Zagrabić tryumf krótkotrwały),
— Mój dureń-buffo czarujący
Czadem otaczał ją trującym.

Werweny zefir, dech wanilji,
Khedivów dym, opary kawy,
Łaskawych słówek wiew słodkawy
(Nawet jej raz powiedział: „Pani...”)
Pańskość, jedwabiem słów pokryta,
I lepkich oczu dotyk chwytny

(Tak w czułe łapki róże chwyta
Motyl, żałobnik aksamitny),
I zdań stołecznych nowe rytmy,
Dziwne słuchowi prowincjałki,
Gesty, którymi ich kadencje
Serwował jak rakietą piłki,
I zawsze trafiał, bez pomyłki, —
— Wszystko to w nerwy jej
[dziewczęce
Wpływało jak morfina w żyły,
I słodkie, ciepłe prądy szczęścia
Nieszczęsną główkę odurzyły
Kiedy rokował: „Jak panience
Podoba się Warszawa? Szkoda,
Że taka dzisiaj niepogoda
I te pochody... Wziąłbym państwo
Na mały spacer samochodem...
Więc kiedy? Niech mi Tekla poda
Kalendarz... Zaraz: wtorek...
[środa...
We czwartek, dobrze? Zapisuję:
„Dziewierski...tak?... Dwunasta...
[Spacer..."

Zamówię słońce...
A jeśli chodzi o tę pracę,
To jeszcze się poradzę matki,
Ale co do mnie — owszem, zgoda,
Napewno... Niech mi Tekla poda
Mój szary portfel, ten z szufladki...
Proszę, tymczasem...na wydatki,
Zaliczka..."
Pan Dziewierski przyjął.
I popłynęły przed oczyma:
Laubzega, komplet farb, tokarka
I wymarzony werk zegarka,
Słoiki pełne barwnych cieczy,
Magiczne sztuczki i latarka
I dużo innych miłych rzeczy...
Zaczął dziękować mu (swoiście),
Że...zawsze...tego...rzeczywiście...
Że...chrząk, bąk...bardzo...i że
[właśnie...
(Tutaj na wnuczkę rzucił okiem,
Westchnął i zamilkł. Tak „wyjaśnił"
Dwa życiorysy i epokę).

12

W sypialni Muszki, oddalonej
O pięć pokojów od salonu
Jeszcze się nocna lampka świeci.
O pięć pokojów... A już w trzecim
Eterem pachnie, walerjaną
I duszą nawpół obłąkaną.
A kto przez czwarty pokój szedł, ten
Na palcach szedł, jak do zmarłego,
I milkł, i nawet myślał szeptem,
Bo idąc, już wyczuwał przedtem
Z zaduchu zalatującego,
Że dalej, za piątemi drzwiami,
Z żywego jeszcze ciała, w ciszy,
Umarły duch uparcie dyszy,
Umarłe oczy blask udają,
Umarłe oczy w pustkę biją...
Tak niewidomy, wrót szukając,
Uderza w nic żebraczym kijem.
...Na piątych drzwiach, tych do
[sypialni,
Majaczył napis niewidzialny
(Węchem czytałeś go:) „Lasciate
Ogni speranza voi qu'entrate..."

Ileż się nad nią nawzdychały
Kuzynki, ciotki i bratowe,
Bardzo poczciwe, ale...zdrowe
(Choć narzekały na wątrobę,
Na żółć, na serce ostatecznie...
Lecz cóż to są „sercowo chorzy"
Dla tych, co chorzy są serdecznie?)
Ileż zbawiennych dla jej serca
Każda z nich rad zbawiennych miała!

To Herza wezwać, nie Landaua,
To znów Landaua a nie Hertza.
Mówiły: Ems, mówiły: Karlsbad,
Albo mówiły: rzuć to wzystko,
I tych doktorów i lekarstwa,
Tobie potrzebne towarzystwo...
Radziły zmienić otoczenie,
Pytały: tutaj cię nie boli?
Mówiły: trochę silnej woli,
Mówiły: weź na przeczyszczenie.
Stwierdzały: jesteś zbyt wrażliwa.

Myślały: stara histeryczka — — —
A ona, trupia i tragiczna,
Była poprostu — nieszczęśliwa
Najgorszem z nieszczęść: bezimien-
[nem.
A z duszą wraz nieszczęśliwiało
Zdumione swem przetrwaniem ciało,
I prawem połączonych naczyń
Równy był poziom ich rozpaczy.

Najgorsze z nieszczęść: bezimienne...

Wrośnięte w ziemię i kamienne,
Nagrobki takie są... A tutaj
Wrósł w duszę ów nadgrobny
[kamień,
Już nieczytelny — nawet dla niej.

Pod konterfektem Marji Panny,
Nubijsko-czarnej, ozłoconej
Poblaskiem lampki całonocnej,

Klęczy złamany cień niemocny.
Już o nic nawet nie proszący,
Niepomny siebie, zatracony...

A przecież niegdyś — dwa imiona
Miało jej szczęście i nieszczęście,
Oba umarłe w jednej klęsce.

Nosiła go w kołysce łona,
Jak przez Apolla nawiedzona.
Ledwo się zalągł i ukleił,
Wdała się w czary macierzyńskie,
W magję tęsknoty i nadziei.
Wpatrzona wiosną w niebo rzymskie,
Ściągała je oczyma w trzewia:
Żeby w lazurze płód dojrzewał.
Mimozom kradła czułość złotą,
Ogołacała z kwiatów drzewa,
Noc z gwiazd i pieśni, świat z
[urody —
I wszystko w brzuch z rosnącym
[płodem.
Przed posągami, obrazami
Zastygłych muzeów i wystaw
Stała, złodziejka, godzinami,
Świadoma celu, uroczysta,
I, jak rentgenem, naświetlała
Zamknięty sezam swego ciała
Cnotami piękna tajemnemi:
By to pokraczne, wczesne brzemię
Duchem przepoił Bóg-Artysta...
A kiedy, wstrząsający sławą
I rudą grzywą i Warszawą,
Republikański i królewski,
Głaskał fortepian, jak kobietę,
Rycerz muzyczny, Paderewski —
— Siedziała z rozchylonem sercem
(I lekko, lekko, kolanami...)
I wzbogacała płód koncertem
Rytmem, harmonią, melodjami,
Wierząc w magiczny prąd, płynący
Ze strun — w jej krew: w prąd
[kształtujący;
Czując, że się aż TAM przedostał;
Pewna, że „przyjmie się” jak ospa.

Pisala listy. Oto próbka:
„Czcigodna i łaskawa Pani!
Pod mojem sercem, jeszcze mlodem,
Może naiwnem, ale szczerem,
Dojrzewa owoc mej miłości.
Dodaj mi wiary i nadziei,
Ty, która w księdze dusz kobiecych
Tak cudne zapisałaś karty,
Ty — w której święty znicz się pali,
Błogosławiące rzuć mi słowa!...
Tusząc, że Pani...” I tak dalej;
Podpis: Amelja Folblutowa

Oto odpowiedź: „Droga Pani!
Wzruszona poetyckim listem,
Szlę... Niech otucha... Instynkt
[matki...
Najzaszczytniejszem posłannictwem
[...
Dobrobyt i oświata kraju...
Wspólne ogniwa... Społeczeństwo...
Ziarna przyszłości... Hartem stali...
Siew dobra... Wierzę.. Wiosna
[nowa...
Podpis: Eliza Orzeszkowa.

Czytała wiersze. W owych czasach
W przededniu „purpurowych
szałów”,
A tuż po orgji czarnych żałób,
Nauczycielem serc kobiecych
Był Asnyk, bukiet „ideałów”.
Dziś — zielnik, wtedy — bukiet
[świeży.
Błogosławiony wiek, co wierzył!
Więc wszeptywała w ołtarz brzucha
„Płomienie prawdy”, „walki
[ducha”,
Hasła „porywów” i „zapału”,
Modlitwą nasycała płód,
Błagając Boga, by wysłuchał...

Daremne modły, próżny trud,
Bezsilne sny, marzenia. Embrjon
W folbluta rasowego zjędrniał,
I oto, z sacrosanctum biódr
Cesarskiem cięciem wydobyty,
Rósł — trzeźwy, sprytny, głupi,
[syty,
Zakusom czartów i aniołów
Jednako w duszy niedostępny —
Straszny! Dla ludzi obojętny,
Pełen pogardy dla żywiołów,
Przedmioty cenił — trwałe rzeczy
Z trudu najemnych rąk
[człowieczych.
Wielbiciel zysku i wygody,
Korzyści i pożytków łowca,
Jeżeli wglądał w treść przyrody,
To jak w nabity skład surowca:
W żywocie miazgi, w masie bryły
PRZEDMIOTY niewydarte tkwiły
I dywidendy przemysłowca.

. . . .

...Nie wybaczyła im zawodu:
Ani synowi ani Bogu,
I dzień za dniem KARAŁA obu:
Syna — ironją dramatyczną
(Patosem rażąc go i dręcząc),
Boga — milczeniem. Ale klęcząc.

STEFANIA ZAHORSKA

SMOCZA 13

Dramat w trzech aktach

SŁOWO WSTĘPNE

wygłoszone na wieczorze PEN Klubu Polskiego w Londynie

Autor dramatyczny musi wyłuskać z przepływu rzeczywistości napięcia i zderzenia. Musi wyostrzać i przyśpieszać powolny, obrosły codziennością bieg zdarzeń.

Dramat „Smocza 13", który dziś usłyszycie, musiał być tworzony inaczej. Bieg rzeczywistych zdarzeń w ghecie warszawskim był napięty i wyostrzony ponad miarę wszelkiego dramatu. Był obrosły cierpieniem, które nie mieści się w słowach. Był skalany zbrodnią, której opisu nie wytrzymałby słuchacz i widz. Trzeba było, pisząc tę sztukę, tłumić napięcie, ściszać głosy, zacierać ślady zbrodni. Dlatego to, co tu usłyszycie nie jest pełną prawdą. Jest cieniem dramatu rzeczywistego.

Nie oczekujcie składnego dialogu i filozoficznych myśli. Ludzie śmiertelnie osaczeni nie silą się, by wypowiedzieć swe myśli i uczucia. Mówią, omijając właściwe treści, bo świadomość ich nie może już objąć ich losu. Słowa ich są niemal przypadkowe, niemal nic nie znaczą.

Nie stanie też przed wami „on" i „ona", symboliczna para bohaterów. Tragedie, które dziś przeżywamy, to są tragedie zbiorowe. Na ich czarnych falach płyną poszczególni ludzie. Każdy z nich, wysuwając głowę z topieli, ma własne myśli, czuje własny los. Lecz nim tragedia osobista wyłoni się w całej pełni, fala porywa wszystkich ku zgubie. Dramat, który dziś usłyszycie nie jest dramatem jednostek. Jest dramatem wspólnoty. Płynie czarna fala i porywa wszystkich po społu.

Zbrodnia dokonana na ghecie warszawskim nie jest okropnością wojny. Jest zbrodnią chcianą, świadomą, szaleńczą. Żaden plan „polityczny", żadna „ideologia" nie mogą zatrzeć jej charakteru właściwego: poprzez cienką skorupę cywilizacji przedarła się na wierzch warstwa spodnia, barbarzyństwa i sadyzmu. W tym sensie dzieje ghetta warszawskiego nie są odosobnione. I nie są skończone. Obłędny sabat trwa nadal. Krwawe plamy pokrywają całą Polskę i szlaki zbrodni wiodą na zachód i na wschód. Nie widać końca i nie widać dna upadku moralnego. Tragedia ogólno ludzka, którą uzmysławia los ghetta warszawskiego nie leży ani w cierpieniach, ani w śmierci. Leży w bezmiarze istniejącej dzikości. Leży w głębi upadku.

Lecz pytanie postawione w tym dramacie nie dotyczy psychologii zbrodniarzy. Wydało mi się niepodobieństwem nadać im formy ludzkie. Działają w głębi — zło nieartykułowane, potworność bez twarzy. Mówić do was będą jedynie ofiary. Ludzie. Jest w dziejach ghetta moment szczytowy, kiedy zbita bezsilna masa ludzka, która zdaje się nieuchronnie musi stoczyć się w dół, podnosi zwolna głowę i wznosi się wysoko, aż do bohaterstwa. Z jękiem bezbronnych miesza się poszum oporu, nabrzmiewa, wyrasta w krzyk walki — skazańcy wydają wojnę pancernym armiom wroga. Nie było materialnej racji zrywania się do boju. Śmierć czekała wszystkich i tych co poddawali się biernie i tych co stawiali opór. A jednak ghetto walczyło. Słowa takie, jak honor, jak obrona istnienia moralnego wydają się starte, romantyczne. Z tragedii ghetta wyłaniają się mocniejsze niż kiedykolwiek, realne, twardsze niż życie i śmierć.

I twardsze od śmierci okazały się także prawa braterstwa. Broni dostarczył ghettu podziemny ruch polski. Płynęła do ghetta popod i poprzez dzielące mury. Każdy przemycony ładunek miał cenę niebywale wysoką: cenę narażenia tysięcy żyć ludzkich, może cenę istnienia całej organizacji walki podziemnej. A jednak braterska pomoc— tragiczna pomoc bez nadziei nagrody i zysku — została udzielona.

Postaci, które zobaczycie tu na planie pierwszym, to są ludzie prości, nie uświadamiający sobie w pełni swych związków społecznych, nie związani świadomie z jakąkolwiek ideologią. Albowiem ludzie przejęci jakąś ideą programową są w zasadzie z góry nastawieni bohatersko. Są niejako predestynowani do tego, by walczyć, by ginąć. Ich świadomość moralna jest już przygotowana i jeśli mają do wyboru zginąć bez sensu i zginąć walcząc — wiadomo co wybiorą. Ich rola w zbiorowości polega właśnie na przyspieszeniu odruchu moralnego, na nadaniu mu kształtu. Ale chodziło o tamtych, o tych ideologicznie biernych. Chodziło o to, jak dokona się przełom w handlarzu, właścicielu sklepu bławatnego, w tragarzu, którego treścią życiową było wożenie towarów, w przedsiębiorcy, który cel swego życia widział w zabezpieczeniu rodziny. Staną przed wami ludzie mali. I odbędą drogę trudną do nazwania.

Ten dramat jest smutny. Nie ma w nim uśmiechu. Jest smutny i nie może być inny. Ale nie jest pesymistyczny.

Widzę przed sobą Polskę pełną bólu i smutku, całą zasnutą ciemnymi dymami. Rozsuwam dymy. Dotykam stopami jej ziemi. Na bladych twarzach umęczonych widzę uśmiech najwyższego człowieczeństwa. Widzę światłość, która bije z ziemi. To schowani w niej ludzie świecą diamentową poświatą.

OSOBY:

SALOMON ROTMAN, kupiec (*lat* 60)
ROTMANOWA, jego żona (*lat* 50)
ZYGMUNT BIRENZWEIG, przedsiębiorca budowlany
MATYLDA, jego żona
PROFESOROWA (*lat* 45, *piękna kobieta*)
BASIA (*lat* 20)
SZLOMA, robotnik, czapkarz (*lat dwadzieścia kilka*)
ANDRZEJ
JAKUB, tragarz
KLUGER
GLIKSMAN
MAŁY
REGINA FEIGENBLAT
DAWID STRAM, kantor i piekarz
JOSEK BERG (*lat* 15)
INŻYNIEROWA LEMANOWA
DOKTÓR

Kobieta, Lokatorzy, Robotnicy, Żołnierze niemieccy.

Rzecz dzieje się w ghecie warszawskim w lipcu 1942.

Epilog w maju 1943.

PROLOG

Wykrój ulicy. Po lewej szara ściana kamienicy. Rozwalone wejście do sklepu, kupa gruzów, puste okno sklepowe. W głębi czerwony mur, zamykający ulicę. Zza muru widać szczątki przyległego domu. W murze zamknięte drzwi. Noc przechodzi w przedranny zmierzch. Zza muru dobiega nucenie i rzępolenie bałałajki.

SZLOMA (*w łachmanach, przesuwa się wzdłuż ściany*).

JOSEK (*idzie za nim, doskakuje. Mówi szybko, urywanie*).

SZLOMA Ty weźmiesz gazety. Ja drugą paczkę.

JOSEK Ty uciekaj przez sklep. Ja ulicą.

SZLOMA Wolę ulicą...

JOSEK Nie można razem. Ja lepiej wiem. Jak złapią, wszystko razem przepadnie. Tak będzie, jak w zeszłym tygodniu. Ja się już znam na tym interesie.

SZLOMA Ja odpowiadam za tę sprawę! (*kryją się*).

KOBIETA (*wysuwa się ze sklepu*) Czego wy tu chcecie?

SZLOMA Co tobie do tego?

KOBIETA Ja was znam, złodzieje. Złapiecie mi worek i uciekniecie (*kryją się*).

GŁOS ZZA MURU Die verstehen ja nicht einmal einen zu begleiten! Nie dobre! Nie haraszo! (*akcentuje melodię, bałałajka towarzyszy*).

JOSEK. Ja ją znam! Ona handluje!

KOBIETA Kto tu może handlować? Tu nikt nie ma pieniędzy, żeby płacić. Tu tylko wszyscy chcą jeść. Myśmy się złożyli w kamienicy. To dla nas...

JOSEK Kłamiesz, na pasek puścisz.

KOBIETA Cicho, sza... Ja wam coś dam. Pomóżcie mi, jak robotniki będą szły z nocnej roboty. Ja miałam inną bramę i jednego policjanta. Jego przenieśli. Ja się umówiłam na tę bramę. Na co wy czekacie?

SZLOMA Nie twoja rzecz.

KOBIETA Nie moja? (*z przerażeniem*) Wy jesteście od tych gazet! Wy jesteście od tej roboty! (*kryją się*).

GŁOS ZZA MURU (*śpiewa sentymentalnie*) In der Heimat, in der Heimat... (*bałałajka towarzyszy*).

JOSEK Idź stąd! Tu jest nasza brama!

KOBIETA Głupiś. Tu jest ich brama.

JOSEK Ona wszystko popsuje!

SZLOMA My tu mamy ważne sprawy...

KOBIETA Najważniejsza sprawa, żeby cię nie zabili.

JOSEK Ciemna baba! (*kryją się*).

ŻOŁNIERZ NIEMIECKI (*otwiera drzwi, zatacza łuk latarką elektryczną, cofa się. Zbliża się odgłos maszerujących. Kroki zatrzymują się przed murem*).

JOSEK Idą robotniki!

GŁOS ZZA MURU Haende hoch!

KOBIETA (*do Szlomy*) Żebyś ty tylko tego smarkacza upilnował. Ja ci dam... marchewkę.

JOSEK Daj kaszy!

KOBIETA Widział kto? Kaszy? Ty myślisz, że ja mam sklep? Że ja jestem milioner?

JOSEK Ty masz dobre życie.

KOBIETA To się nazywa życie? (*kryją się*).

Drzwi otwierają się szeroko. Dwaj robotnicy wchodzą, jakby wypchnięci. Maszerują na przód sceny, stają nieruchomo. Wchodzą dwaj następni. Potem dalsi. Na przedzie formuje się nieruchomy oddział. Ostre światło pada przez drzwi. W kącie, przywarci do muru stoją Kobieta, Szloma, Josek.

GŁOS ZZA MURU Vorwaerts! Weiter!

KOBIETA Jest! Jest mój worek! (*Słychać upadający przedmiot.*)

JOSEK Kartofle!

KOBIETA Puść, to moje! (*szarpią worek*).

SZLOMA Josek! Bierz! (*Chwytają paczki zrzucone z przyległych ruin, wskakują do sklepu*).

KOBIETA (*usiłuje unieść worek*) Pomóż mi! Dostaniesz...kaszy...

JEDEN Z ROBOTNIKÓW Cicho!

GŁOS ZZA MURU Was ist los?

(*Wbiega kilku żołnierzy, oświetlają latarkami scenę. Kobieta stoi pod murem, nachylona nad workiem. Żołnierz strzela. Kobieta pada. Żołnierz zabiera worek. Robotnicy stoją nieruchomo. Żołnierze wychodzą.*)

GŁOS ZZA MURU Vorwaerts! Weiter! (*dalsi robotnicy wchodzą*).

ŻOŁNIERZ Abmarsch! (*robotnicy odmaszerowują*).

JOSEK (*biegnie na przód sceny. Z załomu muru wysuwa się człowiek, zabiera paczkę. Nikną.*)

Rozwidnia się, wstaje dzień. Scena jest pusta. Leży trup kobiety. Bałałajka brzdąka.

ŻOŁNIERZE (*wchodzą. Poprawiają pasy, broń. Idą powoli za robotnikami. Śpiewają.*)

In der Heimat, in der Heimat
Da ist es wunder, wunderschoen...

AKT I

Pokój z wzorzystą tapetą. Na wprost drzwi z rzeźbioną framugą. Obok szeroki rzeźbiony kredens, bez drzwiczek. Dalej, w rogu, szerokie okno, częściowo zaklejone gazetami. Przy lewej ścianie żelazne łóżko. Obok drzwi do sąsiedniego pokoju. Przy prawej ścianie drzwi. Obok kaflowy piec, przed nim żelazny piecyk, wiaderko, garnki, dzbanek. Materac na ziemi. Na środku duży stół. Pod ścianą i na stole stosy czapek niemieckiego, wojskowego fasonu, osobno daszki do nich. Pod oknem na ziemi siennik, który Profesorowa i Basia uprzątują, przesuwając pod łóżko. Słoneczny ranek.

PROFESOROWA Ach, jak się wcześnie dzień tu zaczyna... (*siada zmęczona*).

BASIA (*podsuwa jej czapki*).

PROFESOROWA Nawlecz mi igłę. Nie widzę bez szkieł. To jest męka.

BASIA (*nawleka igłę, przyszywają daszki do czapek*).

PROFESOROWA Zamknij okno. Taki hałas. Nie mogę tego znieść.

BASIA (*podchodzi do okna, cofa się nerwowym ruchem wstecz, przemaga się, zamyka okno*).

MATYLDA (*staje w drzwiach po prawej*) Zygmunta nie ma?

PROFESOROWA Przecież pani widzi, że go nie ma.

MATYLDA Już powinien być (*chwyta się za głowę. Wychodzi*).

PROFESOROWA Ach, jaka ona jest drażniąca... Zamknij te drzwi na klucz.

BASIA (*nie rusza się*).

PROFESOROWA Rotmanowej też jeszcze nie ma. Ledwie szarzało, jak wyszła. Może się co stało?

BASIA (*wzrusza ramionami*).

PROFESOROWA Mówiła, że dostanie obierki od kartofli. Ty wierzysz, że ona dostanie obierki? (*Basia milczy*) Dlaczego ty nic nie mówisz? Ja nie mogę tego znieść...

BASIA Nie mam nic do powiedzenia.

PROFESOROWA Wiem, wiem. Ale przecież możesz mówić po ludzku. Cały dzień ust nie otwierasz. Już nawet do ciebie nie mogę mówić.

BASIA Niech pani mówi.

PROFESOROWA (*macha ręką, milczy chwilę*)... Szloma przyniósł ci list od Andrzeja?

BASIA Tak.

PROFESOROWA Ty tych listów nie palisz. Ty je tu gdzieś trzymasz. Ty jesteś szalona. Na śmierć nas poprowadzisz.

BASIA Tak pani na tym zależy, żeby eszcze długo pożyć?

PROFESOROWA Okrutna jesteś... Przeczytaj mi jakieś słowa stamtąd...

BASIA (*wyjmuje zza bluzki list, czyta*) „Rozwożę teraz węgiel, wczoraj sprzedałem dwa wózki..."

PROFESOROWA Po jakich ulicach rozwozi?

BASIA Nie pisze.

PROFESOROWA Może pisze coś o mieście?

BASIA Owszem, pisze. (*czyta*) „Rano myję się w Wiśle, suszę w słońcu na piasku. Kwitną lipy..." (*chowa list*) Głupi chłopak, żeby takie rzeczy pisać.

PROFESOROWA Ty jesteś bez serca. On przecież dla ciebie to pisze. Donosi ci o rzece, o drzewach...

BASIA Mnie to nic nie obchodzi. Ręczników nie ma, dlatego się na słońcu suszy.

PROFESOROWA Kiedy mój mąż skończył swój ostatni rękopis, wiesz, ten o insurekcji... wyjechaliśmy na wieś. Pełno tam było lip...właśnie kwitły... Koniecznie chciałam wtedy jechać do Anglii. Jakbym przeczuwała, że mój Staś... a mój mąż się uparł. Nie ma, powiada, nad polską wieś, nad nasze lasy... Ty je jeszcze zobaczysz...

BASIA Niech pani da spokój. Tego ja nie mogę znieść.

PROFESOROWA Ty masz Andrzeja. Andrzej Cię uratuje...

BASIA (*zduszonym głosem*) Jak?

PROFESOROWA Nie wiem... Może przekupi kogo przy bramie... Gdyby Staś był w Warszawie...

BASIA Andrzej jest w ruchu. W służbie.

PROFESOROWA Przyjdzie po ciebie. Któregoś dnia, którejś nocy... przyjdzie, zabierze cię stąd. Ukryje cię. Może u swojej matki...gdzie mieszka jego matka?

BASIA (*cicho*) Na Hożej...

PROFESOROWA W którym miejscu?

BASIA ...niedaleko placu...

PROFESOROWA Pójdziecie Nowym Światem, Aleją, przez most...nad Wisłę... będzie pachniało rzeką...

BASIA (*odrzuca czapkę*) Duszno jest. Otworzę na chwilę okno. (*Podchodzi do okna, ma znowu nerwowy gest cofania się, otwiera*) Coś się dzieje...

PROFESOROWA Zamknij, zamknij! Ja nie chcę wiedzieć...ja nie mogę tego znieść...

BASIA Pędzą jakąś gromadę. (*Słychać zbliżający się śpiew: In der Heimat, in der Heimat, da ist es wunder, wunderschoen... Krzyki: Singen, Judenpack! Pomruk przemaszerujących. Krzyki i śmiech oddalają się.*)

ROTMANOWA (*wchodzi, zamyka za sobą drzwi, opiera się o nie. Spostrzega Basię w otwartym oknie*) Zamknąć! Zamknąć! Zobaczą! (*Basia zamyka okno.*)

SZLOMA (*staje w drzwiach na lewo. Za nim wsuwa się Rotman.*)

ROTMAN Co się dzieje?

ROTMANOWA Co? Nic. (*wyciera twarz chustką*) Czego się tak przeląkłeś?

ROTMAN Co to były za krzyki?

ROTMANOWA Jakie krzyki? Żadnych krzyków nie było.

ROTMAN (*drży*) ...wywożą?

ROTMANOWA (*krzyczy*) Kto wywozi? Kto ci mówił o wywożeniu?

SZLOMA Cicho. Nie krzyczcie.

ROTMANOWA To czego on jest taki? On sobie coś wymyślił. Jemu ciągle coś takiego po głowie chodzi.

ROTMAN Kluger nie przyniósł dziś daszków. Ja poleciałem, żeby się dowiedzieć. I przejechał samochód.

ROTMANOWA No widzi pani. Samochód przejechał. To on już zmysły traci.

PROFESOROWA Przecież dużo samochodów przejeżdża.

ROTMAN Ciężarówka! Duża, pusta! Ciężarówka!

SZLOMA (*ironicznie*) Po towary...

ROTMAN (*chwyta profesorową za rękaw*) Za nią jechał wojskowy.

PROFESOROWA Niech mnie pan nie szarpie! Niech już przyjadą! Niech nas już wezmą! Zabiją!

BASIA (*spokojnie*) Ktoś idzie. (*bierze wiaderko, daje je Szlomie, Szloma wychodzi na lewo. Od prawej wchodzi Matylda. Wszyscy patrzą na drzwi. Słychać głośne zatrzaśnięcie drzwi w przedpokoju. Wchodzi Zygmunt Birenzweig, ubrany jak robociarz. Trzyma się za prawy policzek*).

BIRENZWEIG (*głośno*) Czego wy tak stoicie? (*milczą*) Czego wy tak stoicie, do ciężkiej cholery? Dajcie mi trochę zimnej wody. Zimnej wody, słyszycie? (*Matylda przynosi dzbanek*).

PROFESOROWA (*załamuje ręce*) Co się stało?

BIRENZWEIG Nic się nie stało. Co się miało stać. Wracaliśmy z fabryki. Pędzili nas po ulicach. Kazali nam maszerować i śpiewać. (*Podnosi rękę i charczy*) In der Heimat, in der Heimat... Kraft durch Freude. Nic się więcej nie stało. (*Zmywa sobie twarz.*)

MATYLDA Co oni ci zrobili?

BIRENZWEIG Nic mi nie zrobili. Nie widzisz, że nic? Mąkę mi zabrali.

ROTMANOWA Mąkę?

BIRENZWEIG Chciałem za kurtkę wsadzić i nie zdążyłem. Akurat miałem w prawej ręce. A prawą trzeba było podnieść.

ROTMAN (*z ulgą*) Ja myślałem, że już po nas samochód przyjechał.

BIRENZWEIG Niech się pan nie boi. Zawiadomią pana, nim po pana przyjadą.

ROTMAN Jak to zawiadomią?

ROTMANOWA Co to znaczy zawiadomią?

SZLOMA (*wraca*).

BIRENZWEIG Ty, Szloma, ty masz rewolwer. Jak Boga kocham, ty masz rewolwer.

BASIA Pan chyba oszalał, żeby takie rzeczy mówić.

BIRENZWEIG Ja oszalał? Ja? (*chodzi wzburzony*).

BASIA Niech się pan opamięta.

BIRENZWEIG (*do Szlomy*) A może ty jaki ręczny granat masz? Słuchaj, takie rzeczy, sabotaż...to jest twój interes...

SZLOMA Pan żadnego sabotażu nie zrobi. Pan wszystko przetrzyma, a po wojnie, to pan z nimi będzie robił interesy.

BIRENZWEIG (*podchodzi do niego*) Ja dziś powinienem był jednego zabić...

ROTMANOWA (*wsuwa się między nich*) Widział to kto? Żeby się dwaj Żydzi między sobą bili? Panie Birenzweig, przecie pan jest mądry człowiek. Ja pana pamiętam, jak pan do nas do sklepu przychodził, pan był dobry klient, pan zawsze na termin zapłacił.

SZLOMA Niech się pani Rotmanowa nie boi. On mi nic nie zrobi. On nikomu krzywdy nie zrobi. Nawet Niemcowi.

ROTMAN (*cicho*) O co wy się kłócicie? O co się Żydzi mogą dziś kłócić?

PROFESOROWA i BASIA (*zabierają się do szycia*).

SZLOMA (*przynosi nowy stos czapek*).

ROTMAN Panie Birenzweig, pan mówił, że oni zawiadomią...

ROTMANOWA Co to znaczy, panie Birenzweig?

BIRENZWEIG Dajcie mi coś zjeść.

ROTMANOWA (*załamuje ręce*) Co ja panu dam? Ja nic nie mam. Jak się ten gwałt na ulicy zrobił, to ja uciekłam. Ja miałam obierki przyrzeczone, przecież ja już mam nogi spuchnięte z tego gonienia. (*do Matyldy*) Może pani coś da mężowi?

MATYLDA Ja mam tylko dla dziecka... Henryś ma gorączkę...ja muszę doktora sprowadzić.

BIRENZWEIG (*wyciąga paczuszkę z kieszeni*) Tu masz dla dziecka. Dobrze, że przynajmniej to schowałem. (*Wyciąga z drugiej kieszeni kawałek chleba, zasiada do stołu, je, rozstawiwszy łokcie*).

PROFESOROWA To już naprawdę nie jest delikatnie z pana strony.

BIRENZWEIG Ja panią profesorową przepraszam. Ja jestem zwykły robociarz. Ja całą noc pracowałem, to ja muszę zjeść

MATYLDA (*zbliża się do męża*) Zygmunt,trzeba doktora do dziecka sprowadzić.

BIRENZWEIG Doktora? Dziś? Doktór dziś na pewno nie ma czasu. Doktór ma dziś dużo do roboty. (*przerywa jedzenie, patrzy na Rotmana*) A może doktór sam tu przyjdzie.

MATYLDA Żebym ja mogła gdzie aspiryny dostać.

ROTMANOWA Kto tu ma aspiryny?

MATYLDA (*cicho*) Ja muszę iść... (*idzie na prawo, wraca, niespostrzeżenie wychodzi*).

BIRENZWEIG Słyszał pan, panie Rotman, ja powiedziałem, że może doktór sam tu przyjdzie.

ROTMAN No to co? Po co on tu ma przychodzić?

BIRENZWEIG On się będzie musiał ludziom przyjrzeć. On będzie musiał wybierać.

ROTMANOWA Po co ma wybierać? Kogo on ma wybierać?

BIRENZWEIG ...kazali.

ROTMAN Niech pan już mówi! Niech pan już powie!

JAKUB (*wszedł cicho drzwiami od lewej. Rudawy blondyn. Ma łachmany przewiązane*

w pasie sznurem) Ja słyszałem. Już mówili na mieście.
ROTMAN Coś ty słyszał?
JAKUB Judenrat ma im przynieść dzisiaj sześć tysięcy Żydów.
PROFESOROWA Jak to przynieść?
JAKUB Pan Rotman im przynosi czapki. Albo ja je przynoszę. To wszystko jedno. To Judenrat ma przynieść Żydów. Sześć tysięcy. Oni się zmęczyli tym łapaniem, to oni chcą, żeby im przynieść.
SZLOMA (*przerywa szycie, uderza pięścią w stół*).
ROTMANOWA On jest głupi, on nic nie wie.
ROTMAN Czemuś ty nic nie mówił?
JAKUB Po co ja miałem mówić?
BASIA Rada się zgodziła?
BIRENZWEIG Oj paniusiu, polska panieneczko! Żydzi muszą się na wszystko zgadzać!
BASIA Nieprawda! Można umierać bez spodlenia się.
BIRENZWEIG Panience się krzywda stała, że nie jest po tamtej stronie muru.
BASIA Ja się nie skarżę, że jestem tu.
SZLOMA Ale ja jestem z tej strony. I ja panu mówię, że są granice. Lepiej, żeby nas wszystkich wymordowali.
ROTMAN To doktór będzie wybierał, których Żydów mają wywieźć...?
ROTMANOWA Co wy takie rzeczy mówicie? Doktór jest od dzieci. Jego nic nie obchodzi, tylko dzieci. On ma wybierać?
BIRENZWEIG Czemu nie? Wszyscy tak mówią. On jest w Judenracie. On jest odpowiedzialny. Pewno będą wywozili tych, co nie umieją pracować.
ROTMAN (*nieprzytomnie*) Przecież my robimy czapki! Czapki dla wojska!
SZLOMA (*zrywa się*) Ja nie będę tego świństwa szył! Niech pan sam szyje!
BASIA (*łagodnie*) Szloma...
ROTMANOWA Ja nic nie rozumiem. To wszystko jest nieprawda... Panie Birenzweig, niech pan powie, jak to jest naprawdę.
BIRENZWEIG Już pani wszystko słyszała. Co pani jeszcze chce? (*chowa głowę w dłonie*).
ROTMANOWA Co ja jeszcze chcę? Ja chcę, żeby się Pan Bóg odezwał. Jak ja byłam mała, to mnie uczyli, że Pan Bóg się Żydami opiekuje, że Żydzi to jest naród wybrany...
SZLOMA Hitler to samo mówi. On pewno dlatego ghetta zrobił, żeby Panu Bogu nie było trudno swoich Żydów znaleźć.
ROTMANOWA Ty mi przypomnij, Salomon...jak, ja byłam mała, to mi ojciec mówił że jak Amalek chciał coś złego Żydom zrobić...
BIRENZWEIG Kto to taki ten Amalek? Pani wie, co to był za jeden?
ROTMANOWA Skąd ja mam wiedzieć? Pewno jakiś zły człowiek. Antysemita.
BIRENZWEIG (*śmieje się cicho*) Żaden Amalek, tylko Amalekici. To był taki naród i Pan Bóg ich poraził.
ROTMANOWA To dlaczego Pan Bóg patrzy na to, co oni teraz robią? Dlaczego Pan Bóg ich nie po...po...
BASIA ...razi...
ROTMANOWA (*patrzy na nią bez zrozumienia*) Pani przecież nawet nie jest Żydówka.
BASIA Pani dobrze wie, że moja matka była Żydówka.
ROTMANOWA Jaka ona była Żydówka, jak ona za katolika wyszła...
SZLOMA (*do Basi*) Po co ty te norymberskie rozmowy prowadzisz? Dość już tego świństwa!
PROFESOROWA Mój mąż nie chciał się wychrzcić. A przecież był Polakiem całym sercem...
BIRENZWEIG Dobrze, dobrze, niech pani już tylko o swoim mężu nie opowiada.
ROTMAN (*przysuwa się do Birenzweiga, wstrząsa jego ramieniem*) Panie Birenzweig, niech mi pan powie...jak oni już wywiozą ...to co dalej? Jak to jest naprawdę?
BIRENZWEIG (*patrzy na niego przez chwilę*) Jak po pana przyjadą, to niech pan tylko swoją śmiertelną koszulę nałoży i o więcej się nie troszczy.
ROTMAN (*macha ręką niecierpliwie*) Ja wiem, ja wiem... Ale ja chciałbym wiedzieć...
ROTMANOWA Co tobie potrzeba wiedzieć? Co byś ty jeszcze chciał wiedzieć?
ROTMAN Bo to jest różnica...to nie jest wszystko jedno...
BIRENZWEIG Pan pamięta jak ghetto zamurowali? Pan pamięta ile ludzi było wtedy w ghecie?
ROTMAN Może pół miliona.
BIRENZWEIG Żadne pół miliona. Naprzód było mniej, potem było może 600 tysięcy, jak zaczęli zwozić. Przecie wszystkie mieszkania były przepchane, jak nieprzymierzając to tutaj. Ile nas tu było w tych dwuch pokojach i w tej kuchence? Chyba ze dwadzieścia osób. A teraz...
ROTMANOWA (*zatyka uszy*) Po co pan to mówi?
BIRENZWEIG (*rozgląda się po pokoju*) Właściwie po co my tu wszyscy razem jeszcze mieszkamy? Po co my w takiej niewygodzie żyjemy? Teraz miejsca jest dosyć. Ktoś by się mógł przeprowadzić. Ktoś, kto nie może tego znieść.
SZLOMA Nie opłaci się.
PROFESOROWA (*opiera głowę o stół, cicho płacze*).
BASIA Dałby pan spokój.
BIRENZWEIG Nie uważa pani, że mam rację? Bo my tu wszyscy korzystamy z gościnności pana Rotmana... (*wstaje od stołu*) No widzi pan, panie Rotman z tych wszystkich wywiezionych ludzi ani nikt nie wrócił, ani nikt listu nie napisał, no to co my możemy wiedzieć, jak im się powodzi?
JAKUB Nic nie można wiedzieć.
ROTMANOWA Ty cicho bądź. Ty jesteś głupi.
ROTMAN Co ty od niego chcesz? On dobrze mówi. On mówi, że nic nie można wiedzieć.

ROTMANOWA Może Lemanowa będzie coś wiedziała? Może ja bym ją zapytała (*czeka na potwierdzenie od Rotmana, wychodzi*).

BIRENZWEIG (*śmieje się cicho*) To się nazywa deportacja.

ROTMAN Co to znaczy deportacja?

BIRENZWEIG Niech pan zapyta w Judenracie. Oni panu powiedzą.

SZLOMA To znaczy, tu wam jest za ciasno, to my was przeniesiemy.

JAKUB Widzi pan, panie Rotman, ja panu mówiłem: jak im Żydów przyniosą, to oni ich przeniosą.

ROTMAN W Judenracie jest inżynier Leman. W Judenracie jest Doktór. Jak oni się zgodzili, to to nie może być nic złego.

BIRENZWEIG Nic złego. Posadzą pana do samochodu, kiedy pan przed wojną samochodem jeździł? Albo posadzą pana do wagonu, do dobrego wagonu, powiedzą panu: pan jest starszy człowiek, niech pan sobie jedzie wygodnie, kochany panie Rotman, szczęśliwej drogi, panie Rotman...

JAKUB I tak sobie człowiek jedzie i sobie myśli: dokąd oni mnie zawiozą? Może do jakiego miasteczka koło Warszawy... Może...do Góry Kalwarii. Może ...do Wawra, a może...do Lublina. I jedzie, i nic nie wie...

SZLOMA Ty głowę nie zawracaj. Gdzieby nie powieźli, zawsze koniec będzie ten sam.

ROTMAN Ja bym chciał mieć wyobrażenie...

SZLOMA To niech pan sobie wyobrazi na przykład...karabin maszynowy.

ROTMAN Karabin?... To bardzo prędka maszyna.

BIRENZWEIG (*rozgląda się nerwowo*) Gdzie jest Matylda?

PROFESOROWA Przecież dziecko chore.

BIRENZWEIG Dziecko? Dlaczego ona mi nie powiedziała, że dziecko chore... (*patrzy na drzwi na prawo, nagle do Rotmana*) Pan ma rację, panie Rotman, pan jest mądry człowiek. To jest za prędka maszyna... (*idzie na prawo, nagle zawraca i wychodzi spiesznie*).

ROTMAN (*patrzy za nim*) O, to...to...

JAKUB Oni myślą, myślą, oni nic nie wymyślą.

ROTMANOWA (*w drzwiach*) Niech pani wejdzie, ja dam pani zapałki.

LEMANOWA (*wchodzi, rozgląda się przestraszona*) Dziękuję pani...ja chcę tylko wody zagotować...dla Wandzi...

SZLOMA Pani inżynierowa powinna mieć coś więcej jak wodę do gotowania.

LEMANOWA (*patrzy przerażona*) Ja mam to samo, co wszyscy...

ROTMANOWA Niech pani siądzie.

ROTMAN Bo mąż pani się zgodził.

ROTMANOWA My byśmy chcieli coś wiedzieć.

LEMANOWA (*cofa się*) Ja nic nie wiem.

JAKUB Co ona może wiedzieć?

ROTMAN Może inżynier coś powiedział?

ROTMANOWA On swojej żonie wszystko mówi. On jest dobry mąż. Żeby wszystkie kobiety miały takich mężów.

LEMANOWA Wszyscy do mnie przychodzą...wszyscy mnie pytają.

SZLOMA Pani inżynierowa się dziwi? Wszyscy chcą wiedzieć, za jaką cenę Judenrat sprzedał sześć tysięcy ludzi.

LEMANOWA Sprzedał? (*cofa się ku drzwiom*).

ROTMANOWA (*zastępuje jej drogę*) On jest wariat. On nie wie, co mówi. My chcemy tylko wiedzieć dokąd, dokąd...

LEMANOWA Mój mąż sprzedał? Czego wy od niego chcecie?

SZLOMA Odwagi.

LEMANOWA Mój mąż powiedział, że jeśli od niego zażądają czegoś...czegoś, czego nie będzie mógł spełnić...

ROTMAN Ale czego? Czego oni mogą zażądać?

LEMANOWA (*wybucha płaczem*) On sobie życie odbierze! (*wychodzi*).

PROFESOROWA Ty jesteś taki niedelikatny, Szloma.

ROTMANOWA (*zabiera się do garnków*) Gdzie jest moje wiaderko?

BASIA (*wstaje, idzie do pokoju na lewo*).

PROFESOROWA (*szybko*) Moja droga pani, niech pani nigdy przy Basi jej matki nie wspomina. Ona niby taka spokojna. Ja się o nią boję.

ROTMANOWA Ona jest młoda, ona zapomni. Ale ja to nie mogę na to okno spojrzeć. Mnie się zdaje, że ona tam jeszcze stoi (*rozstawia ramiona, wzdryga się*) Ja się boję do okna dojść.

SZLOMA Niech panie nie będą takie delikatne i niech się panie nie boją (*wychodzi na lewo. Uchylają się drzwi, pojawia się kobieca głowa, za nią męska*).

REGINA Państwo już słyszeli?

DAWID Oni nic nie wiedzą.

ROTMAN My nic nie wiemy...nic.

DAWID Co ty masz im mówić?

REGINA I tak się muszą dowiedzieć. Dlaczego ja nie mam mówić? Może co uradzimy.

ROTMAN Wejdźcie, może co uradzimy.

DAWID Judenrat się zgodził...

PROFESOROWA Wiemy już, wiemy.

REGINA Niech się pani nie irytuje, przecież my nie winni, ja nic nie wiem, ja dopiero od wczoraj jestem w Warszawie, ja tu jeszcze nigdy nie byłam.

PROFESOROWA Wcale pani nie jest w Warszawie. Pani jest na Smoczej.

REGINA Nam tu kazali zamieszkać, ja myślałam, że w Warszawie, w takim dużym mieście, że tu są dobrzy ludzie.

DAWID Co ty takie rzeczy mówisz, wiedziałaś, że oni tu są.

ROTMAN To pan mówi, że Rada się zgodziła, żeby wybierać starych?

REGINA Dlaczego starych? Przecie nam kazali jechać, choć my młodzi, w Chabówce dużo było starych, a im nie kazali jechać, tylko nam... On wcale nie jest mój mąż.

ROTMANOWA To nie jest pani mąż?

REGINA On jest mojej siostry mąż. Ja nie wiem, gdzie jest mój mąż, ani gdzie moja mama, ani gdzie mój tato, ani moja siostra, ani... (*wybucha płaczem*).

DAWID Jej się wszystko pomyliło. Dziecko jej zabili.

REGINA Bo mój mąż uciekał pod sowiecką okupację, pod Rosjanina, on mi dał znać ze Stanisławowa, to ja za nim poszłam, to jak ja tam przyjechałam, to jego już nie było, bo jego wywieźli i wszyscy mówili, że on musiał umrzeć, bo w Rosji jest zimno, ich wywieźli w otwartych wagonach, to jak ja jego nie zastałam to ja wróciłam, bo tam aresztowali, i jak ja wróciłam to już nie było ani mamy, ani taty i ja jego spotkałam i myśmy razem w Chabówce piekli chleb, ale on nie jest piekarz, on się na kantora uczył.

PROFESOROWA A dziecko? Gdzie pani dziecko straciła?

REGINA Ja jej nie straciłam. Moja Rózia jest u jednej dobrej kobiety.

DAWID (*macha ręką*).

PROFESOROWA (*wstaje*) Mój syn też jest u jednej dobrej wielkiej pani.

REGINA Daleko stąd?

PROFESOROWA Daleko, bardzo daleko.

REGINA A pani ma wiadomości?

PROFESOROWA Mam... (*Basia i Szloma wracają. Basia stawia wiaderko koło pieca*).

ROTMANOWA Gdzieście wy to wiaderko wynosili? Wyście moje drzewo zabrali?

BASIA Nie. Jest drzewo.

REGINA Patrz, Dawid, ta panienka wygląda, jak naszego doktora córka.

ROTMAN Jakiego doktora?

REGINA U nas w Chabówce, przed wojną. On był wdowiec. Jemu żona umarła, mówili, że się otruła.

DAWID Przestań już mówić (*siada na materacu*).

REGINA Ale to był bardzo dobry doktór. Polak. Katolik.

ROTMANOWA Pan coś słyszał, panie...

DAWID Ja się nazywam Stramm.

REGINA On się nazywa Stramm, a ja się nazywam Feigenblatt.

ROTMANOWA Pan coś słyszał, panie Stramm, co ludzie mówią?

DAWID Jedni mówią, że doktór się nie zgodzi, drudzy mówią, że się zgodzi.

ROTMAN On sobie myśli: jak ja się nie zgodzę, to mnie zabiją i wszystkich. Żydów też. A jak ja się zgodzę, to ja będę żył i trochę Żydów uratuję. To on będzie chodził po domach i jak zobaczy, że stary, albo chory, to go zapisze.

DAWID Po co jemu po domach chodzić? On tylko podpisze.

REGINA Przecież doktór zawsze musi podpisać receptę. To ja na miasto pójdę, może ja co dostanę? Ja mam majtki, one trochę dziurawe, ale to jest bardzo dobry towar. To się nazywa...

BASIA ...millanaise. Niech państwo jeszcze trochę zostaną. Przyjemnie jest trochę pogadać. Słyszę, że ktoś idzie schodami. Może to jeszcze jacyś mili goście?

DAWID (*chwyta Reginę za ramię*) Nie idź! Nie idź!

REGINA Co? Dlaczego? (*zderza się z wchodzącym doktorem. Doktór jest wysoki, chudy, z lekka zgarbiony, siwy, ma na sobie zszarzały mundur wojskowy, bez odznak. Mówi gderliwym tonem*).

DOKTÓR Dzień dobry (*wszyscy zrywają się z miejsc, cofają w przerażeniu*).

ROTMAN (*krzyczy*) Po co pan tu przyszedł? Po co?

DOKTÓR (*spokojnie*) Pani Birenzweig wezwała mnie do swojego syna.

MATYLDA (*weszła za doktorem*) Co... o co chodzi? Ja prosiłam doktora do Henrysia.

ROTMANOWA (*krzyczy*) No widzisz, ty głupi, ty szalony! Ty wszystkich do wariactwa doprowadzisz!

DOKTÓR Niech pani nie krzyczy. Nic pani z tego krzyczenia nie przyjdzie.

PROFESOROWA (*głos jej drży*) Niech pan wybaczy, doktorze, taką plotkę puścili...Mówiono, że pan będzie wyznaczał...

DOKTÓR Ja wiem. Mnie dziś we wszystkich domach tak witają. Głupota. Bezgraniczna głupota.

REGINA Słuchaj, Dawid, on tak mówi, jak nasz doktór!

BASIA (*gwałtownie*) Niech pani wyjdzie! Niech pani stąd wyjdzie!

PROFESOROWA Basiu! (*Basia wybiega drzwiami na wprost*) Basiu, dokąd ty idziesz? Nie odchodź! Nie opuszczaj mnie! O Boże...jej ojciec był lekarzem. Po co ona poszła?

DOKTÓR Po to, żeby nie słyszeć, jak będziemy sobie wzajem wymyślać. Bo ja wam też nawymyślam. W zeszłym tygodniu nie przynieśliście mi nic do sierocińca, dla moich dzieci.

PROFESOROWA W tych warunkach doktorze...

DOKTÓR W tych warunkach. W tych warunkach najzdrowiej jest nie myśleć o sobie. Lepiej o dzieciach. Starzy nie tracą życia. Tracą różnicę między dwiema datami śmierci, z których jedna jest hipotetyczna. Dzieci tracą życie. (*Do Matyldy*) Gdzie jest syn?

MATYLDA Tu, w kuchence, panie doktorze. Niech pan wejdzie.

ROTMANOWA (*zastępuje mu drogę*) Panie doktorze, czy to prawda...

DOKTÓR Prawda.

ROTMAN Kogo? Kogo?

DOKTÓR Nie wiem.

ROTMAN Pan nie wie? Doktór nie wie? (*gwałtownie*) Ja robię czapki, ja przyszywam daszki do czapek!

DAWID (*zrywa się*) Co pan mówi o czapkach? Ja jestem młody, ja mogę wszystko robić! Ja mogę chleb piec!

REGINA On bardzo dobry chleb piecze.

ROTMANOWA Z czego pan tu będzie chleb piekł? Może pan jest kucharzem, może pan będzie kury gotował?

REGINA Ja już tak dawno kury nie jadłam, ja jestem głodna.

MATYLDA Panie doktorze...
ROTMAN Sześć tysięcy...?
DOKTÓR Tak.
ROTMAN I co dalej? Co będzie z nimi dalej?
JAKUB Jaki pan niemądry, panie Rotman. Skąd doktór może wiedzieć? To tylko oni wiedzą.
SZLOMA Skoro doktór jest w Judenracie i doktór się zgodził, to doktór musi wiedzieć.
DOKTÓR Ja się zgodziłem na deportację. Na przeniesienie.
JAKUB Przecie mówiłem. Oni się tak wszyscy boją. Ja nie wiem, czego oni się tak boją. Co panu za różnica, panie Rotman, czy pan mieszka tu, czy gdzie indziej? Pan myśli, że jak pan zostanie tu, to pan przestanie być Żydem, albo jak pan wyjedzie, to pan przestanie być Żydem? (*macha ręką*).
ROTMAN Skąd pan wie, że...że oni przeniosą?
DOKTÓR Tak powiedzieli.
SZLOMA Niemcy powiedzieli.
DOKTÓR (*chodzi nerwowo*) Racja, Niemcy powiedzieli. Szansa jest bardzo mała. Ale gdybyśmy się nie zgodzili, od razu by wszystkich zabili.
PROFESOROWA Pan chyba przesadza, doktorze.
DOKTÓR Przesadzam, przesadzam,... ja już taki jestem przesadny. No więc cośmy mieli zrobić?
SZLOMA Pozwolić się zabić!
DOKTÓR Phi...toś wymyślił! Przypuśćmy, że już cały Judenrat jest zabity i ja też. Wielka rzecz. W Niemcach się sumienie przewraca, bo doktora zabili. No i co dalej?
SZLOMA Nie tak! Można się pozwolić zabić, ale przedtem trzeba ich zabijać.
DOKTÓR Czym?
SZLOMA Ja bym panu powiedział czym i jak...
DOKTÓR No to mi powiedz. Ja noszę wojskowy mundur.
ROTMANOWA Ja nie wiem, po co pan w tym chodzi. To ich tylko drażni. Przecie pan doktór jest dobry człowiek.
DOKTÓR Nieprawda. Ja nie jestem dobry. Ja zabijam na przykład bakterie.
MATYLDA (*ciągnie doktora za rękaw*) Panie doktorze...
SZLOMA (*podchodzi do doktora*) Jeśli pan naprawdę tak myśli...jeśli pan nie mówi na wiatr...
DOKTÓR Wszyscy mówimy na wiatr. Na niemiecki wiatr... (*wychodzi na prawo za Matyldą*).
ROTMAN (*do Szlomy*) Po co ty takie rzeczy mówisz?
PROFESOROWA Szloma ma rację.
ROTMANOWA Jaką rację on ma? On jest szalony! Jak oni tylko wywożą, to to jeszcze nic takiego nie jest.
ROTMAN Nic nie jest? Ja nie chcę! Ja nie chcę!
ROTMANOWA Kto mówi o tobie? Dlaczego ty?
DAWID Mnie kazali przyjechać do Warszawy, to ja tu muszę być.
REGINA Ja też muszę być w Warszawie, ja nawet jeszcze wszystkich ulic nie widziałam.
PROFESOROWA Ja...nie muszę być w Warszawie.
SZLOMA Pani musi być w Warszawie.
ROTMAN (*staje w drzwiach na prawo, do doktora*) Może oni z każdego mieszkania biorą po jednemu?
DOKTÓR (*za drzwiami*) Nie wiem. Ja się tym nie zajmuję.
SZLOMA A czym się pan zajmuje?
DOKTÓR (*wchodzi*) Sierocińcem. Ja mam czterysta dzieci. I sto osób personelu. I pacjentów.
SZLOMA Dużo pan tym pacjentom pomoże...
DOKTÓR Nie dużo...nic, jeśli tak wolisz (*do Matyldy*) dziecko ma gorączkę. Prawdopodobnie z niedożywienia. Ja tu nic nie mam.
JAKUB (*wzrusza ramionami*) Co on może mieć?
DOKTÓR Niech pani przyjdzie z dzieckiem do sanatorium.
MATYLDA Kiedy, kiedy panie doktorze?
DOKTÓR Jutro... Ja nic nie przyrzekam. Dla dorosłych nie ma u nas jedzenia, ale dzieci żyją. Narazie. (*chce wyjść*).
ROTMAN Panie doktorze, jak ona ma iść z dzieckiem, to może...może...może niech ona lepiej wyjedzie....może tam będzie świeże powietrze, może tam będzie więcej jedzenia...
MATYLDA Nie! Nie!
DOKTÓR (*do Szlomy*) Widzisz! Taki jest wiatr!
ROTMANOWA (*zastępuje drogę doktorowi*) Na którą godzinę ma być tych sześć tysięcy? Na którą?
DOKTÓR Na czwartą.
SZLOMA Pan jest taki sam tchórz, jak wszyscy (*doktór wychodzi*).
ROTMANOWA Która teraz może być godzina?
JAKUB Przed wojną, to wszędzie były zegary. Taki luksus był na świecie. Teraz godzina, to niemiecka rzecz.
BIRENZWEIG (*wchodzi*) Gdzie jest Matylda? (*Spostrzega ją, nie zwraca na nię uwagi*) Jeszcze nie ma...
ROTMAN Czego nie ma?
BIRENZWEIG Jeszcze nie ma dość. Mówią, że jeszcze brak dwuch tysięcy. Policja chodzi i zbiera.
ROTMAN To oni tu przyjdą?
BIRENZWEIG Nie wiem. Nie wiem.
PROFESOROWA Szloma, Basi nie ma w domu (*załamuje ręce*).
SZLOMA (*wybiega*).
PROFESOROWA Zostań! O Boże!
ROTMANOWA Co się pani tak denerwuje?
JAKUB Ja pani mówię, że oni wszyscy są głupi. Wywiozą? No to wywiozą. Co już takiego może być, jak oni wywiozą?
ROTMANOWA Może nawet lepiej jest wyjechać?
JAKUB Wszystko się tak stanie, jak się musi stać. Jak moja żona jeszcze żyła, to ona się martwiła: Jakub, skąd ty weź-

miesz na komorne, już jest pierwszy. A potem już był dziesiąty, dwudziesty, a potem tośmy już za cały miesiąc byli winni, potem za dwa miesiące. To ona płakała i dzieci płakały... To ja jej mówiłem, ty się nic nie martw. Jak ja się mogę nie martwić? Ty się nie martw, bo Pan Bóg pomoże, bo nie jest tak powiedziane, żebyśmy mieszkali na ulicy i żebyśmy w piątek wieczór nie jedli chały. To jak to będzie, ona pytała. Co ja mogę wiedzieć, jak to będzie. Może...przyjdzie jaki bogaty kupiec i powie, Jakub chodźno tutaj, ty mi przewieziesz towary i tych towarów jest tyle, co ty je będziesz woził cały tydzień i ty za to dostaniesz trzydzieści złotych. To ona na mnie krzyczała. I co pani chce wiedzieć? Tak się stało. I ja zarobiłem nie trzydzieści, a pięćdziesiąt złotych.

ROTMANOWA Boś ty miał do czynienia z dobrymi ludźmi. Bo te pięćdziesiąt złotych, to tobie Rotman zapłacił.

JAKUB Te pięćdziesiąt złotych to mi zapłacił taki, co się nazywał Studnia co on miał duży sklep na Nalewkach. Sklepu już nie ma i jego nie ma.

ROTMANOWA Co ty mówisz o Studni? To był Rotman.

ROTMAN Ja pamiętam. To było przed świętami...

JAKUB To wcale nie było przed świętami.

ROTMANOWA To ty chcesz powiedzieć, żeś ty nie żył z Rotmana?

JAKUB Ja dla Rotmana woziłem towary, ja dla innych woziłem towary.

ROTMANOWA Z tego, coś ty dla innych woził, to byś ty nie mógł zapłacić komornego i chały na piątek kupić.

ROTMAN Co ty od niego chcesz? Może on by mógł...

ROTMANOWA Może by mógł...

BIRENZWEIG (*chodzi niecierpliwie po pokoju*) O co wam chodzi, do diabła?

PROFESOROWA Oszaleć można. Ja nie mogę tego...

ROTMANOWA Bo po co on pozwolił (*wskazuje na Rotmana*), żeby się Jakub do nas sprowadził? Mało nas tu było? I Basina matka, i ten Kurz, co...i jego dzieci, i Klein i ta stara Lewinsonowa...

PROFESOROWA Po co pani wylicza? Po co?

ROTMANOWA Bo on jest taki dobry człowiek. On jeszcze musiał sprowadzić swojego Jakuba.

JAKUB Przecie ten dom, co ja w nim mieszkałem, to jego już nie było. I mojej córki nie było. I mojego syna nie było. I o drugim synu ja nic nie wiem. I po co ja zostałem?

ROTMANOWA Po to, żeby ciebie Rotman wziął do siebie i żebyś ty żył w takim mieszkaniu, żeś ty nigdy przedtem w takim nie żył.

JAKUB Żył, nie żył...czy to taka wielka różnica?

ROTMANOWA (*do Rotmana*) Widzisz, dla niego żadna różnica.

BIRENZWEIG Czego pani od niego chce?

ROTMANOWA Ja nic nie chcę. Co ja mam od niego chcieć?

JAKUB Ona chce, żebym ja wyjechał.

BIRENZWEIG (*staje, patrzy niepewnie*) Dlaczego pan?

JAKUB Bo ja jestem biedny Żyd.

PROFESOROWA Wszyscy jesteśmy jednako biedni teraz.

JAKUB Teraz. Ale ja byłem już przedtem.

ROTMANOWA On się przyzwyczaił.

JAKUB Żona może umrzeć. Dzieci mogą być zabite. Dom może się rozlecieć. Pieniądze można stracić. Ale przyzwyczajenie zostaje. Ona myśli, że mnie będzie łatwiej.

ROTMAN Tobie będzie łatwiej.

BIRENZWEIG Dlaczego?

ROTMAN Bo...bo on jest rudy. (*wszyscy spoglądają na niego*) On tylko musi brodę ściąć.

PROFESOROWA Wyście poszaleli!

REGINA Dawid, co on mówi? On jemu każe brodę ściąć! Przecież to niewolno!

DAWID Cicho, nie odzywaj się. Jemu można pozwolić.

REGINA Jak on pozwoli, to tak, jakby rabin pozwolił.

ROTMAN Jak on gdzieś przyjedzie, może do Wawra, może do Lublina, to on może uciec. Kto jego pozna, że on Żyd?

ROTMANOWA Ja jemu dam dziesięć złotych. Ja jemu dam piętnaście złotych.

JAKUB (*śmieje się*) Co już można kupić za dwadzieścia złotych?

ROTMANOWA A ile ty chcesz?

JAKUB Ja nic nie chcę. Ja mogę pracować.

ROTMAN A kto jego ogoli?

REGINA Dawid, ty jego możesz ogolić. On golił w Chabówce. On bardzo dobrze goli.

DAWID Niech on się sam ogoli.

ROTMANOWA (*do profesorowej*) Gdzie pani ma nożyczki?

PROFESOROWA Nie mam. Żadnych nożyczek nie mam.

JAKUB (*śmieje się*) Szloma ma. On ma taką maszynkę też.

ROTMANOWA Ty wiesz, gdzie on to trzyma?

JAKUB (*wskazuje na lewo*) Tam...

ROTMANOWA Panie Stramm, niech pan idzie z nim.

DAWID Po co ja? Dlaczego ja?

ROTMAN Pan Birenzweig pójdzie. Pan Birenzweig sam się goli.

MATYLDA (*w drzwiach*) Zygmunt! Zygmunt! Patrz, co się z tym dzieckiem dzieje! On mdleje! (*słychać płacz dziecka, wykrzykniki Matyldy*).

BIRENZWEIG (*idzie na prawo; nikt się tą sceną nie przejmuje*).

SZLOMA (*wchodzi*) Nie znalazłem Basi, nie wiem, gdzie jest.

PROFESOROWA Boże miłosierny!

ROTMANOWA Ona się znajdzie. Ona nie pójdzie tam, gdzie nie trzeba. Co słychać na mieście?

SZLOMA Chodzą po mieszkaniach, zabierają.

DAWID Po jednemu z każdego?

SZLOMA Nie wiem. Mnie wszystko jedno.

ROTMANOWA Ty się uspokój, Szloma. Zabierz ty się do jakiejś roboty.

SZLOMA (*idzie do stołu, bierze czapkę, daszek, odkłada, chodzi po pokoju, wchodzi do pokoju na lewo*).

ROTMANOWA (*do Jakuba*) Idź tam. On ci to zrobi. (*szarpie go za rękaw*).

JAKUB (*wstaje, wychodzi na lewo wszyscy spoglądają za nim*).

DAWID A jak oni biorą po dwuch?

MATYLDA (*wchodzi, z dzieckiem na ręku*) Ja nie będę czekać do jutra. Ja z nim pójdę teraz.

BIRENZWEIG Nie. Czeka ... (*chwyta się za głowę*) Idź!

MATYLDA Chodź ze mną.

BIRENZWEIG Po co?

MATYLDA Może mnie nie przyjmą? Może trzeba będzie doktora szukać...

BIRENZWEIG Dobrze, pójdę... (*krzyczy*) Idź sama! Idź sama! (*Matylda wychodzi, Birenzweig biegnie za nią*).

DAWID (*zrywa się*) To on też poszedł?

REGINA Oj Boże, co się dzieje?

ROTMANOWA Jakub, co ty tam tak długo robisz?

BASIA (*staje w drzwiach środkowych*).

PROFESOROWA Basiu, dziecko kochane gdzieś ty była, gdzie ty chodzisz...

SZLOMA (*wbiega, rzuca na stół maszynkę do golenia*) Basiu, Basiu... (*chwyta ją za rękę*).

BASIA (*spokojnie*) O co chodzi?

PROFESOROWA Baliśmy się, że cię złapią na ulicy.

BASIA Wcale dziś nie łapią. Z mieszkań zabierają.

ROTMAN Gdzie oni są? Gdzie oni biorą?

BASIA Właśnie weszli do tego domu.

JAKUB (*stanął w drzwiach ogolony. Poprawia sobie sznur w pasie*).

ROTMAN (*nerwowo*) Ty jemu daj pieniądze.

ROTMANOWA (*płaczliwie*) Ja jemu dam więcej... (*szuka*).

ROTMAN Po co ty tu będziesz czekał? Lepiej, żebyś ty wyszedł na podwórko...

ROTMANOWA Lepiej...to oni będą widzieli, że ty się nic nie boisz.

JAKUB Ja mogę iść...

BASIA Co to wszystko ma znaczyć?

REGINA Dawid, dokąd on idzie?

JAKUB (*idzie ku drzwiom, uśmiechając się*).

KURTYNA

d. c. n.

PORUCZNIK HERBERT

„ŚWIŃSKA“ SPRAWA

Zdobycie Tunisu, wypędzenie Niemców z Afryki, upadek Pantellarii i tym podobne drobiazgi zbladły zupełnie wobec ostatniej nader ożywionej działalności naszego tylnego strzelca, Pryszczyka. Zresztą przebieg tej sprawy, lub raczej — tych kilku spraw kolejnych — żywo przypomina losy armii brytyjskich w kampanii afrykańskiej: raz pod wozem, raz na wozie... Tak właśnie było z Pryszczykiem, z tą różnicą, że jego przygody, jego przewagi i porażki rozegrały się w czasie o wiele krótszym niż kontredans wojenny między Egiptem a Marokko.

Zaczęło się od tego, — (nie w Afryce, tylko u nas w dywizjonie) — że w kasynie oficerskim podano kiełbasę. *Prawdziwą polską wieprzową kiełbasę z czosnkiem*, nie żadne „sausages” nadziewane papką z kartofli, chleba i tektury...

Smakowała wszystkim nadzwyczajnie, nawet Anglikom, którzy zwykle nie zwracają najmniejszej uwagi na wyczyny kulinarne Kędzierzawego. Smakowała im tak bardzo, że aż się zainteresowali, skąd Kędzierzawy ją zdobył. On zaś robił skromną minę i bezczelnie zapewniał, że to lord Woolton*) przysłał taki prezent dla oficerów.

Ale Morrison z Lejbą wywęszyli, że taka sama kiełbasa — i to w większych ilościach — pojawiła się w messie sierżanckiej, wieczorem zaś nasz Intelligence Officer zrobił mrożące krew w żyłach odkrycie: jego pies wygrzebał w pobliżu baraku kąpielowego zakopany tam świński ryj, świeżo oskrobane gnaty i ze sto yardów bieżących jelit...

* Lord Woolton — minister wyżywienia W.Brytanii.

Wieść o morderstwie rozeszła się lotem błyskawicy po lotnisku, po najbliższych „pub'ach" i dotarła do miasta. Nazajutrz w południe na stację zjechał miejscowy „Sherlock Holmes" w towarzystwie żandarma i — „pykając krótką fajeczkę" (jak napisałby Conan Doyle) — rozpoczął śledztwo.

W bystrym umyśle angielskiego detektywa już po kilku godzinach wstępnych badań i przesłuchań, ze skojarzenia dwóch faktów: primo — obfitości wieprzowej kiełbasy, i secundo — znalezienia resztek zamordowanej ofiary — wynikł nie pozbawiony słuszności domysł, że świnię zabito w tym celu, aby z niej zrobić owe kiełbasy. Wieczorem „Sherlock Holmes" nie pokazywał się w kasynie, ale wiedzieliśmy, że został na noc na stacji. Zapewne siedział w pokoju gościnnym, otaczając się kłębami dymu tytoniowego i „pozwalał pracować szarym komórkom swego mózgu", lub może słuchał koncertu „for the Forces", nadawanego przez radio. Natomiast żandarm, który „był za dr. Watsona", przedsięwziął małe śledztwo na własną rękę.

Wiadomo chyba każdemu, że Watson nie sięga nawet do pięt Holmesowi; że zawsze wpada na trop fałszywy i tylko przypadkiem robi drobne odkrycia, które dopiero w genialnym umyśle Holmesa wiążą się w obraz całości zdarzeń i rzucają błysk światła na sprawy najbardziej zawiłe. Oczekiwaliśmy, że tak będzie i tym razem.

Żandarm nie badał odcisków palców na klamkach, nie zawijał troskliwie w chustkę od nosa niedopałków znalezionych obok baraku, nie wnioskował, nie dedukował i nie olśniewał nas błyskotliwymi uwagami, lecz — jak pierwszy lepszy śmiertelnik — zapytał Kędzierzawego, skąd wzięła się kiełbasa, którą wszyscy z takim apetytem zjedli dnia poprzedniego. Rozmawiał też z gospodarzem messy sierżantów i odwiedził pewnego farmera w pobliżu lotniska, który miał córkę jedynaczkę, narzeczoną kaprala z naszej brygady mechaników. Wreszcie zainteresował się — zupełnie naiwnie — czy kto z tej brygady lub z załogi L - jak Lucy — nie był w cywilu rzeźnikiem.

Przypuszczam, że gdyby Pryszczyk czytał kiedykolwiek Conan Doyle'a, to nie przejąłby się wcale tymi poczynaniami, które — zgodnie z zasadami najlepszych powieści kryminalnych powinny były iść w zgoła błędnym kierunku. Ale Pryszczyk o Conan Doyle'u nic nie wiedział, a jeśli co czytywał, to najwyżej Dziennik Polski, który — jak wiadomo — z kryminalnych historii drukuje tylko reportaże „lotnicze" niejakiego L...

Pewnie dlatego nasz tylny strzelec tego wieczora zapukał do pokoju, który zajmowaliśmy wraz z Zygmuntem. Nie spodziewaliśmy się żadnej wizyty o tej porze. Zygmunt cerował granatowe skarpetki różową włóczką wełnianą, ja zaś kładłem pasjansa. Równocześnie powiedzieliśmy: „Proszę", i wszedł Pryszczyk.

Zdziwiliśmy się, czego może od nas chcieć o tej porze, ale nie wypadało pytać, więc tylko zaprosiliśmy go, żeby usiadł, Zygmunt zaś poczęstował go papierosem i zagadnął, „co słychać".

Pryszczyk powiedział, że nic szczególnego, ale „faktycznie" to — źle.

— A propos ty policji, panie kapitanie... — dodał.

— A cóż wy macie z policją? — zdziwił się Zygmunt.

— Ja — z policją? Nic podobnego, panie kapitanie! Nic w ogóle z policją nie mam, tylko kapral Ferenc, któren w matrymonialny miłości z tą rudą Grace się znajduje, szału wariacji tera dostał, bo mówi, powiada, że przez te świnie w rodzinne nieporozumienie z teściowom popadnie.

— Cóż to za Grace? — zapytałem, żeby zwolna wyjaśnić sprawę „matrymonialnej miłości", o której nic nam nie było wiadomo.

— Pan kapitan nie wie? — zgorszył się Pryszczyk. — Przecie Ferenc, ten z naszej brygady, mechanik — już drugi rok z nią chodzi i ma względem tej danej Grace matrymonialny zamiar. Stary owszem tolerancje swoje dał, i nawet stara już ustąpiła, tylko tera ta świnia wszystko jem psuje.

NOWE RYSUNKI FELIKSA TOPOLSKIEGO
Z PODRÓŻY NA BLISKI I DALEKI WSCHÓD



Żołnierze II Korpusu we Włoszech



Scena rodzinna w górnym Egipcie



Oficer brytyjski i tubylcy na froncie w Burmie



Kulisi i rzeka Yangtse



Targ murzyński w osiedlu polskim w Masindi w Ugandzie

— Jaka świnia? — badałem dalej, nie rozumiejąc kogo Pryszczyk ma na myśli.

— No ta, cośmy ją od starego kupili — odrzekł lekko zniecierpliwiony moją tępotą. — Przecie pan kapitan chyba słyszał...

— Zaraz, zaraz — wtrącił się Zygmunt. — Opowiedzcie-no wszystko po kolei, jak to było z tą świnią: kto ją kupił, od kogo i co było dalej.

Pryszczyk westchnął, ale widząc, że nie dojdzie z nami do ładu, jeśli nas nie oświeci gruntownie, zaczął od początku.

Ojcem rudej Grace jest zamożny farmer, Mr. Thistle, którego grunty przylegają do lotniska. Mr. Thistle hoduje na swojej farmie świnie, pragnąc w ten sposób przyczynić się do wysiłku wojennego W. Brytanii. Sprzedaż i ubój świń odbywa się pod kontrolą urzędu wyżywienia i lojalny Thistle poddawał się niezbyt zresztą uciążliwym przepisom tego urzędu, dostarczając trzody do najbliższej bekoniarni po obowiązujących cenach. Nieszczęściem przyszły zięć pana Thistle, kapral Ferenc, z cywila jest czeladnikiem rzeźnickim z Piotrkowa. Nieszczęściem również — Ferenca łączy zażyła przyjaźń z Pryszczykiem. We dwóch umyślili, że namówią lojalnego farmera, aby jedną świnię odstąpił bohaterskim lotnikom, co będzie mu poczytane za jeszcze większy „war effort" niż gdyby ją zjedli cywile w Newark, lub w Lincoln. Farmer-Anglik bez krzty wyobraźni — nie mógł tego zrozumieć i uległ dopiero pod wpływem nalegań miedzianowłosej Grace, która dla Ferenca gotowa była na wszystko.

Pewnego wieczora pod chlew Mr. Thistle podjechała „śmieciarka" z naszego dywizjonu i zabrała świnię na lotnisko — wprost do baraku kąpielowego. Tam w ciągu nocy Ferenc z pomocą Pryszczyka i kucharza dokonali mordu, wymyli trupa w wannie i narobili milę kiełbas. Ryj, kości i resztki zakopali pod barakiem, po czym zakrzątnęli się, już w dzień, około urządzenia wędzarni.

— Z tym był najgorszy incydent, panie kapitanie — zwierzał się nam Pryszczyk. — A wszystko z powodu konkurencyjnej zazdrości tego żandara, co uderzał do Grace jeszcze przed Ferencem, a obecnie śledztwo uskutecznia...

— Doktór Watson... — powiedziałem na pół do siebie.

— Taki on doktór, jak ja arcybiskup — oświadczył Pryszczyk. — A Watson tyż się nie nazywa, tylko przeważnie Hoog. I ten dany Hoog od początku coś skapował, bo się tu pętał do niemożebności. Ale wszystko jedno — leguralnie do wiatru żeśmy go wystawili, a kiełbasa mu się prawie pod nosem wędziła i nie mógł skompinować gdzie.

— Jakżeście tego dokonali? — zainteresował się Zygmunt.

Pryszczyk spojrzał na nas z usprawiedliwioną dumą.

— Bo perz na polach doobkoła lotniska palą — zaczął po odpowiedniej pauzie. — No to mówie : gdzie najlepiej wędzić? — Na polu ! To Ferenc skrzynkie drewniane od silnika przytaskał na te pole i jak raz na granicy lotniska żeśmy ją postawili i niech stoi. Przyszedł farmer, co jego było pole, obejrzał — skrzynia jak skrzynia — niech sobie stoi. Ziandar tyż przyleciał, patrzy — nic. A jak już się przyzwyczaili, to my dawaj ogień z tego perzu palić, ma się rozumieć z jałowcem. A we skrzyni, pod wiatr, ten korpus deliktus wisi i się wędzi jak cholera. Jak trzeba jałowca podłożyć, a Hoog na nas kapuje — zaraz Ferenc do niego zaznacza, że właśnie świeży lagier do messy przywieźli, i idą na drinka. A ja temcaszem lece do ty wędzarni i w try miga nazad spowrotem bajtlujem frajera przy piwie, aż się wszystko uwędziło.

Dalej z opowiadania Pryszczyka wynikało, że jakkolwiek udało się w stu procentach wykonać szatański plan z wędzarnią, to jednak zazdrosny Hoog wpadł na trop świńskiej afery i bliski jest wykrycia wszystkich jej szczegółów. No, a wówczas Mrs. Thistle z pewnością wymówi swój dom Ferencowi, łamiąc szczęście młodej pary...

Tu Pryszczyk przystąpił wreszcie do istotnych powodów swej wizyty.

— Za solidarne ofiare koleżeńskie się zostałem, panie kapitanie — oświadczył z westchnieniem. — Wzięłem te świnie na siebie, żeby koleżkie Ferenca przed karalnem kodekstem ratować, ale tyż mam prośbe do pana kapitana; bo myślałem, że właśnie na te noc nas nie będzie, a tu leci Ewa, Barbara i Hendryk, a my nie. No to całe moje karkulacje diabli wzieli, bo mnie gliny przymkną... A jakbym poleciał, to takie mam wyliczenie, że w ogóle nikt by nie beknął i z tą świnią by przyschło! Więc jak pan kapitan się orentuje, ten lot duże znaczenie dla mnie posiada i jeden tylny, Bugajszczak, co na Ewie lata, by się ze mną na te noc zamienił. Tylko żeby pan kapitan dowódcy powiedział, to już blat.

Patrzył na mnie z niepokojem, jak też odniosę się do tej jego prośby, ja zaś toczyłem wewnętrzną walkę z sumieniem: przyczynić się do tej „karkulacji", czy nie?

Te moje wątpliwości i skrupuły rozstrzygnął Zygmunt, który zdecydowanie stanął przeciw angielskiemu urzędowi wyżywienia, po stronie Pryszczyka i Ferenca.

— Kiełbasę — oświadczył — jedliśmy wszyscy. Trzeba im pomóc.

Wskutek tego łańcucha przyczyn i skutków, który zaczął się od „matrymonialnej miłości" Ferenca, Pryszczyk poleciał owej nocy z załogą Wellingtona „E-jak Ewa" na minowanie wód nieprzyjacielskich u północno-zachodnich wybrzeży francuskich...

* * *

Nie wiem dlaczego „niską wojnę", jak nazywamy kładzenie min z samolotów, uważa się za zadanie mniej niebezpieczne, łatwiejsze niż bombardowanie i w ogóle „ulgowe". Osobiście wolę latać na wyprawy bombowe niż „siać jarzynę w ogródku", czyli kłaść miny. Zwłaszcza, że bomby zakwitają i owocują natychmiast, że często widzi się jak wybuchają w celu, podczas gdy wielkie, tysiąc pięćset-funtowe nasiona min wschodzą bardzo powoli i prawie nigdy załoga nie widzi ich kwiatów-wybuchów i owoców — zniszczeń przez nie dokonanych.

Wyrażenie „niska wojna" pochodzi stąd, że lot odbywa się na małej wysokości i że miny opuszcza się na spadochronach również lecąc nisko, na 500-800 stóp nad powierzchnią morza. Każda mina musi być położona dokładnie w punkcie nakazanym, co wzmaga niebezpieczeństwo zadania, ponieważ niemiecka artyleria nadbrzeżna i działa okrętów obrony przeciwlotniczej, wstrzelane są doskonale we wszystkich kierunkach, mają dość czasu na skuteczny ogień, a szukanie właściwego miejsca w nocy podczas gdy dokoła samolotu rwą się pociski, nie jest ani łatwe, ani przyjemne.

Nawigator podczas takiej wyprawy ma mnóstwo roboty, bo kurs lotu ustawicznie się zmienia, zależnie od szybkości, wysokości, kierunków wiatru, nie mówiąc już o zmianach całkiem nieprzewidzianych, w wypadku gdy nastąpi spotkanie z nieprzyjacielskim myśliwcem. Na stoliku nawigacyjnym leży mapa z czerwonymi plamami obrony przeciwlotniczej, z punktami reflektorów, z kółeczkami lotnisk. Między nimi wije się kręty szlak lotu, podzielony na odcinki czasu. Obok — log z kolumnami cyfr: kursy w stopniach, punkty zwrotne, minuty i sekundy, plusy i minusy dewiacji i derywacji na różnych wysokościach... Wszystko przygotowane i zliczone jeszcze przed startem i — wszystko wymagające poprawek w drodze, w miarę jak teoria wyznaczonej trasy zamienia się w praktykę lotu.

Pilot musi utrzymać podawany mu co parę minut kurs z największą dokładnością. Tu nie wolno się mylić; nie można pozwalać sobie na odchylenia i niebezpiecznie jest zbaczać choćby przez chwilę ze szlaku. Nie można lecieć wyżej, albo niżej. Nie można zmieniać szybkości. Tu trzeba trzymać się trasy, jak wytkniętej ścieżki w górach między przepaściami.

Strzelcy, jak dwa łuki z napiętymi cięciwami, czuwają u karabinów maszynowych w swoich wieżyczkach. Spotkanie myśliwca na tej wysokości może się skończyć tylko śmiercią — jego, lub załogi, która leci na „niską wojnę".

Dlatego załoga musi pracować jak dobrze dopasowany mechanizm. Musi działać sprawnie. Wszyscy powinni znać się nawzajem; znać ton głosu każdego spośród zespołu; ufać sobie wzajemnie; móc liczyć na każdego z towarzyszów. Jeśli załoga tak się dobierze, wówczas „szafa gra" — wszystko idzie dobrze, niemal automatycznie.

Pryszczyk był nowym kółkiem tego mechanizmu. Nowym klawiszem grającej szafy, która wystartowała do 1.000-milowego lotu tego wieczora. Był zgrany z nami, bo należał do zespołu L-jak Lucy, lecz nie można było przewidzieć czy w takim samym stopniu dostroi się do załogi Ewy. Mimo to zgodzili się wziąć go na tę „ulgową" wyprawę.

Nie wiem co właściwie Pryszczyk miał na myśli, mówiąc że jeśli tej nocy poleci, to „takie ma wyliczenie", że sprawa ze świnią „przyschnie". Nie mógł oczywiście przewidzieć, co mu się w tym locie zdarzy, jakkolwiek później opowiadał, że poprzedniej nocy miał proroczy sen, który go skłonił do wzięcia udziału w wyprawie Ewy.

Dość łatwo przejrzałem materialistyczne podłoże owego snu i nie mam żadnych wątpliwości co do celu w jakim Pryszczyk go wymyślił. Niemniej jednak świńska sprawa istotnie „przyschła" bardzo prędko, a nasz tylny strzelec okrył się chwałą jak—toutes proportions gardées—Ósma Armia pod El Alamein.

Co do tego wieszczego snu, to Pryszczyk tak opowiadał o nim nazajutrz po wyprawie, w messie sierżantów, gdzie zebrały się obie załogi nasza i Ewy, aby uczcić jego czyny wspaniałe:

— Za każdą razą, panie kapitanie, jak w krytycznem położeniu się znajduję, rodzinne osobe we śnie widzę i telepatycznem sposobem przyszłość moja mnie się przedstawia. A właśnie wczoraj wujo mój, Serkoszczak niejaki, mi się przyśnił, jak ta świnia i gliny mi po głowie chodzili i żadnego sposobu nie mogłem wykompinować żeby honorowo sprawe załagodzić. I śni mnie się, że wujo Serkoszczak, elegancko ubrany, w świeżem półkoszulku i w ręciaku, w jedny znajomy knajpie koło mostu Kierbedzia przesiaduje i artystyczne kawałki na harmonii odgrywa. A my z koleżkamy na jedne głębsze monopolkie przychodziem i ja właśnie za zagrychom się oglądam, a wujo do mnie zaznacza, że — mówi — „sieroto bidna, bez forsy jesteś — powiada — i takiem prawem będę zmuszonem jakiegoś Messerschmidta ci sprezentować, żebyś mógł na rachonek załogi coniebądź wypić, bo sam pod finansowem względem za bankrota się zostałeś".

Uśmiechnąłem się skrycie, aby Pryszczyk nie przypuszczał, że mogę powątpiewać w prawdziwość tego snu, Zygmunt zaś zamówił kolejkę dla obu załóg i z całą powagą wzniósł zdrowie wuja Serkowskiego.

Pryszczyk wypił, oblizał się i rzekł:

— I jak pan kapitan widzi, każda szczegóła się sprawdza.

— Przeważnie z monopolką — zauważył sceptycznie Lejba.

— Nic podobnego, panie poruczniku — odparł Pryszczyk nieco urażony. — Wiska swojem porządkiem, bo głównej zasady grunt: nie przejmować się, a swojem porządkiem ten ów Messerschmidt, któren się nam naraził. Niech sam pan major powie.

Baca, do którego było skierowane to wezwanie, poważnie skinął głową rozpoczął nudny wykład.

Wellington E-jak Ewa przemykał się długo krętą trasą między lotniskami i miastami północno-zachodniej Francji mijając obojętnie całe pociągi cystern z benzyną, zbiorniki gazu, mosty i fabryki, które wyglądały bardzo ponętnie w świetle zachodzącego już księżyca. Gdyby nie te miny

z którymi trzeba było dotrzeć do celu, załoga miałaby niejedną okazję dostępną wyłącznie tym korsarzom powietrznym — dziennym myśliwcom bombardującym... Ale — oczywiście — nie można było nic uszczknąć bo „niska wojna" ma swoje twarde prawa, których nie wolno przekraczać.

U południowego wybrzeża Bretanii panował zupełny spokój. Mogło się wydawać, że to jakiś kraj neutralny, nie objęty działaniami wojennymi. Ale milczenie tego ciemnego brzegu wydawało się załodze Ewy złowrogie i groźne. Jakoż po upływie paru minut bluznęły z ciemności błyski dział, i kolorowe pociski świetlne zaczęły szyć przestrzeń skośnym ściegiem. Z baterii nadbrzeżnych, z okrętów, ze stanowisk ciężkich karabinów maszynowych obrony przeciwlotniczej lecą, krzyżując się ze sobą mniejsze i większe koraliki, bańki, ogniste race. Reflektory z lądu i z morza przegarniają przestrzeń, i nagle jeden z nich trafia: gondolę samolotu zalewa potop blasku, a z torpedowca od strony morza trzepią szybkostrzelne działka.

Unik w prawo wyłusnął maszynę ze światła w cień, bliżej brzegu. Ale stamtąd natychmiast zaczynają szyć karabiny maszynowe, ukryte w głębi lądu. Cały rój pocisków wzbija się płytkim torem paraboli i pędzi ku czarnej sylwetce Wellingtona.

— Unik w lewo! — rozlega się w słuchawkach głos tylnego strzelca.

Jednocześnie słychać jak grają jego cztery sprzężone maszynki, a po chwili ogień z lądu raptownie ustaje.

Tymczasem nawigator namierzył się według brzegu i układu baterii, zliczył kurs bojowy i naprowadza pilota na miejsce. Drzwi bombowe otwarte. Radiotelegrafista — w wierzyczce astro, jako straż przed atakiem z góry. Strzelcy przy karabinach.

— Jeszcze dziesięć sekund... Pięć, cztery, trzy, dwie, jedna — już! I — pięć, cztery, trzy, dwie, jedna — hop!

Na „już!" i na „hop!" samolot odpowiada jakby lekkim westchnieniem ulgi. Dwie miny rozwijają swoje spadochrony, które opadają w dół zwolna, więdną na łagodnej, długiej fali i — toną.

Potem — znów brzeg i długi, równie kręty szlak powrotny nad Francją, znaczony tu i ówdzie ogniem obrony przeciwlotniczej. I — La Manche.

La Manche — to jakby już próg domu. To antiklimax; powrót do myśli odciętych startem z lotniska, powrót do drugiej połowy życia, do przedmiotów innego gatunku i innego przeznaczenia, do spraw prywatnych, niewojennych, do uczuć i trosk, zdarzeń i drobnych radości zrośniętych z ziemią. Do tego wszystkiego, czego nie bierze się ze sobą na zadanie. Nad Kanałem — za ogonem samolotu — opuszcza się wolno ze stratosfery aż do powierzchmi morza niewidzialna kurtyna oddzielająca scenę wojny od kulis. Kurtyna, która zapada po zejściu każdego aktora z tej sceny — tylko dla niego samego. Kurtyna, której w rzeczywistości nie ma, która istnieje tylko jako złudzenie, tym niebezpieczniejsze, im bardziej wyczerpująca była rola odegrana przez załogę. Kurtyna-pułapka, która bywa przyczyną wielu czarnych krzyżyków przy nazwiskach załóg.

E-jak Ewa, żegnana brawami artylerii niemieckiej, weszła nad wody La Manche po siedmiogodzinnym locie, w którym załoga przeżyła niejedną emocję. Siedem godzin w nocy nad terytorium nieprzyjaciela, w ustawicznej czujności, dochodzącej do najwyższego napięcia pod ogniem obrony przeciwlotniczej, to bardzo długi okres czasu. Jeżeli można by jakąś skalą mierzyć wzruszenia, natężenia strachu, amplitudę wzrostu i spadku podniecenia, zmianę rytmu uderzeń serca i oddechu, częstotliwość fal nerwowych dreszczów i wysiłek woli konieczny do utrzymania tych objawów na wodzy — to zapewne okazałoby się, że suma emocjonalnych przeżyć w czasie siedmiu godzin nocnej wyprawy na minowanie jakiegoś St. Nazaire lub Bordeaux jest znacznie większa niż suma podobnych doznań w ciągu całego życia lekarza, kupca, inżyniera lub robotnika, nie mówiąc już o urzędniku lub — dajmy na to — nauczycielu rysunków.

Ale stara, doświadczona załoga wie, że nie wolno poddawać się nastrojowi bezpieczeństwa; że trzeba się przemóc i wytrwać do końca w napięciu uwagi, w gotowości do obrony, nawet nad La Manche i nawet nad angielskim brzegiem. Tu bowiem, jak nocni drapieżcy, czatują w powietrzu myśliwce nieprzyjaciela, licząc właśnie na zmniejszoną czujność powracających załóg.

— Cholernie się na nas taki jeden naciął — oświadczył Pryszczyk, gdy Baca pozwolił mu dojść do głosu, odświeżając gardło następną z kolei podwójną „plain". — A było to tak, panie kapitanie, że właśnie mi się wujo Serkoszczak przypomniał, bo żadnego Messerschmidta śmy nie widzieli. No to — myślę sobie — jakaś nawalanka w tem śnie się znajduje i faktycznie pokiwanem przez familie człowiekiem pozostanę. Ale co się nie dzieje — patrzeć, a tu kumulosowe chmurkie mijamy. A na ty chmurce kto siedzi? — Wujo Serkoszczak! Szykownie ubrany, w lakierkach ma się rozumieć, spodnie sztuczkowe w paski, żakiet, co od Burakowskiego w karty wygrał, troszkę za ciasny pod pachamy, krawatkie w groszki na gumce ma przyczepione i harmonia na pasach mu wisi poniżej brzucha, żeby złoty dewizki od zegarka nie zasłaniała. I ten mój wujo, Serkoszczak, mimikie operne do mnie uskutecznia, że się draka ze szkopem szykuje, jak raz koło ty chmurki. Ja się z karabinamy nastawiam, a tu już wuja nima, tylko faktycznie Messerszmiciak do mnie posuwa w zaczepnem zamiarze... „Czekaj, frajerska makutro, pies że ci do grobu nasusiał" — mówie. „Taki ci sprawię Tunis, że cie rodzona frojlajn nie pozna". Poprawkie wziełem odpowiedzialne i całe serie, ale to takie z poważaniem! — zadoptowałem mu prosto przed silniki. I myśli pan kapitan, że fajtnął? — Nic podobnego! W ogóle zingerował atak i nadal posuwa do nas, jakby nigdy nic. No to myśle — imituje mnie się ten dany Adolfiak, czy co? Widocznie ż powodu psychologicznego zmęczenia w apteczne złudzenie popadam. Ale — co się okazuje — wcale to nie było żadne złudzenie, tylko owszem Adolfiak w ząbek czesany, któren chciał nas na krótkie mete uskutecznić. Jak się zorentowałem o co rzecz chodzi, czekam i ja. Tylko mówie do dowódcy: „panie majorze — mówie — bo tu jeden szuka zaczepkie od ogona, ale nic — mówie — leciem dalej, a już ja jego na zimne zwłoki przefasenuje". I jak podszedł troche bliżej, tak się do niego wyszczególniłem, że oba silniki mu się zapalili i całą kabinę mu chyba rozpieprzyło, bo nawet nie skakał, tylko po-szedł — na rybne przynęte — do Kanału!

Słuchaliśmy w skupieniu, przejęci dramatycznym opisem tej krótkiej walki, gdy zaś Pryszczyk skończył, ogólne uniesienie udzieliło się nawet Lejbie, króry krzyknął głośno o dziesięć „double'i" i tyleż „draught'ów". Była to, zdaje się, dziewiąta kolejka whisky i trzecia—piwa. Wuj „Serkoszczak" umiał dotrzymać słowa...

* * *

Tego samego dnia Pryszczyk dostał tydzień urlopu i pojechał do Londynu. Wraz z nim wyjechali kapral Ferenc, nasz radiotelegrafista i poeta — Koza, oraz tylny strzelec z załogi Ewy — Gomorek. Wieczorem widziałem rudą Grace w towarzystwie żandarma, podążającą do kina; „Sherlock Holmes" natomiast pisał w adiutanturze obszerny raport na sześciu arkuszach papieru i dymił, jak wulkan przed wybuchem.

Wybuch jednak nie nastąpił: sprawę świni zakupionej u Mr. Thistle przekazano wyższym instancjom, które miały rozpatrzyć ją bez pośpiechu, stanowiącego główną wadę narodów kontynentalnych. Na stacji zapanował spokój, w kasynie zaś pojawiły się kiełbaski nadziewane kombinacją z kartofli, chleba i tektury... Jednym słowem — wszystko wróciło do normy.

Po tygodniu wrócili urlopowani, trochę — jak mi się wydało — zmęczeni pobytem w stolicy. Pryszczyk wyglądał zakłopotany. Koza nas wyraźnie

unikał. Gomorek wsiąkł do swojej załogi, Ferenc zaś — wzdychając irycznie — udał się na farmę pp. Thistle.

Zygmunt wyraził przypuszczenie, że to niezałatwiona jeszcze „świńska" sprawa jest przyczyną pewnego przyćmienia humorów tej czwórki. Ja jednak byłem innego zdania: musieli znów coś przeskrobać na tym urlopie.

Okazało się, że miałem słuszność, bo nazajutrz Kędzierzawy pokazał mi urzędowe pismo sędziego policyjnego z Poplar (London, E.16), wzywające naszych czterech muszkieterów wraz z ich bezpośrednim przełożonym na rozprawę. Do wezwania dołączone było zeznanie policjanta, Mr. G. B. Fergusona, który podał nazwiska Pryszczyka, Ferenca, Gomorka i Kozy, jako „podejrzanych" o pobicie holenderskich marynarzy w barze przy Preston Road...

Sprawa wyglądała dość tajemniczo w ujęciu sierżanta G. B. Fergusona. Oto jego raport w polskim przekładzie:

„Miałem służbę w okręgu E.16. O godzinie 9 p.m. przystanąłem właśnie przed barem Mrs. Peacock, gdy wchodziło tam dziewięciu holenderskich marynarzy. Obszedłem mój rewir i po upływie pół godziny znów znalazłem się przed tym barem. Nagle przez drzwi i przez okna baru zaczęli wypadać ciż sami marynarze w pożałowania godnym stanie, z pokrwawionymi nosami i podsinionymi oczyma, niektórzy zaś tak poturbowani, że nie mogli wstać o własnych siłach. Zwróciło to moją uwagę i zacząłem podejrzewać, że w barze Mrs. Peacock wynikła jakaś awantura. Dlatego wszedłem tam, aby się przekonać, kto pobił Holendrów. W barze zastałem czterech polskich lotników, którzy — jakkolwiek nieco zdyszani — spokojnie pili piwo przy jednym ze stolików. Zresztą nikogo więcej nie było. Mimo to poprosiłem czterech polskich podoficerów o podanie nazwisk. Ponieważ jedno z nich było zupełnie nie do wymówienia, prosiłem by sami zapisali swe nazwiska na kartce papieru, co też zrobili. Bardzo uprzejmie zaprosili mnie na piwo, ale musiałem odmówić, ponieważ miałem służbę i musiałem zająć się sprowadzeniem ambulansu dla pobitych marynarzy holenderskich. Nie zdołałem ustalić, kto ich pobił, ponieważ na wszystkie moje pytania odpowiadali tylko przekleństwami angielskimi i — jak mi się wydawało — również holenderskimi. Dziewczyna usługująca w barze, Alith Smith, oświadczyła tylko, że marynarze wszedłszy zażądali piwa i wypili po jednym kuflu, po czym ona sama wyszła na chwilę do sąsiedniego pokoju, a gdy wróciła—Holendrów już nie było. Więcej nic w tej sprawie nie wiem.

Sgt. G. B. Ferguson".

Pokiwałem głową nad tym pismem i zabrałem je, żeby naradzić się z Zygmuntem — co począć. Ten ostatni przeczytał raport G. B. Fergusona i oświadczył z odcieniem podziwu:

— Mój kochany, czysta robota! Tych dziewięciu Holendrów wykończyli razem, a Pryszczyk oczarował tę Alith, czy jak jej tam... No i będą razem siedzieli w kryminale. Nie ma rady — musimy jechać do Londynu i jakoś ich ratować.

Postanowiliśmy uzyskać zezwolenie na przelot samolotem i skłoniliśmy Bacę, który pełnił obowiązki dowódcy dywizjonu, żeby nam pozostawił załatwienie całej tej sprawy, po czym — w porozumieniu z Kędzierzawym — wezwaliśmy „podejrzanych" do kancelarii dowództwa, aby się dowiedzwieć, co właściwie zaszło.

Zameldowali się po chwili wszyscy czterej: Koza bardzo zawstydzony, Ferenc i Gomorek jak na ścięcie, Pryszczyk zaś z miną niewiniątka, zdziwiony, czego możemy od niego chcieć.

Zygmunt od razu przystąpił do rzeczy:

— Jak to było z tymi Holendrami?

— Z jakimi Holendramy, panie kapitanie ? — zdumiał się nasz tylny strzelec.

— Z tymi, coście ich pobili w barze. I nie róbcie ze mnie wariata, Pryszczyk, bo tu już przyszedł raport w tej sprawie. No? Wstyd robicie całemu dywizjonowi!

Pryszczyk poczuł się dotknięty do żywego.

— Wstyd? My — dywizjonowi ? ! Przecie my ich sprali, panie kapitanie, a nie oni — nas. To jaki znów wstyd ? ...

Zugmunta uderzyła trafność tego poglądu, ja zaś uśmiechnąłem się mimo woli, co Pryszczyk naturalnie natychmiast dostrzegł i co dodało mu pewności siebie.

— Bo to było tak, panie kapitanie — zwrócił się do stolika, który stał między mną a Zygmuntem. — Najpierw tośmy pośli do Klubu Białego Orła, coś niecoś skonsomować, czeli też wbić w krzyże, bo organis człowieka wymagania swoje posiada i właśnie po lunchu niemożebnie się nam jeść zachciało...

— Ale to było wieczorem — przerwał Zygmunt. — Opowiadajcie o tym coście robili w barze, nie w klubie żołnierza.

— No właśnie mówie — odrzekł Pryszczyk cierpliwie. — I w tem klubie jedna pani, co tam jest za barmankie, podkreśla, że na Anglo-Polish balet bileta ma, i żebyśmy pośli. I faktycznie cztery bilety nam dała do Kings Teatru. A ja — jak pan kapitan wie — honorowem człowiekiem jestem, i chcę płacić. To ona mówi, że się nic nie należy, bo Polskie Ognisko nam teatr funduje. No — jak tak — mówie, to blat. I idziem na ten balet...

Zygmunt z rezygnacją sięgnął po papierośnicę: jeżeli mieliśmy się dowiedzieć czegoś o Holendrach, trzeba było najpierw spokojnie wysłuchać opowieści Pryszczyka o balecie...

(Byłem na tym balecie i widziałem „Jezioro Łabędzi" w pięknym wykonaniu polskich i angielskich tancerzy, ale dopiero Pryszczyk wyjaśnił mi wszystkie szczegóły tej pantominy. Dopiero Pryszczyk dokomponował w swej fantazji właściwy dialog, który stanowił interpretację tanecznych ruchów i gestów. Dopiero on uzupełnił to widowisko żywym słowem, którego brakowało na scenie.)

— Ta sadzawka, czeli jezioro, panie kapitanie, w niedużem lasku się znajdzuje — zaczął.— A w tem lasku pewien hrabia polowanie dzierżawi. I, ma się rozumieć, z całom ferajnom tam przyjechał, ale zamiast dubeltówki, każdy gość łuk posiada, bo to było za króla Ćwieczka, jak jeszcze nikt prochu nie wymyślił. Naradzają się ze sobą, jak tu nagonkie puścić, żeby łabędzie albo inny jaki drób z krzaków wypłoszyć. Jeden taki w zielonych majtkach i w wiatrówce się upiera, że najlepiej — powiada — tu, w te strone, gdzie na ścianie koło sceny stoi napisane EXIT, czeli też — wyjście. Rękom oczy zasłania, bo faktycznie lefrektor go razi, i mówi do tamtych, powiada: — Chłopaki, mówi, tu pewniak łabędź, albo co gorszego! Ale tamci go ingerują i każden w swoje strone ciągnie. Ten rozpoznanie nad sadzawkom uskutecznia, tamten znów na kamienie włazi, a co i raz przylatują do hrabiego i każdy po swojemu na migi go trajluje. Już myślałem, że draka z tego wyniknie, ale hrabia się zgniewał i jak już tyle się naganiali, że nawet głuchy by się obudził, a co dopiero dziczyzna, kazał jem cicho być, bo mówi — zasadzkie na te łabędziom pularde wyszukujem i dopieroż ją tu przykaraulem. I wszyscy do krzaków posuwają i nic — cicho-szal A temcaszem zza górki ze dwadzieścia facetek się pokazuje. Każda w nocny koszuli, i jedna się na drugą ogląda, żeby która nie zdezenterowała. I dla pewności jeszcze ją de pachie przytrzymuje. A widać, że pietra mają wszystkie jak cholera, bo co trzy kroczki na palcach w przód zrobią, to zara chodu z powrotem. Ale ponieważ że ten hrabia z gośćmy cicho siedzą, więc jedna taka łabędzica zauważa, że — mówi — nikogo tu nima i możem bezwarunkowo w taneczne zabawe uderzyć. No to te drugie się straśnie ucieszyli i dawaj wywijać! Nogi to jem, panie kapitanie, chodzili,

jak na zawiasach! Aż mnie się gorąco zrobiło, a Ferenc, któren uczuciowe nature posiada, jedne lady, co koło niego siedziała przez pomyłkie w wykształcenie uszczypnął. Ale to wszystko nic, bo dopieroż zza ty górki wyskoczyła jeszcze jedna, takżesamo w koronkowy koszuli, ale chyba po młodszy siostrze, bo tylko co najważniejsze jej zakrywała. I co się okazuje — ta dana facetka za królowe przedstawia od tych łabędzic. Jezioro jem pokazuje, jakby go nigdy nie widziały i takżesamo lasek, i mówi, powiada — gdzie która z was ma życzenie, tam sobie możecie ganiać, trawkie — mówi — frygać i w ogólności help yourselve, jak u siebie w domu. A ja — mówi — tęsknote erotyczną odczuwam i takiem prawem w senne marzenie temczasowo popadnę. No to one nazad z powrotem się wróciły za te górkie, a ta ichnia królowa tęskniący taniec zaiwania, rękamy przeważnie macha i się na jedny nodze kręci, a potym jak się rozkraczy ! Jak Boga kocham, panie kapitanie, w tem rozkroku na samy ziemi usiadła... Koza to aż jęknął, jak to zobaczył. A ona nic, udaje, że jej wygodnie i w kimono uderza.

— W co uderza ? — spytał Zygmunt z niedowierzaniem.

— W kimono, panie kapitanie — odrzekł Pryszczyk. — Znaczy się w senne echstaze popada, no i — kima; tyle że nie chrapie. A hrabia, co w kucki ze swoimy w krzakach siedział, wyłazi z tem łukiem i się do niej składa, ale mu się żał zrobiło. Więc mówi — nie strzelać chłopaki, bo to pewnie królowa! I zara mięte do niej poczuł, bo się za serce łapie i — z braku laku — własne swoje rękie całuje (chyba dla wprawy, żeby mu potem z tą daną królową gładko poszło). „Ożenie się z nią — powiada — bo mi się straśnie spodobała, tylko musze ją zapoznać osobiście, a wy idźcie sobie gdzie bądź i w miłosny randce mi nie przeszkadzajcie. Goście mu klarują, żeby dał spokój, a jeden się nawet zdenerwował i sam ją chciał wykończyć z tego łuku, ale w końcu mówią — co będziem się głupiemu sprzeciwiać? Chce? — Niech się żeni, zobaczem, jakie dzieci z tego wynikną. I zabrali się i pośli. A temcaszem ona się obudziła i oko do niego sypie. Potańcowali znów troche, królowa tego hrabiego bajtluje, raz chce, raz nie chce — wiadomo, jak każda baba, a on straśnie w niej gustuje bo faktycznie przystojna broneta była. No i jak już dośli do zgody, przylatują tamte drugie zza górki, a chłopaki znów z krzaków. A ta królowa do swoich łabędzic podkreśla, że się do pałacu hrabiego przeprowadza. Rejwach się okropny, zrobił, mało tych koszul nie pogubiły, tak zaczęły koło niej ganiać. Co chwila inna ją łapie, na osobność odciąga i na hrabiego buntuje. A takżesamo chłopaki za niego się wzięły. On się wyrywa, a oni go do tyłu, nazad ciągną. Już się draka na fest szykuje, bo hrabia do mordobicia się zabiera, ale — patrzyć — łabędzice swoje królowe na drugie strone sadzawki zmanili i tak jej gitarę kręcą, że sama nie wie co robić. Ale do zastanowienia przyszła i mówi — trudno, hrabio mój ulubiony, w staropanieństwo popadam i żegnam cie na wieki wieków ament, ponieważ żonom twojom być nie mogie, bo w charakterze łabędziej królowy pozostaje. A on szału rozpaczy dostaje i mówi, powiada — jak tak, to samobójstwo sobie zadam i zimnem trupem tu zaraz padne z powodu że mnie zawód miłosny spotyka. I się chce z łuku zastrzelić, ale mu straśnie niewygodnie, bo zamachu nima. Łuk mu zabrali i gdzieś go prowadzą, pewnie do baru, żeby się po tem złamanem sercu pocieszyć. Ale jeden, ten we wiatrówce i w zielonych majtkach się z tyłu za nimi został i kapuje na sadzawkie. A ta królowa zza krzaków wygląda, żeby jeszcze swojego odoratora zobaczyć. No to ten zielony szczałe wypuszcza, pierwś jej na wylot nicuje i chodu za tamtymy, wiadomo w strachu, bo mokre robote uskutecznił. Ale że łabędź twarde nature posiada, więc ta dana królowa jeszcze dobre pietnaście minut ze szczałą w biusthalterze ciężkie skonanie w tańcu wyszczególnia, a dopiero jak się wszystkie zlecieli, na dobre już kite odwala. I tak się, panie kapitanie,

ten romans zakończył, a Ferenc mówi, że przeczucie ma, jako z niem i z Grace to samo będzie. Więc żeby koleżkie Ferenca w dramatycznem uczuciu ducha nie pozostawiać, tośmy do tego baru pośli...

— Na Poplar? — upewnił się Zygmunt.

— Na Poplar, panie kapitanie — westchnął Pryszczyk i pogrążył się w zadumie.

— No i cóż było dalej? — zapytałem po chwili.

— Dalej to przecie już pan kapitan wie z tego raportu...

Zygmunt się zirytował, bo przecież właśnie chcieliśmy się dowiedzieć o szczegółowym przebiegu zdarzeń na Poplar, nie o czym innym. Ale tu Pryszczyk stał się nagle małomówny i musieliśmy wyciągać od niego i od tamtych trzech całą historię słowo po słowie. W rezultacie dowiedzieliśmy się niewiele więcej niż o tym było w raporcie policyjnym.

W Londynie na rozprawie sądowej też wszyscy czterej zwycięzcy z Preston Road zachowywali się niezwykle powściągliwie, co zresztą zdaje się zrobiło jak najlepsze wrażenie zarówno na sędzi w peruce, jak na jego doradcy i na publiczności w sali sądowej Town-Hallu Poplar.

Siedzieliśmy już na ławie świadków, gdy weszło dziewięciu poszkodowanych, z plastrami na twarzach lub rękami na temblakach. Nie wyglądali na ułomków, co wzmogło jeszcze nasz podziw dla waleczności Pryszczyka i jego kompanii, podziw, który żywiliśmy w głębi ducha, prawiąc im morały...

Po wstępnych formalnościach, sędzia chrząknął i zwracając się do „podejrzanych" zapytał:

— Więc tych dziewięciu marynarzy napadło was w barze Mrs. Peacock, czy tak?

Gomorek spojrzał na Ferenca, Ferenc — na Kozę, Koza — na Pryszczyka. Pryszczyk zaś wybałuszył oczy na sędziego, zaczerwienił się, objął wzrokiem dziewięć postaci stojących rzędem naprzeciw i aż go zatknęło.

— Oni nas?! — powtórzył zdumiony. — Nic podobnego, wysoki sądzie! To myśmy ich napadli.

Z kolei zatknęło sędziego.

— Jak to? We czterech napadliście tych dziewięciu?!

— Precisely — odparł Pryszczyk. — And we give them...we...

Nagle zwrócił się do mnie:

— Panie kapitanie, jak to będzie po angielsku, żeśmy im dali wycisk?

Nie byłem przygotowany na to pytanie. Nie wiem jak po angielsku jest „wycisk". Ale Pryszczyk zastąpił ten obrazowy wyraz innym, ze słownika wyrażeń wojskowych, i obracając się w stronę sędziego oświadczył:

— We give them a school, sir!

Na twarzy przedstawiciela sprawiedliwości odbiło się zakłopotanie.

— Co chcecie przez to powiedzieć? Jaką szkołę?...

— A school of fighting, sir.

Sędzia zrozumiał po swojemu:

— Uczyliście ich boksu?

Pryszczyk zaprotestował:

— Nic podobnego, sir. Tylko oni z nami zaczęli.

— Co chcecie przez to powiedzieć? — spytał znów cierpliwy sędzia.

Pryszczyk oświadczył, że chce przez to powiedzieć, iż ci marynarze przyszli do baru Mrs. Peacock i zamówili dziewięć kufli piwa po angielsku, po czym prowokacyjnie zaczęli gadać po niemiecku. Już to samo chyba mogłoby wystarczyć jako zaczepka. Ale on i jego przyjaciele jeszcze się pohamowali. Dopiero gdy domniemani Niemcy zaczęli śpiewać jakąś piosenkę...

— Ale oni rozmawiali i śpiewali po holendersku — przerwał sędzia.

Pryszczyk nie oponował. Owszem, zgodził się z panem sędzią, że to było po holendersku, ale chyba pan sędzia wie, że Polacy przez Holandię

nie przechodzili? Gdyby marynarze śpiewali po węgiersku, rumuńsku, jugosłowiańsku, po francusku, lub nawet po litewsku, czy po estońsku — nikt by im złego słowa nie powiedział. Ale żaden polski żołnierz nie był w Holandii, a ten język tak jest do niemieckiego podobny, że łatwo o nieporozumienie. Naturalnie — zadeklarował dalej w imieniu Polskich Sił Zbrojnych — nikt z polskich żołnierzy nie ma nic przeciw Holandii, ani przeciw jej marynarce. Ale gdy kto usłyszy w miejscu publicznym w Anglii na przykład „Deutschland, Deutschland über alles", to go zła krew zalewa („bad blood flooded"). A to, co śpiewało dziewięciu aliantów holenderskich, było bardzo podobne właśnie do tej prowokacyjnej pieśni. I właśnie z tego powodu wynikło nieporozumienie.

Sędzia chciał się jeszcze dowiedzieć w jaki sposób czterej polscy lotnicy dali radę dziewięciu przeciwnikom i poturbowali ich dotkliwie, sami wychodząc bez szwanku. Na to Pryszczyk odrzekł skromnie, że Polacy są do tego rodzaju bitew przyzwyczajeni („accustomed") i stąd wniosek, kto jest najcenniejszym aliantem Wielkiej Brytanii.

Potem nastąpiło badanie Holendrów. Okazało się, że poturbowani ulegli zupełnemu zaskoczeniu i nie mieli nawet czasu na przeciwnatarcie, gdy już znaleźli się na ulicy. Mimo to nie żywią do strony polskiej żalu, ponieważ dzięki awanturze mieli sposobność po raz pierwszy bliżej poznać polskich lotników, dla których mają wiele uznania i sympatii.

Wreszcie zapadł wyrok: sędzia skazał każdego z czterech Polaków na funta grzywny i — wyjąwszy portfel — sam za nich tę grzywnę zapłacił, co publiczność przyjęła owacyjnie.

* * *

Tegoż dnia po południu pojechaliśmy do Northolt i odlecieliśmy z powrotem na stację. Pryszczyk przez cały czas był milczący i zadumany, mimo odniesionego tryumfu. Dopiero kiedy wylądowaliśmy na własnym lotnisku i wysiedliśmy z maszyny, wygłosił krótki komentarz w związku z nowonabytymi doświadczeniami.

— W Rumunii na przykład — rzekł — w ogólności do sądu by nie doszło, bo postronkowy policaj za jedne sto, abo dwieście lei ten dany raport by unieszkodliwił. We Francji znów — sędzia by żadnego wyrozumienia dla nas nie miał. Już o Niemcach nawet nie mówie, a według karalnego kodekstu bolszewickiego, to w try miga by się z namy i z Holendramy razem załatwili pod ścianom. Dlatego faktycznie tu się mnie lepiej obdukcja sądowa podoba. I nawet taki sędzia, choć stypne perugie na głowe ubiera, poważanie publiczne posiada. Kurtularny naród, można powiedzieć, a jestem już takiem człowiekiem, że nie lubie kantu porzomnem ludziom robić; wskutkiem tego prośbę jedną mam do pana kapitana, a takżesamo koleżka Ferenc.

Jak zwykle nie wiedzieliśmy, do którego z nas się to stosuje: do Zygmunta, czy do mnie; Pryszczyk zaś spojrzał spod oka na nas obu i dodał:

— Względem ty świni, panie kapitanie...

— Cóż to za prośba? — spytałem zachęcająco.

— Bo faktycznie, jak pan kapitan wie, to myśmy te świnie kupili. A z kiełbas i ze szynki, co ją do kasyna i do naszej messy wzięli, to zarobiliśmy z koleżką Ferencem po cztery funty i pare szylingów każden. No to właśnie takie życzenie mamy, żeby te forse ewentualnie na Czerwony Krzyż dać, albo na co, żeby wyjście z tej sytuacji było.

Sięgnął do kieszeni, wyjął banknoty i srebro, i wręczył mi je z westchnieniem. Nie byłem całkiem pewien, czy jest to westchnienie ulgi, czy żalu, ale pochwaliłem dobrą intencję obu wspólników. Oni zaś porozumieli się oczyma i Pryszczyk dodał jeszcze:

— A w gazecie może pan kapitan wyszczególni, że te forse familia Thistle w charakterze bezimienny ofiary składa.

ALEKSANDER JANTA

RĘCE

Nie wystarcza zobaczenie twarzy nowego człowieka. Patrzę tak samo uważnie na ręce. Bywają wymowniejsze nieraz, niż wyraz oczu, niż linia profilu, niż usta. Cóż nam po ludziach mających twarze aniołów, a ręce płaza, miękkie i rozlazłe? Albo uśmiech dobrotliwy i łagodny, a w rękach wyraz drapieżny, zły, nieprzyjacielski? Inni, pospolici na oko i nieciekawi, jeżeli sądzić z samej tylko twarzy, zdradzają szlachetność serca i delikatność uczuć rysunkiem i formą rąk.

Do nich należał porucznik Marcin Wolski, którego poznałem w obozie bretońskim, krótko po Wrześniu. Zjeżdżali się już we Francji pierwsi żołnierze Polski walczącej, przybywali po cywilnemu, po przekroczeniu wielu granic, każdy jeszcze trawiący we wnętrzu nieznośne przeżycia klęski, nieszczęścia i lęku o los najbliższych.

W kasynie Coëtquidan rojno było jak w ulu. Co dzień po służbie tu się zbierały nowe twarze. W zadymionym wnętrzu siedzieli przy kawie, przy winie i omawiali pilnie tę najważniejszą sprawę utraconej dopiero ojczyzny. Tego wieczora przy stoliku, przy którym zwykle siadałem, nie było już miejsca. Przyjaciele grali w bridża, przy każdym partnerze siedział w dodatku kibic, kilku stało za nimi, przyglądając się z zajęciem rozgrywce.

Rozejrzałem się po sali; jedno jest miejsce wolne przy małym stoliku w kącie. Stolik zajęty był przez któregoś z nowo przybyłych oficerów, jeszcze po cywilnemu. Przysiadłem się, zamówiwszy cinzano à l'eau. Tyle, żeby posiedzieć chwilę w kasynie, dowiedzieć się co nowego, posłuchać ostatnich wiadomości przez chrypiące radio. „Pan pozwoli?", zapytałem grzecznie. Kiwnął głową. Ale kiedy podałem mu rękę, mówiąc swoje nazwisko przedstawił mi się sztywno i bardzo formalnie: „porucznik Marcin Wolski". A teraz siedzi naprzeciwko, nic nie mówiąc i długo miesza łyżeczką w kawie. Patrzy przed siebie w próżnię. Pogrążony w jakichś wspomnieniach, w przeszłości. Nie znalazł w nowym otoczeniu nic jeszcze, co by ją mogło rozwiać, czy choćby odsunąć.

Zagadałem go jakimś błahym pytaniem, odburknął krótko „nie wiem", rozmowa nie zdążyła się nawiązać, a już ją uciął. Twarz miał nieciekawą, banalną, o drobnych ale tępo zaznaczonych rysach, z dołkami w policzkach. Nie wyglądał przystojnie, ani miło. Przebijała z tej twarzy nieufna trochę obojętność, ale także przygaszenie, chowający się za powiekami wzrok, bardzo blade, zaciśnięte usta.

I właśnie miałem pomyśleć, czy nie nieśmiałość przypadkiem jest przyczyną zacięcia i nawet oschłości, jaką od razu wyczułem w jego stosunku do mnie, kiedy nagle cała uwaga skupiła się na jego rękach. Rzadko kiedy widziałem tak piękne ręce. Jedną położył właśnie na stół, drugą, skończywszy mieszać kawę, chwycił filiżankę i podniósł do ust. Śledziłem poruszenia tych rąk. Były nie tylko piękne w rysunku paznogci, w kształcie palcy i proporcjach dłoni, w cienkości przegubu i ciepłym tonie skóry, ale z nich właśnie zdawał się promieniować ten styl człowieczeństwa, ten charakter, którego na próżno szukałem w wyrazie jego nieregularnych rysów. Były to ręce intelektualisty, człowieka subtelnego, istoty czułej i myślącej. Te ręce mogłyby rzeźbić lub grać na harfie. Czy jest artystą? Chirurg i skrzypek mają nieraz podobne, o nerwowej chwytności, o precyzyjnym rozczłonkowaniu każdego stawu, ręce doskonale odprężone. To odprężenie rąk było w sprzeczności z napięciem, z grymasem nieledwie w jaki układała się jego twarz. Stanowiło sygnał problemu, jaki w nim istniał. Ale jak się do niego dobrać?

Natarczywe moje patrzenie musiało zwrócić jego uwagę. Nieznacznie cofnął ręce, schował je, zwinąwszy dłonie, za filiżankę, potem opuścił za stołem. Najwyraźniej uciekały przed moim wzrokiem.

* * *

Minęło kilka tygodni. Porucznik Marcin Wolski, już teraz w mundurze i razem ze mną na kursie dla oficerów, potwierdził pierwsze wrażenie małomównego mruka, istoty nietowarzyskiej i może dlatego nielubianej właściwie między kolegami. Ale nadal intrygował mnie i pobudzał nierozwiązaną dotąd zagadką tych jego wyjątkowych rąk człowieka wysokiej rasy.

Spotkałem go przypadkiem w Paryżu, w ciągu paru dni urlopu po kursie. W moim studio, urządzonym jeszcze przed wojną, był radiogramofon z automatem na dwadzieścia płyt. Był poza tym duży koncertowy fortepian. Nie wiem co mnie tknęło, aby porucznika Wolskiego, który Paryża nie znał, zaprosić.

Może to, że nie mówił po francusku? Może świadomość że się czuć musiał bardzo zgubiony w nowym dla niego mieście? Może fakt, że chciałem przeniknąć jego tajemniczą małomówność i odgadnąć kim jest i co przeżył?

Przyszedł. Nastawiłem szereg płyt na gramofonie. Był trochę nieswój, zakłopotany, chowający wzrok i ręce. Dopiero muzyka wyzwoliła w nim pewne odprężenie. Reagował na nią, jak człowiek głęboko muzykalny, nie tylko skupieniem samym, ale nieledwie wrażliwością skóry, zmysłem dotyku i smaku w tym samym stopniu, co słuchem. Tak jak niejednym ludziom alkohol rozwiązuje języki, jak wyzwala z nich prawdę, na porucznika Wolskiego tak samo zdała się działać muzyka.

Ale kiedy zapytałem go, już oswojonego ze mną i rozmownego na pozór, czy gra na fortepianie, spojrzał na mnie dziwnymi oczami. Było w nich zaskoczenie człowieka przyłapanego na gorącym uczynku popełnienia rzeczy wstydliwej, nieprzyznawanej.

— Nie, nie gram — powiedział szybko i cofnął się tymi słowy w dawną nieśmiałość i w zakłopotanie.

Nie miałem pewności, czy mówi prawdę. Zwłaszcza, żem go przyłapał na przyglądaniu się fortepianowi, jak gdyby go korciła ta obecność instrumentu u mnie. Ale nie będę go przecież namawiał do przyznania się, jeżeli nie chce.

Pomyślałem jeszcze, że pewno muzyka była dla niego pretekstem bardziej niż celem w życiu i że dlatego odsuwa się od niej, wobec ważniejszych trosk, myśli i tęsknot, jako od rzeczy będącej tylko namiastką pociech, nie ich wypełnieniem.

Rozmawialiśmy już znowu o wrześniu, o kursie, o ludziach wspólnie spotkanych, zawsze na tle muzyki nie dość ważnej w tej chwili, aby słuchaniu jej wyłącznie się poświęcić. To co opowiadał zdradzało bystre spojrzenie, zdolność obserwacji i pamięci, ale tyczyło wszystkiego razem spostrzeżeń właściwie błahych.

Radiogramofon znowu zmienił płytę. Rozległy się dźwięki fortepianu — nagranie Ravelowskiej suity Gaspard de la Nuit, muzycznego poematu o modernistycznej ekspresji. Wolski przestał mówić, zaczął uważnie słuchać. Znałem dobrze przenikliwy smutek tego bemolu, koło którego, jak koło spadającej kropli Ravel snuje tę niesamowitość, jakiej dał tytuł „Le Gibet"—Szubienica. Zaświatowa melancholia brzmi z fortepianu tonem życia, które ucieka. Beznadziejność szerzy się i obezwładnia. To jest nastrój ginącego świata, wyroku, który się spełnia i rozpaczy, kapiącej powtarzaniem się w tym samym spaźmie rytmicznym nuty nieszczęścia i lęku.

Pod jej wpływem rozmowa zamarła. Spojrzałem nieznacznie na Wolskiego. Twarz miał znowu napiętą, przejmująco nieswoją i dziwną. Schował za siebie ręce.

— Co panu jest? — spytałem odruchowo, żałując zaraz tego pytania, bo mi się zdało szczytem niedyskrecji.

Poderwało Wolskiego. Czuł dobrze, do czego zmierzam, tak jak ja czułem, że dzięki jego reakcji nagłej a nieprzyjaznej, dotknąłem niechcący sedna.

— Zauważył je pan zaraz tego pierwszego dnia w obozie. Patrzał pan na nie. Nie mogłem tego znieść. Czego pan chce ode mnie?

Brzmiało to równie odpychająco, jak gdyby wyznał po prostu: Znienawidziłem pana.

— Ależ ma pan bardzo piękne ręce — powiedziałem, chcąc się usprawiedliwić.

— Nie, nie! — zawołał Wolski. — Niech pan tego nie mówi. To brzmi bez sensu. Pan nie wie...

Doprawdy nie bardzo wiedziałem, o co mu idzie. Ale było już jasne, że właśnie napięcie tego problemu, który przeczułem, zaczyna nabierać kształtu. Że dozna wyładowania. Byle chciał mówić Wolski. Może powie?

Zmienił ton. Walczył ze sobą, próbował się opanować. Istniały w tym człowieku jakieś niewyżyte wrażliwości, wytwarzały to wrażenie niejasności, tę aurę zagadki, jaką się otoczył i zamknął w sobie.

Płyta dobiegła do końca. Powiedział wtedy miękko, przepraszająco: niech pan to, proszę, powtórzy. To bardzo przejmująca muzyka. Także to grałem kiedyś, nie rozumiejąc zupełnie co gram i co to znaczy. To się nazywa „Szubienica" prawda?

Dopiero teraz się zdradził, że jest artystą.

— Ale co z tymi pańskimi rękami? — powiedziałem szybko i nieostrożnie, nastawiając automat na powtarzanie płyty. Zanim przebrzmiały te słowa, zrodziła się nowa wątpliwość. Czy aby we wrześniu w Polsce nie uszkodził sobie której z tych rąk? Jakieś nieznaczne kalectwo, ścięgno, nerw, mięsień, bezwład niedostrzegalny, który sprawia, że już grać nie może?

A w takim razie cała moja rozmowa i to zwracanie uwagi na jego ręce jest wielkim nietaktem. Kto wie, ile mu to dokucza? Zrobiło mi się Wolskiego żal. Po co było nalegać na tę bolesną sprawę urody rąk, które go może zdradziły? „Szubienica" Ravela znowu zabrzmiała z głośnika głęboką, monotonną nutą ostateczności. Wolski był coraz bardziej poruszony. Przełamywał w sobie z wysiłkiem jakieś krańcowe opory. Wyciągnął przed siebie ręce i patrzał na nie, jak na obcy, nienawistny przedmiot. Wydawało się, że trudno mu znieść ten widok. Powiedział, spojrzawszy na mnie i wysuwając je naprzód: to te ręce!

Jeszcze nie sposób było zorientować się, do czego zmierza. Ale już nie wątpiłem, że stoję u progu jego wyznania.

— To te ręce — powtórzyłem wolno, naśladując jego brzmienie głosu, żeby nie zerwać nastroju. Cofnął je. Płyta dobiegła końca, automat położył igłę na tę samą znowu, od początku.

— Wierzyłem w nie — powiedział. — Fortepian, pan się domyśla. Skończyłem konserwatorium. Niby wielka przyszłość. Wielkie nadzieje...

Mówił skrótami ciągle, ale łatwo już było rozumieć, co opowiadał.

— Potem wojna. Oficer rezerwy. Właściwie straszny wstrząs. Nie było wyboru. Mus. Nie nasza wina. O wszystkim trzeba było zapomnieć. Wszystkiego się wyrzec. Kompania piechoty. Marsze. Bitwa. Za dnia bitwa, nocą marsze. Lęk. Brud. Zmęczenie. Bomby. Tyle śmierci wokoło. Tyle zniszczenia. Tyle krwi. I tak od Śląska po Łódź. I już wiadomo, że klęska. Że koniec.

Odetchnął głęboko. — Że koniec — powtórzył, jakby to już było wszystko, co chciał powiedzieć. Urwał.

Czekałem, aż znowu zacznie.

— Potem ucieczka. Złapali nas. Miałem jeszcze mundur, już bez odznak. Zamknęli w kościele. Tłum jeńców...

Zawahał się. Poprawił się: — Tłum skazańców.

I dorzucił uzupełniająco:

— Bo słyszał jeden z naszych, co mówią Niemcy. Że wszyscy na rozstrzelanie o świcie. Jak uciec? Drzwi kościoła były wyrwane od wybuchu. Ale wyjścia tego pilnował żołnierz. Zmieniano straż co godzinę. Noc ciemna. Z karabinem zagradzał drogę w tę noc. W kościele wszyscy pokotem. Pierwszy nocny sen po tylu tygodniach. Wiedziałem tylko ja i dwóch innych, że trzeba uciec. Reszta spała. Nie można się ich było dobudzić.

Znowu nabrał oddechu. Pochylił głowę. Po raz czwarty ta sama płyta na gramofonie.

— Żadnej broni. Tylko te ręce. Podpełzałem długo, ostrożnie. I potem skok.

Przeżywał opowiadanie, jak powtórzenie owego wysiłku. Trzymał przed sobą ręce napięte, naprężone w powietrzu jakimś strasznym uściskiem. Na czoło wystąpiły mu drobne kropelki potu. Wzrok uciekł w tamtą noc.

— Walka była długa. Ach, czuć pod naciskiem rąk własnych jak pulsuje to cudze życie. Jak się broni. I zaciskać ręce. I zaciskać...

Zaciskał je w powietrzu. Z twarzą, na której odbijała się dotąd wizja tego, co wówczas uczynił.

Spojrzał na mnie. — Czy pan to rozumie? Tchawica, krtań, żyły, tętnice, mięsnie. I te ręce. I tymi rękami dusić to, miażdżyć, przyciskać do kręgosłupa, do karku. I te dwa kciuki wciśnięte pod szczękę głęboko. I krótkie dmuchnięcia oddechu przez nos. I bulgotanie śliny. I chrapanie dzikiego zwierza. I charkot w gardle. To trwa sekundy tylko, to idzie wszystko prędko, nagle, w straszliwym skłębieniu sił, lęku, walki. Walka życia ze śmiercią. Moje ręce to była śmierć. Jego szyja to było życie. I ta śmierć zdusiła tamto życie. —

Wyciągnął znowu ręce, jakby chcąc je pokazać na dowód. Starałem się patrzeć trzeźwo i bez przejęcia, ale trudno było nie przejąć się tym, co mówił. I tym jak opowiadał.

— Gdybyż to można zapomnieć. Niestety. Wraca wszystko wspomnieniem nie myśli, nie rozumu, ale rąk. Czuciem tej szyi i zaciśniętych na niej palców i ich wysiłku, największego w życiu. Takiego wysiłku, że już nic więcej tymi rękami nie można zrobić. I już nic innego.

Przemknął mi teraz przez głowę podziw dla tego wyczynu. Jak to, więc tymi rękami potrafił naprawdę udusić? Cóż za sportowe osiągnięcie! I jaka musi być siła ich uchwytu, jaki upór w tych sprężystych palcach, aby tego dokazać i dopiąć. Stłumiłem w sobie tę myśl, miała posmak bluźnierstwa. Bo Wolski trzymał jeszcze przed sobą te swoje ręce rozczapierzone a odsunięte, jakby w obawie powtórzenia zacisku, który był gestem śmierci.

Na gramofonie końca dobiegła płyta z „Szubienicą". I znowu ją powtarza od początku. Nabiera teraz przeraźliwej głębi. Całe jej znaczenie przepojone się stało treścią opowiadania Wolskiego. Pulsowała nie tylko w muzyce, ale wszerz, przez wnętrze mego studia. Promieniowała z czubków jego palcy.

— Byłoby to nieważne — zaczął znów Wolski, oddychając jak po wielkim zmęczeniu. — Wojna jest wojną. Gdyby nie pamięć rąk. Wszystko w nich jeszcze żyje, cała okropność śmierci. Drganie mięśni, puls, oddech i ten ostatni spazm — każda sekunda trwania. I cóż ja z tym teraz zrobię? Przecież nie mogę się pozbyć rąk, ani nie mogę ich zmienić.

Żałosna bezradność przebijała z tych słów, budziła litość. Nie mówił do mnie, nie opowiadał, wyrzucał tylko ze siebie jakieś dławiące refleksje.

— Umieranie musi być rzeczą straszną.

Nie było ciszy między rwanymi słowami, wiązało je brzmienie muzyki z mahoniowej skrzyni gramofonu, ciągle tej samej.

— Przymuszanie człowieka do śmierci jest okropniejsze, niż śmierć. I to gołymi rękami. Gołymi rękami. Pomyśl pan: w dwudziestym wieku.

I nagle znowu do mnie: — Nie chciałem tego. Czy mi pan uwierzy, nie chciałem.

— Rozumiem — powiedziałem.

— Ale teraz już nie ma odwrotu. Po tym co się tam stało, nie mógłbym grać. Pulsuje w nich cudze życie, zduszone takim chwytem. — Pokazał ten chwyt. Jeszcze jeden grymas napięcia w twarzy. Potem zupełne odprężenie i długa chwila muzyki. Bemol, oktawami bijący głucho w bębenki ucha. Życie, które ucieka.

— Wojna nie jest skończona — powiedział bardzo spokojnie. — Zaprzęgli do niej te ręce. Teraz te ręce służą już tylko wojnie...

Podszedł do gramofonu i sam zatrzymał płytę w połowie.

— Muszę już iść — powiedział. Pożegnał się i wyszedł. Ufa'em, że doznał ulgi.

* *
*

W kilka miesięcy potem byłem z dywizją na froncie. Powiedziano mi, że w drugim pułku piechoty służy porucznik Wolski, ten z kursu w Cöetquidan. Nie spotkaliśmy się od czasu jego wizyty u mnie. Byłem przy tym, po jednym z gorszych dni bitwy, kiedy dowódca pułku mówił o nim generałowi: to doskonały oficer. Brawurowo prowadził przeciwnatarcie. Nies ety, zdaje się, ranny. Przedstawiam do odznaczenia.

Tego wieczora przeglądałem listę rannych. Przy nazwisku Wolskiego ktoś dopisał ołówkiem na formularzu: „Obie ręce urwane granatem".

JAN PAPUGA

NAJPIĘKNIEJSZY REJS

Wiadomo — ludzie żyjący z dala od frontu, sypiający w miękkich łóżeczkach i mający dużo wolnego czasu, są najwięcej zainteresowani wojną, wyjątek stanowią lekkoduchy którzy w ogóle o niczym nie myślą. Zależnie od posiadanej gotówki wojna ich bawi a więc urządzają sobie zabawy, wesela, tragedie lub kłótnie.

Wojnę podobno „robią" panowie z grubą forsą, w celu „zgaszenia" takich samych panów, którzy za dużo im nos wścibiają w ich pieniążki. Niezawsze to im się udaje tak jakby chcieli — często ludzie którymi posługują się na froncie, odgadują ich „patriotyczny cel" i karcą ich po skończonej wojnie, oczywiście — zawsze łagodniej niż byłoby trzeba.

Inaczej zainteresowani wojną są ludzie na froncie, którzy to upraszczają do jednego słowa — Zwycięstwo. Oczywiście, byłby to brzydki, kawał, gdyby po wojnie — zwycięzców zwyciężyli w szarym życiu, panowie z grubą forsą...

W podnieceniu wojennym, ludzie na lądzie często się kłócą. Marynarze zbytnio nie wtrącają się do nich. Mają na to za mało czasu. W czasie krótkich postoi statków w portach, między rejsami, zajęci są spijaniem dżinu i piwa. Słodzą wtedy smutek kobiet i pocieszają dziewczęta. Niektóre są już tak pocieszone, że smucą się na samą myśl, że koniec wojny będzie końcem ich szczęścia.

Ludzie przestali już gadać o drugim froncie, prawdopodobnie z wyczerpania, z beznadziejności w tej sprawie ale po dłuższej przerwie, ze wzmożoną siłą zaczęli znów mówić o konieczności inwazji na kontynent. Był to olbrzymi krok naprzód w tej sprawie. Tłum żądał wysłania olbrzymiej ekspedycji i zmiażdżenia Hitlerii. Od wczesnej wiosny, przewodnią gadania ludzkiego, była tylko inwazja. Spotęgowały ją gazety, radio, plakaty, rewie, manifestacje, zebrania, zabawy i wszystkie igrzyska. Nastały dobre czasy dla żołnierzy i marynarzy! Nie potrzebowali stawać w długich ogonach na przystankach autobusowych, teatr i kino darmo, wszystkie inne zabawy i uciechy, kosztowały ich tylko pół ceny. Komandosi wojowali na Picadilly. Lotnicy zajęli trawniki w Hyde Park'u, marynarze pozostali w barach. Inne mniej ważne formacje nie mając szans, zostały na peryferiach miasta. W parkach, skwerach i miejscach spacerowych, każdemu rozkosznie zwisała z ramienia dorodna dziewoja. Dziewczęta były dla nich słodkie, czułe i kochające. Cywilami nie były wcale zainteresowane, odsunęły ich zupełnie na później. Wtedy cywile naprawdę uwierzyli w możliwość inwazji, tłumacząc sobie, że jeśli taki stan potrwa dłużej, to sołdaty zbabieją.

Stara węglarka, francuskiego pochodzenia ss. „Wawel", chodziła pieczołowicie w swoim znoju, przy brzegach angielskich, wożąc z portu do portu szlachetny węgiel. Ku radości kapitana, załoga sprawiła jej wiosenne malowanie, od jabłek masztów aż po linię wodną. Życie płynęło tu na wytężonej pracy i sielskim po niej spokoju. Gadania z lądu i kłótnie, nie dochodziły tu wcale. Kiedy wiosenne słońce przygrzewało cieplej, widać było oficerów w piżamach, wlokących za sobą łapcie po śródokręciu i marynarzy po wachcie, bez koszul leżących na ostatnim luku, czytających książki lub grających w karty. Luftwaffe odleciała na bolszewicki front, łodzie podwodne rdzewiały na dnach mórz i oceanów. Rdzewiały także i armaty na poczciwej węglarce.

Naraz jakby piorun trzasł w tę całą sielskość. Na pojedyńcze pioruny, marynarz tylko łypnie okiem i nic, wie że nie robią mu one nigdy krzywdy ale to była jakby burza tropikalna, z deszczem piorunów. W słoneczne popołudnie z białą kartką drukowanego papieru w ręce zeszedł z mostu kapitan do czekającej go załogi na ostatnim luku. Stanął szeroko w nogach, w środku załogi, dłuższą chwilę nie mówił nic, w palcach dłoni mocno ściskał białą kartkę papieru, spokojnymi upartymi oczyma, żgał stojących wokoło niego, nie badał ich a narzucał im swoją wolę, kiedy cisza zainteresowania doszła do punktu łamiącego się naruszył ją prawie słodko:

„Pływaliśmy razem całą wojnę, było nam rozmaicie, źle i dobrze. W pierwszych latach wojny było psio, sami zresztą wiecie. Pływamy jednak dalej. Ostatnie dwa lata bardzo sładne. Wyżłopiliśmy sporo wódki, była tylko sama uciecha. Niektórzy się pożenili. Zapomnieliśmy że jest wojna, armaty pordzewiały. Niektórym się zdawało że tak będzie w nieskończone — tak nie będzie". Przestał mówić — z oczu mu zionął ogień. Gardłowo powoli wyrzucił: „teraz Niemcy będą się łupać. Na kontynent jedziemy na dniach. Inwazja musi się odbyć bez zgrzytów. W tym olbrzymim przedsięwzięciu, jesteśmy maleńkim kółkiem — musimy być bardzo sprawnym kółkiem. Na przeciąg tego czasu żądają od nas, byśmy się sami wyrzekli niektórych uprawnień". Podniósł w górę trzymaną kartkę papieru i dodał: „pojadą tylko ci, którzy podpiszą tę deklarację inwazyjną".

Rozwinął papier i czytał punkt po punkcie, powoli i bardzo uroczyście. Kiedy skończył ogarnął wszystkich oczyma, czekając odpowiedzi.

Nikt nie chiał pierwszy mówić, milcząc pytająco zaglądali sobie w oczy. Stojący najbliżej kapitana wymówił z flegmą. „Na co to wszysto? po co? Byliśmy już na wielu inwazjach i wszystko szło składnie."

Kapitan uśmiechnął się, kiwnął głową znacząco i głosem ciętym, jak przedtem, odpowiedział: — „Ta inwazja pewno już ostatnia i dlatego musi być zupełnie pewna".

„Niewolno ci odmustrować kiedy chcesz — przecież nie jesteśmy jeszcze wojskiem", ktoś burknął. Inni mówili prawie razem: „Robić dwadzieścia cztery godziny, nie nowina — ale bez zapłaty? Przydział do każdej pracy — dnie wolne precz — urlopy precz — to trochę za wiele."

Jakiś stary wycedził; „jechać trzeba — ale nam się dobrali do skóry".

— Trzeba jechać, podjęli inni. To już będzie i koniec z szwabami a potem do kraju.

Młodzi już podpisywali na kolanach. Kiedy kartka obiegła wokoło, kapitan złożył ją przez pół i rzekł; „to już nie będzie tylko o Anglię, długo tu już nie będziemy". Wzniósł kartkę w górę i odszedł.

Inwazję wszyscy przyjęli mocno. Ganerzy zaraz wzięli się do czyszczenia armat, doprowadzili je do prawdziwej doskonałości. Wzięli amunicji więcej niż zawsze, zapasowe lufy do działek i inne części.

Marynarze wynieśli na ląd swoje świąteczne graty, elegancja poszła precz, po portach będą się obijać w dunkrach i niebieskich koszulach, żywiołowo i swobodnie jak ich koledzy przed stu laty.

Żonom i kochankom nie powiedzieli ani słowa, by ominąć wszystkie pocieszne i smutne ceregiele, jakich mogłyby ich nabawić te ich najdroższe. Nie wiedziały kiedy opuścili Londyn. Dover przeszli nocą, w rozwiniętym konwoju tylko w dwu kolumnach. Było bardzo ciemno. Drobny gęsty deszcz jak mgła dopełniał ciemności. Woda gładka jak szkło. Idealne warunki dla niemieckich ścigaczy, nie pokazały się one wcale, tak samo jak i nie słyszeli armat z Cap de Crisa. Konwój kierował się na zachód, światłami wzdłuż angielskiego brzegu. Deszcz padał lepki i nieprzyjemny. Następnego dnia weszli do olbrzymiej zatoki w okolicy Portsmouth. Nie mieli teraz żadnej wątpliwości o inwazji. W zatoce, jak w olbrzymim worku, zbite leżały na kotwicach statki inwazyjne. Wszystkie były małe, należące do pierwszej grupy uderzeniowej. Barki desantowe z flagami angielskimi i amerykańskimi leżały całymi dywizjonami; wielka liczebnie flota najrozmaitszych przeznaczeń i różnych monstrualnych konstrukcji. Pilot na mostku mówił, że wszystkie zatoki w tej okolicy są tak zapchane.

Po kilku dniach pogoda się poprawiła, aż zrobiła się piękna, słoneczna. Niemieckie samoloty, tylko na krótkie chwile, przylatywały nocą, świeciły rakietami i uciekały. Armaty przeciwlotnicze odzywały się wtedy wszędzie.

Zaraz z prawej strony na brzegu było jedno wielkie lotnisko. W dzień myśliwce kołowały wyżej i wyżej. Czwórkami, ósemkami, szesnastkami, kiedy się zebrało takich grup z dziesięć, odlatywały wtedy na południe do Francji. W nocy zawodziły bombowce swoją muzykę.

Nastąpiły kłopoty z żarciem. Nocne porcje zostały znacznie zmniejszone. Często dochodzi do ostrych rozmów z oficerami. Ci mają stale jedną odpowiedź — Przeszliśmy na wyżywienie Admiralicji Angielskiej, więcej nam nie dają, i na tym pozostało.

Dobra pogoda, jest zawsze na statku skwapliwie wykorzystywana. To trzeba poprawić takielunek, wyszykować nowe cumy, pukać i skrobać rdzę, albo znowu malowanie. Porządki w każdym przedziale i tak bez końca. Statek jest jak fabryka, robota jest na nim nigdy nie zrobiona. Oficerowie pędzą wszystkich do pracy, sami przykładają się do niej, jak nigdy przed wojną.

W czasie pracy i po pracy, dochodzą nowe zajęcia. Organizowanie wszystkiego i zaprawa już jakby bojowa. Wachty, podwachty, rezerwowi strzelcy do działek. Najwięcej pracy jest w przygotowaniu się do akcji przeciwpożarowej. Różne pompy motorowe, ręczne, gaśnice, aparaty tlenowe, kostiumy azbestowe, małe pompki, gaszenie pianą, piaskiem i wodą.

Kiedy oficer tłumaczył, jak okruchy bomby termitowej zasypywać piaskiem, przechodzący palacz uśmiechnął się swoją czarną twarzą i poprawił; „a od razu na szufle i za burtę, to nie lepiej?" Wszyscy wybuchnęli śmiechem, obiecując sobie że tak będą robić.

Ci z kuchni i stewardzi jako delikatniejsi, zaprawiają się na doktorów. Pierwsza pomoc, opatrywanie rannych.

A potem jak reagować na atak lotniczy, łodzie podwodne i na zakończenie opuszczanie szalup, najważniejsza rzecz która powinna się odbywać w kilku sekundach.

Niektórym się zdaje, że marynarz to musi być prosty drągal z krzepą. Tak nie jest. Dzisiejszej pracy biurowej podołałaby większość tych drągali. Młodzieńcy z biur nigdy nie dadzą rady statkowi. Od marynarza wymaga się wszystkiego: aby z masztu nie zleciał, ani w wodzie nie tonął i na przykładkę dziesięć specjalności. Oczy jego muszą wszystko widzieć, od stóp aż do horyzontu wokoło. Uszy umiejscawiać każdy szmer. Głowa szybkiej myśli i decyzji, ciało żbika gotowe temu wszystkiemu podołać.

W czasie postoju odwalono sporo roboty. Ćwiczenia wychodziły zadawalająco. Prawie wszystkie statki które tu stały były załadowane. „Wawel" był pusty i każdy wiedział że odejdzie stąd i pójdzie gdzieś po ładunek. Aż wyszedł pewnego wieczora, włączył się do przechodzącego konwoju i szedł z nim na zachód. Po opłynięciu Lands End, szedł na północny wschód.

Do Swansea przyszli rano. Pierwszy oficer oznajmił wszystkim, że wyjazdy są ograniczone do trzydziestu mil, na czas dwunastu godzin. Jeśli ktoś chce więcej niż to, prawdopodobnie dostanie z Admiralicji.

Przy pustym nadbrzeżu, zostali dwa dni. Po pracy wszyscy szli do najbliższych barów. Więcej wybredni jechali na obszerną plażę, z rojem kąpiących się. Tak, Walijki są wspaniałe dziewczęta, więcej bujne i kwieciste od Angielek. —

Z żarciem znowu kłopoty, po skąpych porcjach, wszyscy idą z talerzami, po nowe do kuchni. Kucharz starał się ich wypędzić, co mu się nie udało. Sprawa oparła się o kapitana. Na to kucharz zdradził tajemnicę. Na pięćdziesiąt funtów mięsa, połowę dostał łoju. Nie mógł wydołać. Następnego dnia po krótkiej, ostrej rozmowie z kapitanem, kucharz zeszedł ze statku. Zaczęli gotować steward i radiotelegrafista, dla użerającej się załogi mają tylko jedną odpowiedź: Admiralicja więcej nie dała.

Aż przyszedł nowy kucharz, bardzo sprytny. Zdawało się że sprawę zaprowiantowania rozwiązał, iście po angielsku, chociaż z pochodzenia był Walijczykiem. Zapędził wszystkich chłopaków z kuchni do tarcia kartofli. Piekł wspaniałe placki bez oleju, wypiekał nawet ciastka. Wszyscy go zaczęli chwalić. Robił nawet jakieś inne, trudne do określenia w naszej mowie bigosiki i gęste zupy, które to miały zastąpić proste silne stare racje żywnościowe. Chłopaki z początku zostawili go w spokoju, ale na kawale obcięli się z miejsca. Widząc, że to już tak ma pozostać, zaatakowali i jego. Porządny chłop był jednak. Skomplikowaną sprawę rozwiązał sam. Zapowiedział że będzie dawał tyle ile dawali przedtem, ale jak się skończy reszta nic nie dostanie. Na to wszyscy wybuchnęli śmiechem i pogodzili się z losem.

Kiedy poszli pod bunkier, około wieczora przed samym ukończeniem pracy, przyszedł telegram ze Związku Marynarzy do delegata załogi, wzywający go na doroczne walne zebranie delegatów, które ma się odbyć jutro i trwać dwa dni w Liverpoolu.

Delegat zaraz poszedł do kapitana, pokazał telegram i prosił by mu dał pismo do Admiralicji, w celu uzyskania pozwolenia na wyjazd.

Kapitan zbył go dwoma słowami.

Kiedy załoga dowiedziała się o tym ,klnęła kapitana, żądając od dalegata, zdecydowanego wyjazdu na zebranie. Delegat tak też postąpił. Nie

jedząc kolacji jak najprędzej skoczył do biura Admiralicji. Urzędujący tu kapitan nie mógł się zdecydować na wydanie zezwolenia. Kazał przyjść mu następnego dnia, do komandora który tam był najtęższą głową. Po wyjściu z biura zdecydował się szybko. Jutro rano o dziewiątej rozpoczyna się zebranie — skierował się prosto na stację. Uczestniczenie w zebraniu przyjął teraz, jako najwyższy obowiązek w stosunku do współtowarzyszy pracy. Wiedział że statek nie będzie prędzej załadowany, jak za trzy dni, więc nie może odejść, a po dwóch dniach przecież wróci.

Po dwóch dniach gdy przyjechał, idąc po trapie, mile go zaskoczyło ładowanie armat i troków z amunicją. Po złożeniu załodze sprawozdania udał się do pierwszego oficera, ten odesłał go do kapitana. Kapitan łypnał na niego oczyma i cedził: „Bardzo źle — trzy miesiące czeka — ale nie czas teraz na sądy — pojutrze wychodzimy".

Inwazja na serio, wszyscy są nią żywo przejęci. Po zakryciu luków i położeniu bałmów, przychodzą na pokład żołnierze amerykańscy, artylerzyści, kierowcy, sanitariusze. Jest to mała jednostka która może działać samodzielnie. Zaraz rozwijają olbrzymie brezenty nad każdym lukiem i usadawiają się pod nimi.

Wieczorem „Wawel" wychodzi. Marynarze na dziobie i rufie, zwijają się żywiej niż zawsze, są w wesołym podnieceniu, w uśmiechu wilczo szczerzą zęby, jak przy ważniejszych zdarzeniach.

Na redzie, leży na kotwicy kilkadziesiąt statków, „Wawel" przy nich rzuca kotwicę. W zachodzącym słońcu, z olbrzymimi namiotami na lukach, statki wyglądają jak olbrzymie gondole. Pokłady są wypełnione hałaśliwymi Amerykanami, którzy mówią że jadą na piknik.

Pogoda się mocno psuje, w nocy pada deszcz, pada przez cały dzień. Żołnierze pochowali się pod brezenty, nie wytykają nawet głów. Kiedy deszcz przestał padać, zrywa się taki wiatr,że oficer wachtowy z marynarzem, porając się z wiatrem, idą na dziób i rzucają drugą kotwicę. Gdy wiatr przestawał dąć, zaraz przychodził deszcz. Zrobiło się zimno i mokro z wyjącą wichurą. Żołnierze zbici pod brezentami drżą z zimna. Zdaje się, że pogoda się już ustaliła, i potrwa tak dłuższy czas. Wszyscy zaczynają myśleć: jak długo tu będą stać tak bezcelowo i męczyć biednych sołdatów? Długo to trwać nie może, przecież wody zabraknie dla stu pięćdziesięciu żołnierzy. Przyszła taka nawała wiatru że mniejsze statki poszły do portu. Rano równo z brzaskiem statki ciągną kotwice i ustawiają się w kolumny. Konwój ciągnie przez poorane, białe, dymiące w szkwałach morze. Idzie powoli na południowy zachód a więc w kierunku inwazji.

Po opłynięciu Lands End, konwój wchodzi w kanał Angielski. Statki w wyciągniętych kolumnach, idą na wschód, tuż przy brzegu angielskim. Na pokładzie idzie z ust do ust — Upadek Rzymu, dobra wiadomość.

Kapitan znów zebrał ganerów na pogadankę. Chce im widocznie wbić lepszy moral, choć i tak cięci jak osy i zawsze bojowo nastawieni, co im daje największe poszanowanie na statku. Na nich zawieść się nie można, wytrwają zawsze.

Wieczorem konwój idzie bardzo wolno, jakby czego oczekiwał. Przed dwunastą w nocy, silny wybuch podrywa wszystkich na nogi. To drugi statek z tyłu idący w tej samej kolumnie co „Wawel", idzie w powietrze. Po nim grzmi silne granie samolotu, idącego na wszystkich obrotach. To Niemiec znurkował cicho z czarnej nocy w górze, rzucił torpedę i ucieka teraz ile wlezie.

Rano każdy się budzi z wiadomością, inwazja rozpoczęta. Spadochroniarze i komandosi wylądowali we Francji. Wśród marynarzy powstaje dzika radość. Żołnierze się czują znacznie lepiej. Pogoda wciąż okropna, nie przygnębia ich jednak teraz wcale. W głowach wszystkim mocno siedzi: to nie wypad, ani żadne Dieppe, a początek końca Hitlerii.

Następują teraz wszystkie rożnorodne, próbne alarmy. Kapitan ciągle na mostku, wszystko przewidujący, stara się wszystkiemu zapobiec. W rozmowie z oficerami wszystko wyraża jasno, zwięźle i bardzo zrozumiale. Słysząc go, zdaje się że ta olbrzymia robota, jest bardzo prosta i zupełnie udana. Słuchający go, nabierają do wszystkiego zrozumienia i zaufania.

Wszędzie widać żołnierzy, z pełnymi garściami nowych, szeleszczących banknotów francuskich drukowanych w Ameryce. Liczą, przekładają z garści do garści, oglądają lubieżnie półnagie pełne wdzięku obrazki nagich kobiet. Kolorami ich drażnią w oczy: mdławo różowe, niebieskawe, zielonkawe. Podobają im się jak reklamy kabaretów francuskich.

Żołnierze urządzają się na statku jak najlepiej. Zajmują wszystkie miejsca, zostawiają tylko mostek i miejsca przy działkach. Jest ich pełno w kuchni, w salonie, w mesach, w kabinach, na pokładzie, wchodzą nawet na rusztowania tratew. Deszcz już nie pada. Wszyscy jedzą, piją, w karty grają, rozmawiają żywo, słychać śpiewy, okrzyki, dużo hałaśliwej radości. Z szalupowego pokładu, przez otwarty bulaj z kabiny ganerów, z radia drze się amerykański jazz, Amerykanie w takt do niego dygocą. Nie wiele się interesują wiadomościami z frontu. Są bardzo koleżeńscy, chętnie częstują i dzielą się z załogą swoimy krociami smakołyków, które jedzą chętnie jak dzieci.

Przechodzące nisko chmury bardzo sprzyjały atakowi niemieckich samolotów, nie pokazują się one jednak wcale. Nad konwojem przelatują przyjacielskie samoloty, w zwartych formacjach i luźno, setkami, dziesiątkami i pojedyńczo, z północy na południe i z południa na północ. Mkną oszalałe Mustangi, Spitfajery, Fortece, transportowe i dziesięć innych typów, jak na popisach lotniczych.

Przy latrynach żołnierskich, żołnierze czekają w kolejce by zająć miejsce. Przebywających za długo, wypędzają wcale nie skomplikowanymi słowami. Opornych nie ma. Załatwiają się śmiesznie szybko i wychodzą, z paskami na karkach, kłucąc się nadal już bardzo nieśmiało.

Krótko przed zachodem słońca, konwój skręca prosto na południe Wszyscy skupiają się w sobie, przyczajeni jak koty. Oczy wszystkich żywo błyszczą.

Na kubryku pełno żołnierzy. Marynarze częstują ich herbatą, wszyscy palą papierosy. Siedzą w chmurze dymu zadowoleni i weseli. W łóżkach tych co poszli na wachtę, chrapią Amerykanie polskiego pochodzenia. Swój ciągnie do swojego.

Zciemnia się. Wojenne okręty idące wokoło pierścieniem, często morsują w swoim oganianiu konwoju. Żołnierze śpią przed czekającą ich krwawą robotą. Noc przechodzi bez jednego wystrzału.

Robi się widno. Jest już drugi dzień inwazji. Niebo jest pokryte burymi chmurami. Na horyzoncie, w tyle i z lewej strony, widać inne konwoje, płynące w jednym kierunku. Z południa dochodzą głuche grzmoty artyleryjskie. Konwój przechodzi pierścień okrętów wojennych, goniących tam i z powrotem, jak psy stado. Przed dziobem widać statki i statki, stojące na kotwicach. Morze wrzyna się płytkim półkolem w ląd. Jest tu największe zgrupowanie statków. Jest ich pełno wszędzie, okalają brzeg z obu stron, aż giną za horyzontem. Z lewej strony jaśnieje żółty brzeg, w oddali widać ciemną zieleń drzew. Z prawej strony wysoki rudy brzeg spada pionowo w morze. Wystaje tu on jak cypel, na nim dymią upadające niemieckie pociski artyleryjskie. Za cyplem woda i w dali jak przez mgłę widać półwysep Normandzki. Mile od brzegu stoją na kotwicach, wielkie amerykańskie monitory, strzelające swymi dwoma olbrzymimi działami. Za nimi widać krążowniki i pancerniki, jest podobno tam „Nelson" i „Rodney". Wszystkie strzelają na ląd. Olbrzymie

kłęby ognia wykwitają za lufami. Strzelają ponad głowami Amerykanów, którzy są sześć mil w głąb lądu. Chłopaki szukają „Dragona", jednak nie mogą go znaleźć.

Z lewej strony gdzie morze wchodzi łagodnie na piasek, idą tam aż na suchy ląd barki desantowe, krypy, łodzie płaskodenne i inne maleństwa. Ludzie biegają tam jak kraby po piasku.

Jest tu skupienie statków, jakiego obecnie nie ma nigdzie na całym świecie. Wszystkie małe a co najwyżej średnie wszystkich bander alianckich.

Przychodzi noc pochmurna z deszczem. Statki stoją bez świateł. Z leżących bliżej brzegu, widać skąpe światła, wyładowują przy nich. Robi się czarno. Krążowniki jeszcze zioną ogniem. Wszyscy kładą się spać.

Po dwunastej zrywa się nagle grzmiący rechot, zlewa się w jeden ciągły grzmot intensywnego strzelania.

Z kubryku wszyscy wyskakują na pokład. Ze wschodniej strony widać jasno żgające światło rakiet i słup ognia, wzlatujących w górę pocisków. Strzelanie przechodzi wzdłuż brzegu na zachód, a za nim rakiety oświetlające. Strzelają coraz to inne statki, aż wszystko znika tak nagle jak przyszło. Pozostały tylko rakiety, wolno spływające z góry. Amerykanie mówią „big show" i zasypiają.

Po dwóch godzinach znów ogień się zrywa, jeszcze z większą siłą. Przy samym brzegu powstaje z świecących pocisków, jak z pajęczyny utkany olbrzymi włok, a nad nim pękają promienistym ogniem, pociski większych kalibrów.

„Wawel" stoi prawie o dwie mile od brzegu i ognia nie otwiera. W środku ognistego włoku widać dwie opadające w dół, większe plamy ognia. Wyglądają jak dwie złote muszki, które zaryzykowały. Hansy nie nawalają. Za dwoma dalej w lądzie spadł trzeci, sypie falą ognia przy zetknięciu się z ziemią. Tej nocy spadło dwadzieścia pięć samolotów niemieckich.

W tym czasie od strony morza, więcej od wschodu, widać rakiety świetlne. Oświecają pociskami stojące bliżej kontrtorpedowce. Wszystkie wojenne będące w pobliżu, koncentrują tam ogień. To ścigacze niemieckie się pokazały, po to chyba by to był ich ostatni rejs. Nie mają żadnej szansy przejścia.

Ogień przeciwlotniczy przy brzegu cichnie. Strzelają jeszcze za ścigaczami. Przelatują jeszcze pociski oświetlające i znów cisza. Nie długo trwa, przerywa ją ochrypła syrena „Wawelu", tak dziwnie jakoś i nie normalnie, z przerwami powtarza sygnał.

Wzywa doktora, mówią marynarze. Po chwili się dowiadują: większy odłamek z pocisku wpadając złamał nogę żołnierzowi a drugiemu porwał palce u dłoni. Po chwili przyszła motorówka i wzięła rannych.

Rano „Wawel" idzie pod brzeg. Mijają liczne statki. Między statkami przepływają liczne krypy, wiozące żołnierzy i różny sprzęt na brzeg. Szybkie motorówki i ścigacze patrolowe pełnią tu służbę łącznikową, uwijając się szybko między statkami. Na masztach sygnalizacyjnych, widać różne flagi.

Podchodzą pod sam brzeg, Marynarze śmieją się, że „papierowa ściana Goebbelsa" (Forteca Europejska) pękła. Były tu potworne zasieki z drutów kolczastych, groźne bunkry, ale już ich nie ma. Wśród drzew z pięknych willi bogaczy, zostały tylko ruiny. W prawo o kilka mil, widać ruiny jakiejś wioski, z ocalałą wieżą kościelną. Na linii brzegu i w miejscu gdzie wyładowują statki, jest dużo balonów zaporowych. Dalej od brzegu statki balonów nie mają, by nie przeszkadzały przyjacielskim samolotom. Na piaszczysty brzeg wyjeżdżają z wody samochody amfibie; na lądzie z miejsca biorą większą szybkość. Amerykanie nazywają je

kaczkami, naprawdę śmiesznie wyglądają jak kaczki. Na piasku leży kilkanaście barek desantowych, są wcale nie mniejsze od „Wawelu" (2.000 T.) i kilkadziesiąt mniejszych. Z przypływem zejdą z powrotem w wodę. Mniejsze statki Czerwonego Krzyża, bielą się między szarymi. Ciężko załadowane szarpią holowniki, także amerykańskie, czyżby i one przeszły Atlantyk? Olbrzymie pontony cementowe, w kształcie doków pływających, które nawet dla marynarzy były zagadką, zatopione na dnie, tworzą łamacze fal i forty z działami. Osłaniają statki przed przybojem fal i przed Niemcami w zasięgu swoich dział. Olbrzymie platformy pływają jak nadbrzeża, pływają własnym napędem, zabierają ładunek i żołnierzy. Na samym brzegu wrze praca. Setki żołnierzy podzielonych w brygady, wyladowuje platformy i barki. Czołgi i samochody zjeżdżają na ląd. Armaty ciągną własne ciągniki. Na brzegu wszystko to formuje się w kolumny, świeżo zbudowanymi drogami rozjeżdżają się, ginąc za wysokim brzegiem. Inne brygady budują drogi, posługują się buldozerami i często dynamitem. Po niebie nad balonami latają w koło samoloty. Siedzą jeden drugiemu na ogonie, wszystkie myśliwce angielskie i amerykańskie. Oszalałe szybkością i pragnieniem krwi, grzmią niesamowicie silnikami. Luftwaffe nie przychodzi, nie miałaby zresztą szans. Przed południem upadło jeszcze kilkadziesiąt pocisków, na cypel z prawej strony. Po południu jest spokój. To Kanadyjczycy przepędzili Niemców, oni to mają ten odcinek.

Około drugiej przyszła barka i platforma, uwiązały z obu stron statku. Przednie dwie ładownie, tak jak i tylnie, mają usunięte grodzie dzielące je. Przez otwarte luki drugi i trzeci, bałmy ciągną ładunek z połączonych ładowni. Amerykanie pracują w ładowniach i na pokładzie, marynarze stoją przy windach. Armaty i troki wjeżdżają w ładowniach na siatki stalowe, w których idą w górę aż na barkę. Odbywa to się z początku z największą ostrożnością. Ciężar jest maksymalny jaki bałmy mogą unieść. Stalowe liny były sprawdzane i niektóre wymieniane na nowe. Windy są okropnie stare, rozklekotane z połamanymi zębami trybów. Są bardzo podłe i nie chcą ruszać z miejsca. Często stają, trzeba wtedy dać odwrotny bieg, kiedy ruszy przełączyć zaraz na właściwy. W trokach jest amunicja i dlatego wszyscy są tacy czuli. Wolno idą troki i armaty w górę, aż coraz szybciej i szybciej. Stojący przy windach nabierają niezwykłego wyczucia tych starych gruchotów i znów jeżdżą jak opętani. Oficerowie często przywołują ich do wolniejszej jazdy. Windy zgrzytają, walą całym luzem i połamanymi zębami, pocą się każdym uszczelnieniem. Stojących przy nich chłopaków, zasłaniają kłębami pary, podoba im się ta prawdziwie męska robota. Na twarzach mają diabelną pewność i spokojnie kurzą papierosy. Kiedy wyładowali, żegnali schodzących Amerykanów, życząc im powodzenia.

„Wawel" opustoszał, zrobiło się cicho, po żołnierzach został tylko zaśmiecony pokład. Po zakryciu luków i ułożeniu bałmów, kotwica idzie w górę. Wyszli z ciżby statków, minęli stojące dalej, weszli do formującego się konwoju pustych statków, które szły do Anglii. Minęli zestrzelony balon, który dziwnie stał, podparty ogonem o wodę, gaz go widocznie uchodził.

Po uporządkowaniu statku, marynarze znów się zebrali na ostatnim luku. Nie było im żal, że nie wyszli na ląd w tym kraju wina i pięknych kobiet.

Myślami byli w swoim kraju.

— Piękny rejs — odezwał się któryś.

— Najpiękniejszy — dodał drugi.

— To już i do kraju niedługo, wybuchnęli wszyscy zgodnie.

Tak, był to ich najpiękniejszy rejs, który im wlał w serca moc do dalszej walki — na wszystko — a później do Kraju.

3/- Published by „Nowa Polska" 91 Great Titchfield Street London W 1 and Printed by JOHN BALE & STAPLES LIMITED (A STAPLES PRESS COMPANY) 88-91 Great Titchfield Street London W 1 **3/-**

Wyłączne przedstawicielstwo ogłoszeń, Advertising Offices, The Carlton Berry Co., Grand Buildings, Trafalgar Square, London, W.C. 2. Tel.: ABBey 5108.



„Doktorze, proszę mi powiedzieć . . . *W jaki sposób „D e t t o l" tak szybko zabija mikroby i przyspiesza zagojenie się rany?"*

„D e t t o l" jest niezawodny jeśli chodzi o rozróżnianie mikrobów tkanek żywych, mimo podobieństwa ich składu. „Dettol" jest trzykrotnie skuteczniejszy przy zabijaniu mikrobów niż najmocniejszy kwas karbolowy, a jednak oczyszcza tkanki tak łagodnie, że powoduje w najkrótszym czasie kompletne i naturalne uzdrowienie. Zastosowany natychmiast po zacięciu lub zadrapaniu, „Dettol" zapobiega infekcji, powodującej tak często zakażenie krwi.

„D e t t o l" jest czystym i przezroczystym płynem o przyjemnym zapachu i nie brudzi bielizny. „Dettol" jest łatwym, pewnym środkiem zapobiegawczym przeciw infekcji. „Dettol" odświeża i zapewnia higienę osobistą.

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM III NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 10

ANTONI SŁONIMSKI

STANISŁAW STRUMPH WOJTKIEWICZ

MARIA KUNCEWICZOWA

BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI

STEFAN THEMERSON

STEFANIA ZAHORSKA

STEFAN ŁĘCZYC

DOROTA FALSKA

CZESŁAW BEYOT

JAN PAPUGA

MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI

SATIRICUS

LONDYN

PAŹDZIERNIK

1944